



Świadek historii

Na jubileusz 90. urodzin
Jego Ekscelencji biskupa
Ignacego Jeża

ŚWIADEK HISTORII

**NA JUBILEUSZ 90. URODZIN JEGO EKSCYLENCJI BISKUPA
SENIORA IGNACEGO JEŻA**

KOSZALIN 2004

Redakcja: Leszek Laskowski

Projekt okładki: Robert Chmielewski

Wydawca: Koszalińska Biblioteka Publiczna im. Joachima Lelewela

Fotografie ze zbiorów biskupa Ignacego Jeża

ISBN 83-87317-47-0

Druk: Zakład Poligraficzny „POLIMER” w Koszalinie

Dziewięćdziesiąt lat to piękny wiek. Dla nas, ludzi środkowej Europy ma szczególny wymiar – uosabia dramat człowieka minionego stulecia.

To wprost niezwykle, że Ten, którego dotknęły liczne kataklizmy świata, a którego jakże słusznie mianuje się świadkiem historii, jest niezmiennie pogodny, pełen łagodności i wewnętrznego ciepła.

Biskup senior Ignacy Jeż, bohater tej książki, to postać niezwykła. Urodzony w drugim dniu pierwszej wojny światowej, ofiara następnej, walczący bez broni (jako kapelan w Göppingen był kapitanem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie), przyjaciel Papieża, współpracownik Prymasa Tysiąclecia – Stefana Wyszyńskiego, ten, który znał najznamienitszych w naszej epoce: kardynałów Augusta Hlonda i Adama Sapiechę, ojców Soboru Watykańskiego II... Na Jego oczach świat rozsypywał się w gruzy i zmartwychwstawał, a Kościół gruntownie się odmienił.

Mówiliśmy o Nim: Ocalony. Jako młody ksiądz poznał dobitnie, że sprawa, której poświęciło się życie, może nagle zażądać życia. Swoim obozowym współbraciom kuszonym przez rozpacz dawał nadzieję, a patrzeniu w otchłań przeciwstawiał szukanie wyjścia. I to właśnie On, więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, jako jeden z pierwszych wyciągnął rękę do Niemców w geście pojednania i przebaczenia.

W czasach komunizmu pokazywał, jak nie dać się przewlekłej chorobie nienawiści. Był przewodnikiem i powiernikiem zbuntowanych: ale bunt to jeszcze nie to samo, co wolność – mówił. Dziś uczy, jak żyć z wolnością, jak żyć dla wolności.

Biskup senior nie lubi patosu. Zawsze pogodny, skory do żartu (również ze swego nazwiska!) a nawet autoironii jest Tym, który pokazuje tylko jasną stronę życia. I za tę pogodną równowagę ducha, jaką zachował na przekór wszystkiemu, co w życiu innych ludzi bywa źródłem zamętu, udręki i rozpacz, jest tak powszechnie kochany.

Książka ta opowiada o doświadczeniach człowieka minionego wieku w oparciu o jego wspomnienia, publikacje i relacje. Zawiera też dokumentację fotograficzną, udostępnioną przez księdza biskupa – cenną nie tylko jako pamiątka osobista, ale także jako świadectwo zdarzeń minionych.

Mamy też nadzieję że będzie ta publikacja wyrazem hołdu, jaki składamy Jubilatowi.

bp Ignacy Jeż

Lata dziecięce i młodość. Kapłaństwo (1914 – 1939).

Metryka urodzenia

Urodziłem się 31 lipca 1914 r. jako syn urzędnika sądowego w Radomyślu Wielkim, powiat Mielec, diecezja tarnowska. Ojciec – Jan pochodził z Dobczyc, matka – Jadwiga z domu Liszkowska, pochodziła z Liszek pod Krakowem. Mój brat Kazimierz urodził się w 1907 roku. Miałem jeszcze dwie starsze ode mnie siostry – Łucję i Wandę. Na drugi dzień po moim urodzeniu wybuchła I wojna światowa i sąd ewakuowano na Morawy, do Węgierskiego Hradiszcza. Z opowiadań matki pamiętam jak trudne to były dla niej dni – ewakuacja z niemowlęciem i trojgiem pozostałych dzieci, ojciec zaangażowany w sprawy urzędu i wojskowe, choroby dzieci, dla których zdobycie w tych warunkach odpowiedniego pożywienia było problemem tak jak i warunki mieszkaniowe, ogromnie skomplikowane.

Po bitwie pod Gorlicami, gdy udało się Austrii przy dużych stratach linię frontu przesunąć na wschód – pojawiła się dla naszej rodziny możliwość pobytu w Krakowie, a nawet w Radomyślu, ostatecznie w 1919 r. zamieszkaliśmy w Ostrowie Wlkp. na ul. Zdunowskiej nr 24, bo w tym mieście polecono ojcu organizację sądu. Tam wypadło mi rozpocząć naukę w szkole powszechnej. Pamiętam tylko jedno, że gdy mnie prowadzono do szkoły, zanosłem się od płaczu, widocznie instynktownie wyczuwając, że to będzie trwało 12 długich lat.

Ze wspomnień tego okresu staje przede mną postać mojego starszego brata, przychodzącego do domu straszliwie umazanym po pracy w gazowni, gdzie użyto młodzieży szkolnej jako „łamistrajków” wobec robotników domagających się lepszych warunków pracy i lepszego wynagrodzenia. Z jednej strony praca młodzieży zapewniała dalszy dopływ gazu, a z drugiej strony rodziła nienawiść klasy robotniczej, której strajk nie dawał spodziewanych efektów.

Ze wspomnień dziecięcych pozostały jeszcze sceny pożegnań pociągów, które wyruszały w stronę Śląska, by pomóc walczącym powstańcom. Znajomości i koleżeństwa – z pojedynczymi wyjątkami – nie przetrwały próby czasu.

Po plebiscycie na Górnym Śląsku i po wytyczeniu granic ojciec widocznie sprawdziwszy się wykonywaną pracą, został przeniesiony do Katowic z zadaniem zorganizowania pracy Sądu Powiatowego przy ul. Mikołowskiej. Po pewnym czasie przeniosła się do Katowic cała rodzina i zamieszkała przy ul. Gliwickiej nr 1 na pierwszym piętrze. Dla nas dzieci urozmaicenie nie było jakie – chociaż miało za sobą zerwanie zawartych znajomości oraz złamanie więzów koleżeńskich.

Przeniesiony w marcu 1923 roku do klasy III w szkole na ul. Jagiellońskiej - kończyłem IV klasę w roku szkolnym 1923-1924 w szkole na ul. Dąbrówki, by we wrześniu 1924 r. rozpocząć naukę w Gimnazjum im. Adama Mickiewicza przy jego ulicy. Z kolegów szkół powszechnych pozostała tylko jedna trwała znajomość: August Olszówka, późniejszy o. Wojciech ze Zgromadzenia Księża Salwatorianów, z którym spotykaliśmy się w życiu często.

Gimnazjum

Osiem lat życia związanych z jedną szkołą i jej wychowawcami, to poważny szmat czasu, tym bardziej, że w tym okresie kształtował się charakter człowieka. Oparciem był przede wszystkim dom. Ojciec niestęchanie solidny i pracowity, rozmiłowany w porządku, który narzucił domowi, ale w sposób który wszyscy zaakceptowali. Mama pilnowała domu, kuchni i dzieci. Ręce miała pełne roboty, w której pomagała jej służąca – Jadwiga, potem inne. Instytucja bardzo ważna, dająca matce chwile wytchnienia, w których mogła pomyśleć i praktycznie zająć się dziećmi. Nic nie uszło jej uwagi, o wszystkim się wywiedziała i wspaniale wpływała na bieg wydarzeń. Brat zdawał maturę, gdy ja kończyłem I klasę gimnazjum, a potem zaczął studia w Krakowie. Siostry chodziły do gimnazjum żeńskiego przy ul. 3 Maja – tam też należały do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Siostra Wanda przeszła do Seminarium dla przedszkolank w Mysłowicach i tam zdobyła dyplom, który pozwolił jej pracować w tej dziedzinie właściwie do końca życia.

Ojciec wstąpił do Spółdzielni Urzędniczej, która postanowiła – na dogodnych warunkach, wybudować domy jednorodzinne przy ul. Kościuszki. Doglądanie budowy zajmowało ojcu dużo czasu, ale cała rodzina z radością obserwowała postęp prac, marząc o zamieszkaniu „na swoim”, co ostatecznie stało się faktem pod nr 60. Na parterze zamieszkali pp. Czułkowscy – on urzędnik Banku Związku Spółek Zarobkowych – ona nauczycielka w Ligocie pod Katowicami, skąd sprowa-

dzili się do nas, jako dobrzy znajomi rodziców z dawnych lat. Tu urodził im się jedyny syn Zbigniew.

Ojciec w miarę swoich możliwości podejmował się dodatkowych prac, by nastarczyć rosnącym wydatkom.

Życie religijne naszej rodziny związane było cały czas z parafią świętych Piotra i Pawła – tak gdy szło o ul. Gliwicką, jak i ul. Kościuszki. I cały czas proboszczem naszym był ks. kanonik Karol Mathea. Postać bardzo ciekawa, można powiedzieć barwna, bo w czasie wojny był kapelanem wojskowym, a po wojnie, jako uchodźca z Gliwic, zamienił się parafią z księdzem Świerkiem. Kościół św. Piotra i Pawła pełnił rolę prokatedry i dlatego od 1925 roku byliśmy w tym kościele świadkami wszystkich ważniejszych uroczystości kościelnych, począwszy od ingresu pierwszego biskupa nowo utworzonej diecezji, którym został salezjanin ks. August Hlond, pochodzący z Brzęczkowic pod Mysłowicami. W samej uroczystości nie mogłem brać udziału, bo zachorował mój brat na ostre zapalenie wyrostka robaczkowego nie rozpoznane przez lekarza, co go zmusiło do bardzo długiego leżenia w łóżku. Mnie wypadło polecieć po lekarstwo i w drodze do apteki patrzyłem na wspaniałą banderę konną gospodarzy spod Piekar, którzy prowadzili orszak nowego biskupa.

Ks. kan. Mathea na ul. Kościuszki zwykle sam przychodził „po kolędzie” – a nam pozostawało z daleka przysłuchiwać się rozmowie ojca z nim, zanim dostaliśmy obraz na pamiątkę, na szczęście bez pytań z katechizmu.

Księża wikarzy tej parafii – to dla mnie przede wszystkim ks. Michał Brzoza, który mnie przygotowywał, razem z całą klasą do I Komunii Św. W pamięci mej został jako bardzo dobry ksiądz, którego wszystkie dzieci bardzo lubiły.

Miejsce w kościele miałem stałe – po wejściu w prawej nawie – przy drugim filarze od ołtarza, tak, że widziałem dobrze i ołtarz i ambonę.

Z kazań, gdy idzie o ambonę, utkwił mi o. Herman, franciszkanin, który wrócił z misji gdzie przebywał, chyba na Kamczatce i potrafił o swoich przeżyciach mówić bardzo frańująco. Drugą postacią, która mi z tej perspektywy pozostała w pamięci, to ks. Karol Milik, dyrektor Towarzystwa Czytelni Ludowych – ale wtedy chyba kapelan wojskowy, bo kazania miał o godz. 12⁰⁰ krótkie, ale bardzo rzeczowe. Słuchać go można było bardzo rzadko, bo młodzież szkolna była zobowiązana chodzić na wcześniejsze Msze św. W tym czasie zbudowano osobny kościół garnizonowo – szkolny pw. św. Kazimierza, w którym dla młodzieży męskiej była Msza św. o godz. 8¹⁵ a dla

żeńskiej o 11⁰⁰ . Budowniczym kościoła był ks. Sinkowski, kapelan wojskowy, podpadający poprzez czarną brodę jaką nosił – za osobnym pozwoleniem władzy duchowej – chyba z racji grzybka na twarzy – jak wieść niosła. Następcą jego był ks. Bombas, wspaniały – naszym studenckim zdaniem – kaznodzieja, a przy tym podpadał nam, gdy w białym sportowym garniturze jeździł z raketą w dłoni tramwajem na boisko „Pogoni”, gdzie grywał w tenisa.

Naszym katechetą w I klasie był ks. Serafin, wysoki, postawny mężczyzna, niestety chory na gardło i niewiele mogliśmy z jego wykładów korzystać. Od II klasy, aż do matury prowadził nas ks. Robert Josiński kapłan z Wielkopolski, bodaj z Kępna – bardzo rozumny, spokojny, a przy tym mądry, przystępny, dzięki czemu zdobył sobie nasze serca. Zadał o powstanie w naszej szkole Sodalicji Mariańskiej, którą wtedy na terenie Polski prowadził ks. Winkowski z Zakopanego. Sodalicja zdobyła sobie bardzo dobrą opinię na terenie szkoły, należeli do niej bardzo dobrzy uczniowie, a nabożeństwa raz na miesiąc odbywały się w kaplicy szpitalnej siostr elżbietanek na ul. Warszawskiej.

Istniała też przy szkole drużyna harcerska, ale mimo sympatii, jaką darzyłem skauting, do drużyny nie należałem.

Wyrażać swoją opinię o profesorach jest bardzo uczniowi trudno, gdyż na ogół sympatią darzono tych, którzy niewiele wymagali i byli – jak się mówiło „dobrzy”, a tymczasem najwięcej nauczyli właśnie ci twardo wymagający i stawiający wyraźne zadania. Tak został w mojej pamięci prof. Józef Pletnia, który od V klasy przejął naukę języka greckiego – w systemie neohumanistycznym, do którego naszą klasę zaliczono. Jeżeli w pierwszym półroczu otrzymałem ocenę niedostateczną, a ojciec postarał się dla mnie o korepetycje na pewien czas – to w późniejszym czasie nie miałem już trudności. Na maturę wybrałem język grecki i pracę pisemną napisałem tak dobrze, że z ustnego egzaminu zostałem zwolniony. Do dziś dnia i dla wymagającego profesora, i dla przedmiotu zachowałem ogromnie dużo respektu. Podobnie chyba było z fizyką, której uczyli nas profesorowie Tylek i Smoleń, obaj wspaniali wychowawcy i nauczyciele tak, że na maturze zdawałem fizykę. Do matematyki nie mieliśmy przekonania, bo prof. Mikołaj Orlicki sam matematykę umiał wspaniale, ale chyba nie udało mu się tej wiedzy przekazać uczniom w należyty i wystarczający sposób. Prof. Wypler był chyba geniuszem swoistym, bo tłumaczył poezję chińską na język polski, ale języka niemieckiego nam nie przyswoił, chociaż był wspaniałym recenzentem sztuk teatralnych w „Kattowitzer-Zeitung” dzienniku, wychodzącym w języku niemieckim. Gdy w I klasie kazał nam kupić „Die Reuber” Schillera

w wydawnictwie „Recklam-a” a więc pismem gotyckim drukowanym, nawet ci z uczniów, którzy cośkolwiek z domu po niemiecku umieli – nie bardzo rozumieli o co właściwie chodzi.

Pana prof. Hamburgera, piewcę organizacji „Sokół” a naszego nauczyciela gimnastyki, pamiętam przede wszystkim z rozkazu końżącego poszczególną lekcję: „Stanie na rękach, odmarsz do szatni”, co się niektórym nawet udawało.

Gdy myślę o dobrej opinii jaką się gimnazjum im. A. Mickiewicza cieszyło sądzę, że na pewno wielką rolę odegrali w tym dyrektorzy. Kolejno miało gimnazjum, jeżeli tak można powiedzieć – „szczęście” do kierownictwa zakładu. Do uczniów nie dochodziły wieści o sporach czy nieporozumieniach wśród profesorów a dyrektorzy kolejni cieszyli się poważaniem i mieli urobiony autorytet - np. dyrektor Ciembroniewicz, co pozwalało szkole pracować spokojnie i zadania pedagogiczne wykonywać dobrze. Jeżeli takie świadectwo może o szkole ogólnie dać uczeń – który chodził do niej 8 lat – to chyba dobrze o niej świadczy.

Oczywiście pojedyncze wypadki mogłyby temu zaprzeczyć, ale były jednostkowe. Niewiadomski, syn komisarza Policji poskarżył się ojcu, że go prof. Ranoszek bije. Ojciec przyszedł ze skargą do dyrektora, dyrektor musiał rozmawiać z panem profesorem, bo pewnego dnia po wejściu do klasy pan prof. Ranoszek, woła: „No, Niewiadomski chodź do tablicy”. Chwycił go za ramiona i zaczął nim uderzać w ścianę i wołał: „Czy ja cię biję?”. Niewiadomski już się więcej ojcu nie poskarżył. A profesor był nerwowy. W czasie I wojny światowej był pod Verdun, czasem o tym wspominał – „wy nie wiecie co się tam działo!” – i dlatego na ogół jego nerwowe porywy były przez uczniów zrozumiałe. Prawdą było, że w niższych klasach lekcje łaciny były przyjmowane z lękiem, a nawet strachem. Był to autorytet naukowy wysokiej klasy i chyba poszedł później na Uniwersytet Warszawski jako znawca sanskrytu – tak niosta wieść. Zmiany profesorów z poszczególnych przedmiotów zdarzały się – ale chyba nie poza przypadki konieczne.

Języka polskiego przez pewien czas uczył nas prof. Płomieński, znawca literatury, chyba nieco romantyk, jak go uczniowie charakteryzowali. Do historii przeszła recytacja „Ody do młodości” A. Mickiewicza przez ucznia naszej klasy, chyba nazywał się Kurzok(?). Pan profesor słuchał z ręką w charakterystycznym geście założoną za głowę – zapatrzony w okno – aż do momentu, gdy uczeń zamiast słów: „do nieba pójdzie po laury” – głośno i dobitnie powiedział: „do

nieba pójdzie do Laury". Klasa w śmiech, panu prof. ręka opadła – nastrój prysł – recytacja została przerwana. Dalszego ciągu nie było.

Z charakterystycznych wydarzeń jakie zostały w pamięci jedno zastępuje na wspomnienie, by zilustrować zmiany, jakie zaszły na naszych oczach. Po próbie chóru w sobotnie popołudnie grupka maturzystów wraca do domu w stronę rynku. Gdy zbliżali się do synagogi jeden z nich rzuca myśl, by wstąpić do synagogi: „Młody rabin ma wspaniały głos – operowy tenor, postuchamy. Myśl znalazła uznanie i grupa 12 studentów włożywszy białe rogatywki szkolne na głowy weszła do synagogi i stanęła „pod chórem”. Żydzi uczestniczący w nabożeństwie oglądają się na nas i na siebie – ciekawi co to znaczy, co się będzie dziać?! Po pewnym czasie rzeczywiście wystąpił rabin ze śpiewem, który brzmiał wspaniale, operowy tenor. Słuchaliśmy urzeczeni, a potem wyszliśmy z synagogi i odbywszy zwyczajną przechadzkę po ul. Dyrekcyjnej, która odgrywała wtedy rolę studenckiego „deptaku” – rozeszliśmy się do domów. Gdy ksiądz przyszedł na lekcje religii w następnym tygodniu, rozpoczął ją od kazania, że to maturzyści, a wśród nich członkowie Sodalicji Mariańskiej, chodzą do bożnicy, słuchają tam śpiewów – a do kościoła to im trudno przyjść – padło słowo o zaparciu się wiary itp. Tyle nam ksiądz narobił wyrzutów sumienia, że w sobotę poszliśmy szeregiem do spowiedzi św. Zmieniły się czasy, jak widać na tak prostym przykładzie. I dobrze, że Jan Paweł II odwiedził rzymską synagogę i że toczy się chrześcijańsko - żydowski dialog i że znikają objawy antysemityzmu. Mieliśmy w jednej klasie kolegę – żyda, Pomeranc się nazywał i nie było wtedy żadnych problemów w klasie. Jeśli raz powstał spór między kolegami a nawet doszło do rękoczynów, w czym i Pomeranc brał udział, nie było to absolutnie na tle religijnym. On zostawał zresztą nawet na lekcjach religii – siadał wtedy w ostatniej ławce i odrabiał inne lekcje.

Mieliśmy też kolegę ewangelika, ale na co dzień nie podpadało to absolutnie w niczym.

Gdy idzie o kolegów, to najbliższym stali się ci, którzy po maturze poszli na teologię: Brzóska, Kania, Mandrek. Ale z innymi nawiązywały się też bliskie kontakty – z Żymetką Jankiem często chodziliśmy razem do szkoły, bo on mieszkał też na ul. Kościuszki i spotykaliśmy się niejako po drodze. Wróblewski grał pięknie na fortepianie a jego „Rapsodię” Rachmaninowa wraz z opowiadaniem z nią związaną pamiętam do dnia dzisiejszego. Miała być w swej melodii odbiciem przeżycia słynnego artysty, który miał pono uczestniczyć w ekshumacji krewnego, którego pochowano w letargu. Trudno mi to dziś wytłumaczyć,

dlaczego słyszałem ten utwór w Siewierzu gdzie – nie wiem dokładnie u kogo składaliśmy wizytę, mieszkając tam z soboty na niedzielę.

Koleżeńskie więzy głębsze niż z innymi kolegami łączyły mnie też z Gadlecem, którego siostra próbowała nas uczyć tańca.

Jedno wydarzenie z tych lat zapadło mi szczególnie w pamięci. Mogłem mieć 11 lub 12 lat. Załatwiałem coś z polecenia matki w mieście i wracałem ul. Zieloną przemianowaną później na Żwirki i Wigury, gdy nagle ktoś przeraźliwie krzyknął. Stanęliśmy na trotuarze – patrzymy w górę, a z okna na trzecim piętrze wypadło dziecko. Bawiło się piłką, piłka wypadła mu z rąk – wychyliło się i wypadło. Ktoś zakrył twarz rękami, by nie patrzeć na to, co się za chwilę stanie... A w tym samym momencie z bramy tego domu wychodził – popularna wtedy na Śląsku postać „szmaciorz”. Zbierał stare szmaty – papiery – makulaturę, powiedzielibyśmy dzisiaj – i z wielkim workiem na plecach szedł do wózka, który stał przy trotuarze. Gdy mu nagle coś ciężkiego spadło do worka, stanął i wyciągnął krzyczące dziecko, któremu dzięki temu nic się nie stało. Matka zbiegła po schodach, ledwie żywa. Z radością odebrała dziecko całe i zdrowe z rąk „szmaciorza”. Następnego dnia pisały gazety miejscowe o tym wydarzeniu z tytułem: „Przedziwny zbieg okoliczności!” – A ja jako młody chłopak, dziecko jeszcze, kombinowałem sobie – mógł „szmaciorz” przecież spóźnić się o 1 metr – albo pójść kawałek dalej – a tu w sam raz, w tej sekundzie?! Jako bardzo wtedy młodemu, wypadek ten dał mi dużo do myślenia – na całe życie!

Z kolegą Józefem Kanią zawiązały się szczególne więzi przyjaźni. Odwiedzałem ich dom w Katowicach – Dąbiu. Ojciec jego, sztygar kopalniany wprowadzał nas w problemy w tym czasie bardzo skomplikowane życia społecznego. Odwiedziliśmy z nim „bieda – szyby”. Na „Agnes grubie” – patrzyliśmy na bezrobotnych, którzy w ten sposób, nieraz bardzo niebezpieczny dla życia, próbowali zarobić trochę pieniędzy. „Bieda – szyby” wykorzystywały wychodzące na ziemię pokłady węgla – wystarczyła mała studnia wykopana, by można było wydostawać węgiel. Ale czasem studnię pogłębiano, a nawet spuszczano do niej człowieka, by wydobył węgiel. Ściany nienależycie zabezpieczone zasypywały go nieraz. Dochodziło nawet do tragicznych wypadków. Proceder tak wydobywanego węgla, wobec istniejącego prawa, był nielegalny i często interweniowała policja, co znowu doprowadzało do konfliktów z ludnością.

Osobny rozdział studenckiego życia stanowiły wakacje. Wyjeżdżaliśmy zwykle do Dobrzyc, pięknie położonego nad Rabą mia-

steczka, posiadającego ruiny zamku z czasów Kazimierza Wielkiego, zbudowanego – jak wieść ludowa niósła dla Esterki – ukochanej króla. Ojciec z Dobrzyc pochodził, tam miał swoich braci – Jana na Zarabiu oraz Sobka „na mycie” tuż przy moście, jak się do miasta wjeżdżało oraz Franciszka Podsadeckiego, po drugim mężu matki, który miał dwóch synów Janka i Franka oraz trzy córki: Jolę, Jadwigę i Helenę. Właśnie do niego zajeżdżaliśmy na miesiąc wakacyjny całą rodziną, z której tylko Kazek systematycznie się wyłączał.

Wyjazd na wakacje, dla nas trójki dzieci, był wyprawą jak z bajki. Pakowanie waliz, to było zadanie mamy – my przygotowaliśmy dla ojca papierosy – do tutek „Morwitan” maszynkami wpychaliśmy tytoń „Przedni – Macedoński” – tyle, by wystarczyło na cały miesiąc. Ojciec palił wtedy dużo, a musiało wystarczyć i na poczęstunek. Walizy, a nawet i kosz zawoził „służbowy” wózek z Sądu na kolej. Nadawano wszystko do Krakowa, do pociągu, którym jechała cała rodzina – 5 osób obciążonych jeszcze dodatkowym bagażem. Pilnowanie, by czegoś ktoś nie zgubił było sprawą mamy, która też dbała o wyżywienie w drodze, jak to z małymi jednak dziećmi. W Krakowie bagaż trzeba było przewieźć do pociągu zdążającego do Wieliczki. To była sprawa ojca. Mama pilnowała dzieci. Po załadowaniu bagażu wsiadaliśmy do pociągu, by wysiąść w Wieliczce. Tam czekała fura: drabiniasty wóz, do którego wsadzano walizy i kosz, na to wkładano siedzenie, drewnianą deskę wyścielaną słomą – sadzano wszystkich – mnie przy woźnicy i ruszaliśmy w drogę. Trwało to cały dzień i zajeżdżaliśmy do stryja nieraz późno w noc. Przywitaniom nie było końca – oglądanie dobytku – miejsc do spania dla młodzieży na strychu na sianie – opowiadanie o przebiegu podróży – o postępach w nauce – o nowościach na miejscu. Wreszcie zmęczeni wszystkim – wszyscy poszli spać. W następnych dniach odwiedzanie krewnych – w niedzielę udział we Mszy św. w dolnym kościele, bo górny, na Zamkowej Górze odwiedzany był wyjątkowo tylko. Po południu nieszpory, śpiewane pięknie przez pana organistę z ludem. Czasem w niedzielę odbywała się ludowa zabawa z orkiestrą strażacką i tańcami. Odbywały się też czasem mecze piłki nożnej w niedzielę, a gdy był deszcz zabawę przenoszono do strażnicy, część gości kryła się w kręgielni. W sobotę szło się do stryjenki „na myto”, bo piekła wspaniały chleb, a matę podptomyki przypadły dzieciom, cudowny był ich smak, wyciągnięte z pieca, jeszcze ciepłe.

Co pewien czas odbywał się też jarmark, na który zjeżdżano się z okolicy i można było zaopatrzyć się w wytwory rozmaitego rodzaju. Mama kupowała kurczęta, które potem zjadaliśmy – a my czekaliśmy

na „kukietkę”, która ze świeżym masłem smakowała wyśmienicie. Stryj był szewcem i robił chłopskie buty z cholewami w czym pomagali mu dwaj synowie. Z wyrobami swoimi wyjeżdżał raz na jakiś czas na jarmark do Bochni, furą z końmi, najętą na cały dzień, bo była to wyprawa od nocy do nocy. Dobrze gdy udało się stryjowi kilka par butów sprzedać, boć to było główne źródło utrzymania całej rodziny.

Miał też stryj nieco pola. Niewiele tego było, ale gdy przyszły żniwa, wszyscy się do pracy angażowali w miarę sił. Tym z miasta wypadało odebrać skoszone zboże, powiązać w snopki i ustawiać w kopy. Im człowiek był starszy, tym więcej mógł pomóc.

Z księżmi tamtejszymi mieliśmy raczej słaby kontakt, którego też z nami nikt nie szukał. Ksiądz proboszcz nie był ciekawą postacią. Otaaczał go ogólny szacunek, ale opinie, które o nim krążyły, a dochodziły do uszu nas młodych, trudno było uznać za pozytywne, szczególnie gdy idzie o sprawy materialne. Ojciec wyrażał to w swoisty sposób, gdy dzwonił duży dzwon zwiastujący czyjąś śmierć: - Mioł – doł – mioł – doł – mioł – doł”. Natychmiast, gdy umarł ktoś biedny – odzywała się sygnaturka, cienkim, częstym dźwiękiem, który był tłumaczony słowami: „gdyby mioł – to by doł – gdyby mioł – to by doł – gdyby mioł – to by doł...”

Bardzo jasną postacią był natomiast w opinii, jaka do nas dochodziła, ks. katecheta Górny. Starszy kapłan, od lat zasiedziały w Dobczycach. Był duszą miejscowej Kasy Stefczyka, Kółka Rolniczego oraz mleczarni - instytucji, które przeciwstawiły się na polu gospodarczym bezwzględnej hegemonii Żydów, którzy do tego stopnia zawładnęli handlem miejscowym, że np. w sobotę praktycznie nie można było niczego kupić – tylko w Kółku, albo w mleczarni. Umiał ks. Górny, znający ze szkoły wszystkich młodych ludzi, wyciągać co zdolniejszych i kierować do właściwych zadań. Tak trafił Franek Podsadecki do mleczarni, której stał się kierownikiem po pewnym czasie. Zapatrzył się przy tym w Jankę, krewną ks. Górnego, pochodzącą ze Ślemienia, po pewnym czasie pobrali się i byli bardzo dobrą rodziną.

Z czasem do Dobczyc w okresie wakacji, w czasie gdy tam przebywaliśmy, zaczęła zajeżdżać młodzież: Bolek Kucharski z Krakowa, Staszek Barycz też jak tamten kuzyn z Krakowa (krewni ze strony mamy), a oprócz tego koleżanki moich sióstr: Janka Lewicka i Stefa Motylewska, a z czasem i Adam Lubowiecki, adorator siostry Łucji. Gromada ośmiu młodych ludzi, których trzeba było wyżywić, dać im miejsce do spania – z tym nie było trudności, bo miejsca na strychu na sianie, czy w stodole na słomie, było dosyć.

Wnosili ogromnie dużo ruchu, radości i pogody (nawet w dni deszczowe), a to mojemu ojcu bardzo odpowiadało. Robiliśmy wspólne wycieczki w okolice – np. na Grodzisko koło Szczyrzyca, gdzie na stokach góry rosły krzaki malin, które wystarczyły, obok zapasów zabranych z domu, za obiad. Bolek zresztą jako przyszły lekarz twierdził, że wystarczy jedna tabletki czekolady na cały dzień, a poza tym: „wszystko jedno co wsadzisz do żołądka, gdy poczujesz głód – to może nawet być gazeta, byle soki żołądkowe miały co robić”. Nie widziałem, by sam się do tych rad nam dawanych stosował w praktyce.

W jedne wakacje, jak grom z jasnego nieba, spadła na nas wiadomość o tragicznym wypadku, jaki wydarzył się mojemu bratu Kazkowi. Do końca właściwie my młodzi nie dowiedzieliśmy się nigdy co było tego przyczyną. Znalaziono go postrzelonego z broni, którą – jak mówiła jedna wersja – czyścił. Druga wersja mówiła o próbie samobójstwa. Z wypadku wyszedł o tyle cało, że żył, ale odtąd miał bardzo duże kłopoty z chodzeniem. Ojciec przerwał wakacje i pojechał w okolice Rabki, gdzie się wypadek zdarzył i umieścił go w szpitalu, w którym dłuższy czas przebywał. Co myśmy razem z mamą w tym czasie Dobczycach przeżywali, można sobie wyobrazić. Podziwialiśmy ojca, który musiał nas do Katowic odwieźć, a potem dalej załatwiać sprawy Kazka no i swoje sądowe też. W całej tej sprawie odgrywała też swoistą rolę jakaś panna z Szarleja, koło Piekar, do której, w tajemnicy przed rodzicami, zawoziłem raz i drugi listy brata na rowerze. Po wypadku zniknęła ona z horyzontu...

Gazety codzienne opisywały ten wypadek – ojciec był jednak znaną osobistością w pewnych kręgach Katowic, przeżywał to nagłośnienie wypadku bardzo boleśnie, tym bardziej, że nadawano temu w komentarzach od razu jakieś tło polityczne. „Obwiepol” – Obóz Wielkiej Polski był w związku z tym wymieniany, chociaż nie wiedziałem czy brat w Krakowie z jakąkolwiek grupą polityczną był w kręgach studenckich związany. Różnica 7 lat była wystarczająco duża, by mnie w te „wielkie” sprawy jego studenckiego życia nie wta jemniczać.

Kalectwo strasznie skomplikowało jego dalsze życie i podziwiałem ojca, który jakoś te problemy rozwiązywał, szukając zatrudnienia dla niego w biurowej pracy w domu. Razem z kolegą wydał ojciec komentarz do opłat sądowych. Książka miała duże powodzenie. Zorganizowano wysyłkę książek, przyjmowano opłaty – wszystkim tym zajmował się brat w domu. My jako młodzi pomagaliśmy w miarę możliwości. Zyski musiały być dość duże, bo po pewnym czasie brat

mógł sobie, przy pomocy ojca kupić motocykl z przyczepą firmy „Zündapp”, w którym wszystkie mechanizmy obsługiwane nogą przerobione na ręczne, dzięki czemu mógł być przez brata obsługiwany. Po zdaniu prawa jazdy, dopuszczono go do ruchu i nieraz z bratem odbywaliśmy, ku mojej uciechu, nawet dalsze wycieczki. W najgorszej nawet sytuacji szukać wyjścia z opresji – to znowu była nauka, bardzo dosadna, z której w życiu sam skorzystałem. Ale podziwiałem w tym też siłę woli mojego brata, który nie załamał się pod wpływem nie-szczęścia jakie na niego spadło.

Z okresu wakacji przeżyciem niezwykłym okazała się pielgrzymka do Kalwarii Zebrzydowskiej na dzień 15 sierpnia. Wyjeżdżało się wozem drabiniastym całą gromadą, wśród której znalazła się też pani Dreszerówna z Krakowa. Organizatorem, który wziął na siebie też sprawy finansowe była pani Czulkowska. Pobyt nasz trwał trzy dni – nocowaliśmy w warunkach bardzo prymitywnych, w takich samych spożywaliśmy posiłki, ale wszystko składaliśmy na karb pielgrzymki, z którą związane były „Dróżki” Męki Pańskiej oraz Matki Boskiej – z kazaniem oraz wielu pieśniami. Teksty pieśni poszczególnymi wierszami przepowiadane były przez „śpiewoka” co doprowadzało nieraz do śmiesznych sytuacji, bo w zapale swojego zadania potrafił wtrącić w tekst jakąś komiczną uwagę np.: „Uważajcie w moście dziura”, co podchwytywali idący za nim pielgrzymi i śpiewali również ten tekst na melodię śpiewanej aktualnie pieśni religijnej.

Pogoda w dni poprzedzające pielgrzymkę była deszczowa, błoto było straszliwe szczególnie w podejściu pod górę ukrzyżowania i dlatego funkcja „śpiewoka” okazywała się bardzo praktyczna. Nikt nie mógł książeczki z tekstem pieśni utrzymać w ręce, bo trzeba było uważać pod nogi, by nie wpaść w błoto, co niestety zdarzało się niektórym pielgrzymom. I to nawiązywało do treści „Drózek”, w których znajdowały się kaplice pierwszego, drugiego, czy trzeciego upadku pod krzyżem Chrystusa Pana.

W całości pielgrzymka była ogromnym przeżyciem religijnym, szczególnie procesja z figurą „Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny”, która odbywała się 14 sierpnia wieczorem. 15 sierpnia po Mszy św. wracaliśmy wozem do Dobczyc, gdzie nas uroczystie powitano przed kościołem.

W starszych klasach gimnazjum potworzyły się już znajomości koleżeńskie, także wśród młodzieży męskiej – późniejsi koledzy ze studiów teologii – Kowalski i Miron – jak i wśród młodzieży żeńskiej gromadzącej się w zasięgu pani nauczycielki Walasówny, studentek seminariów nauczycielskich. Jedna czy druga wpadła w oko

młodemu studentowi na krótki okres czasu – ale gdy po jednych wakacjach siostry moje odkryły na moim biurku sznur niebieskich korali otrzymanych na pamiątkę od jednej z wielbicielek wakacyjnych – obnosiły te korale po wszystkich pokojach i śmiechom nie było końca w całym domu. Poważny student „z miasta” zdobył sobie takie poważanie, że gdy pewnego dnia niedzielnego sędziego nie przyjechał na ogłoszony mecz piłki nożnej – Kowalski, kolega który grał bardzo dobrze w piłkę zaproponował, bym ja sędziował ten mecz. Obie drużyny wyraziły na to zgodę i oto pierwszy raz w życiu wypadło mi pełnić tak poważną rolę, mimo młodego wieku. Mecz się odbył ku zadowoleniu obu drużyn i zgromadzonej dość licznie publiczności. Ja ze swej funkcji nie byłem zadowolony, ale poza kilku gwizdami i okrzykami niezadowolenia po pewnych decyzjach, reakcji wrogich wobec sędziego nie zauważyłem i nie słyszałem żadnych obraźliwych zawołań, jak na innych meczach w rodzaju: „kanarki doić a nie mecz prowadzić”. Doprowadzenie meczu do końca i odgwizdanie jego zakończenia bez ekscesów uważałem za swój osobisty sukces i powaga moja wśród miejscowych studentów bardzo wzrosła co się pokazało w kręgielni, gdzie się na co dzień spotykaliśmy. Z czasem, gdy nabrałem pewnej wprawy w celnym rzucaniu kulami do kręgli, wzrosło zainteresowanie studentem „z miasta” wśród koleżanek, co zaowocowało stworzeniem chóru studenckiego na czas wakacji, który raz czy drugi wystąpił w kościele, by dodać splendoru ślubowi starszego kolegi, czy starszej koleżanki, którzy postanowili założyć nową rodzinę. Wszystkie te kontakty pozrywały się, gdy po maturze przestaliśmy przyjeżdżać do Dobczyc.

I znowu przychodzi refleksja, że najważniejszy był dom: rodzice, brat i dwie siostry. Mógł człowiek zawsze na nie liczyć – nie zawiodły nigdy. Gdy pewnego razu, po wycieczce szkolnej z całą klasą – z dwoma kolegami pozostaliśmy dłużej na Muchowcu – to mogła być II najwyżej III klasa gimnazjum – wracam około godziny 9⁰⁰ wieczór – jesień, było już bardzo ciemno, Tata pełen niepokoju czekał na mnie, zrobiwszy wywiad w szkole, że wszyscy powinni być w domu o 18⁰⁰. Po wstępnych pytaniach i odpowiedziach ujrzałem w jego rękę „harap” – rączka z drewna, do której przyczepione były rzemyki skóry dosyć twardej – używał go ojciec tylko w sytuacjach nadzwyczajnych – i zaczęła się egzekucja. Ja w krzyk. Ale na to przyleciały obie siostry i podjęły takie larum, że tata przestał bić, a ja byłem im za to ogromnie wdzięczny. Przeżycia wakacyjne, wspólne gry i zabawy zrodziły więc nieprawdopodobnie silną. Święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy spędzane były w zasadzie w domu. Szczególnie pierwsze święto

nie dopuszczano przez lata żadnego wyjątku. Dopiero w drugie święto można było złożyć wizytę, lub goście przychodzili do nas. Ojciec zabiegał o to, by wszyscy mieli co robić, bo wymyślał takie gry, że wszyscy byli zajęci. Małe kręgle pokojowe, gry towarzyskie, fanty, gra w karty, przy czym przed 1930 rokiem płaciło się milionami zdewaluowanych po wojnie pieniędzy. Wigilia Bożego Narodzenia miała swój ceremoniał, przygotowany już w przeddzień i w samą wigilię strojeniem drzewka, klejeniem kolorowych łańcuszków, zawieszaniem baniek i świeczek (nie było jeszcze elektrycznych) – to należało do ojca. Bo mama rządziła w kuchni, gdzie z czasem obok służącej pomagały jej moje siostry, które w ten sposób uczyły się gotowania i muszę przyznać, że sztukę tę zdobyły w wysokim stopniu.

Gdy zabłyśta pierwsza gwiazda na niebie, siadaliśmy do stołu co poprzedzone było odmówieniem całego pacierza z wyznaniem wiary i przykazaniami Boskimi i kościelnymi. Potem następowało łamanie się opłatkiem, zaczynali rodzice, a potem podchodzili do nas – i my wzajemnie do siebie. Obowiązkowo brała w tym udział służąca, z których obok Jadwigi najbardziej wbiła się w moją pamięć Joasia późniejsza pani Mastalerzowa. Pierwszą potrawą – barszcz czerwony z uszkami – spożywano tylko przy blasku dwóch świec, które stały na stole obok krzyża. Po barszczu następowały obowiązkowo jeszcze 11 innych potraw, z których trzeba było z każdej choćby troszeczkę spożyć. Najważniejszą potrawą był karp, który kilka dni wcześniej pływał w wannie, czasem dwa lub trzy, w zależności od wagi i znikał w przeddzień wigilii. Po spożyciu wigilii zasiadaliśmy przy choince, na której płonęły świeczki i śpiewaliśmy kolędy. Były w domu „kantyczki” - gruba księga niewielkich, ale charakterystycznych rozmiarów ze zbiorem kolęd i pastorałek, których ojciec znał nieprawdopodobną ilość. Od niego uczyliśmy się i my, bo kolędy śpiewało się po kolacji we święta i w niedziele przypadające aż do 2 lutego, chyba, że w niedzielę wyjeżdżała rodzina z wizytą. Dzięki temu znajomość kolęd utrzymała się w rodzinie na długie lata. Że przy wigilijnym stole stał jeden talerz dla przypadkowego gościa – to oczywiste, ale nie zdarzyło się, by w ten wieczór kiedykolwiek ktoś obcy do nas zawitał.

Dzieci obdarowywane były w dzień św. Mikołaja 6 grudnia i znajdowały rano pod poduszką podarunki w przedziwny sposób przez dobrego biskupa tam składane.

Jeśli wrócić jeszcze do dziecięcych przeżyć wakacyjnych z Dobczyc, bardzo dla mnie – jako dziecka wtedy – przykrych, to był to chyba drugi nasz przyjazd do stryja. Ni stąd ni zowąd wpadłem do pokoju, w którym leżała chora Lola, córka stryja – moja kuzynka.

Zawsze była chorowita, ale w porównaniu z ubiegłym rokiem, gdy ją poznałem, choroba poczyniła znaczne postępy. Widząc ją – zamiast się spokojnie przywitać krzyknąłem: „Lola, jaka ty jesteś chuda!”. Na to chora wybuchnęła płaczem – a ja skonsternowany wypadłem z pokoju, tak jak do niego wpadłem. Inni członkowie rodziny próbowali chorą uspokoić – a ja oberwałem za swoje! Próbowałem potem Loli wynagrodzić moje spontaniczne odezwanie się częstymi wizytami u łóża chorej, co w jej chorobie niestety wiele nie pomagało, bo po powrocie do Katowic, późną jesienią otrzymaliśmy wiadomość o jej śmierci. Powodem był długotrwały katar żołądka.

Z przeżyć ostatnich lat pobytu w gimnazjum trzeba jeszcze wspomnieć wystawienie przez nas „Zemsty” Fredry na deskach prawdziwego Teatru Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach tyle, że w godzinach popołudniowych jako przedstawienie dla młodzieży szkolnej i rodziców. Przedstawienie odniosło pełny sukces, a pan prof. Tylek skwitował je tylko jedną uwagą krytyczną: „A jegomość Kania do swojej roli Cześnika musi nieco utyć!”.

Pod koniec roku klasy maturalnej ks. Josiński zorganizował rekolekcje zamknięte w Domu Rekolekcyjnym ojców jezuitów w Dziedzicach i zaprosił do ich prowadzenia o. Andrasza z Krakowa, redaktora czasopisma „Postaniec Serca Jezusowego”. Uczestniczyło nas dość wielu, żeby nie powiedzieć wszyscy, a relacje z rekolekcji między kolegami były raczej bardzo pozytywne.

W ostatnim roku oddziały „a” i „b” zostały połączone, co nie pomogło w naszym życiu się, ale była to jakaś konieczność organizacyjna. Maturę zdawaliśmy w maju 1932 roku. Przeżycie nie było jakie. Podenerwowanie ogromne. Po egzaminie pisemnym – ustny przed komisją – pierwszy poważny egzamin życiowy! I ogromna radość na wiadomość, że maturę zdałem! Otrzymałem świadectwo dojrzałości mając 18 lat bez dwóch miesięcy.

Studia

Mając świadectwo dojrzałości trzeba było podjąć decyzję: co teraz?! Od dawien dawna towarzyszyła mi myśl, by pójść na teologię. Byłem chłopcem spokojnym, do kościoła lubiłem chodzić, podobała mi się liturgia, chociaż ministrantem nigdy nie byłem. Należałem do Sodalicji Mariańskiej w gimnazjum i miałem do Matki Boskiej nabożeństwo szczególne, można powiedzieć czysto osobiste. Siostrzom dwóm miałem do zawdzięczenia, że na dziewczęta patrzyłem dość naturalnie i spokojnie, co nie wykluczało, że niektóre robiły na mnie wrażenie

i wyraźnie mi się podobały. Celibat nie wydawał mi się trudnością, o którą miałyby rozbić się moje plany. Ojciec zostawił mi zupełną swobodę wyboru. Mama też. Ojciec prosił tylko o jedno: „jak się zdecydujesz to trzymaj się potem tego. Szczególnie gdybyś miał pójść do seminarium, żebyś potem sutanny nie zdejmował”. Popierał to swoje zdanie przykładami, które znał. Oświadczył przy tym – zdając sobie sprawę z tego, że studia kosztują, że będzie na nie dawał pieniądze niezależnie od tego, jaki kierunek studiów wybiorę. Ostatecznie po rozmowie z ks. Josińskim napisałem prośbę do ks. rektora Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, dołączyłem potrzebne załączniki i po przedstawieniu się osobistym – otrzymałem odpowiedź pozytywną. Przy tej okazji przedstawiłem się też swojemu proboszczowi ks. kanonikowi Mathei, który nie ukrywał swojego zadowolenia i radości.

Seminarium Śląskie znajdowało się w Krakowie. Trochę to było daleko, ale po pewnym czasie każdy z nas zrozumiał jaką mądrą była ta decyzja, by tam to seminarium zbudować. Wykłady mieliśmy na Uniwersytecie Jagiellońskim, który miał Wydział Teologiczny obsadzony naukowymi powagami, niektórymi najwyższej klasy. Szło to po linii tradycji wrocławskiej, jaką reprezentowali duchowni w diecezji pracujący. A poza tym Kraków, jako stara stolica Polski, działał swoją kulturą i atmosferą, jaka w nim panowała, wiążąc młodych teologów, przyszłych księży z polską tradycją w najlepszym wydaniu. Architektura, zabytki, teatr, filharmonia – to wszystko działało, wywierało wpływ. Po latach, już jako ksiądz spotkałem w Krakowie kolegę z mojego rocznika (ks. Hojka) – pytam go: „Bertold, co ty tu robisz?” A on mi na to – „Wiesz, jak mam dzień wolny, to lubię sobie tu do Krakowa przyjechać, idę na Wawel, potem, do Kościoła Mariackiego, pochodzę ulicami, wstąpię do księgarni i zadowolony wracam do domu odnowiony duchowo”.

To było chyba u źródeł decyzji, by Seminarium Śląskie było w Krakowie. Rektorem Seminarium był ks. prałat Stanisław Maśliński, który swoją rolę traktował bardzo poważnie i cieszył się autorytetem. Prefektem był ks. diecezjalny Pszczółka, a Ojcem Duchownym ks. Rzychoń ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, Ślęzak.

Na pierwszym roku mieszkaliśmy po czterech w pokoju razem z seniorem z III roku. Warunki życia były bardzo dobre i odpowiadały wyobrażeniom, jakie o Seminarium mieliśmy. Kuchnię prowadziły siostry zakonne i na jedzenie – poza jakimś wyjątkami – nie narzekaliśmy.

Po pierwszym roku nastąpiła zmiana na pozycji Ojca Duchownego. Ojciec Rzychoń zginął w czasie wakacji, ponoć utonął, kąpiąc się w rzece. Na jego miejsce przyszedł ks. dr Walerian Jasiński. Po studiach dogmatyki w Rzymie, zakończonych zdobyciem doktoratu poszedł na wikariat w Dąbiu, by po roku pracy tam objąć stanowisko Ojca Duchownego. Bardzo szybko zdobył sobie sympatię zdecydowanej większości kleryków swoją żywością odzywania się do nas, mądrością, która przebijała z jego słów, gdy nam w konferencjach i punktach medytacyjnych przekazywał np. dogmat o łasce, jakże bliższej życiu niż to czynił podręcznik ks. Sieniatyckiego a nawet wykłady na Uniwersytecie. Chyba zaimponował i zdobył sobie swoim zapałem, który bił z jego słów, serca szczególnie młodszych roczników, zapatrzonych bez reszty w niego. Mnie osobiście zaimponował bez reszty i dlatego, gdy w rozmowie wyszło, że umiem pisać na maszynie zgodziłem się niejedną godzinę wakacyjną spędzić na pisaniu książek, które ks. Jasiński dyktował chodząc po pokoju swojego mieszkania przy ul. Plebiscytowej. Książki jego cieszyły się ogromną popularnością wśród młodego nauczycielstwa, dla którego miewał często konferencje czy rekolekcje.

Z ks. prefektem mieliśmy mniej kontaktu osobistego, a raczej tylko administracyjny, gdy uiszczaliśmy opłaty miesięczne. Ks. rektor miał raz w miesiącu sobotnią konferencję ascetyczną, dobrze przygotowaną i bardzo zasadniczą w treści. Poza tym miał z nami lekcje języka niemieckiego. Chodziło głównie o tych, którzy tego języka w domu nie znali, a przecież – jako przyszli księża tej diecezji musieli ten język opanować do piątego roku przynajmniej na tyle, by móc słuchać spowiedzi św., szczególnie ludzi starszych, którzy wyznając swoje grzechy, zawsze – przez całe życie, tylko tym językiem się posługiwali. Lekcje oparte były przede wszystkim o tekst katechizmu, który w diecezji używany był na lekcjach religii dla dzieci mniejszości niemieckiej i zapoznał nas z pojęciami niejako „technicznymi” używanymi zwykle w kościele. Uważaliśmy te lekcje za pożyteczne, a ponieważ nie był z nimi związany egzamin, chodziliśmy na nie chętnie. Innymi zajęciami popołudniowymi były próby chóru, a później ćwiczenia fonetyki prowadzone przez ks. prof. Wilczewskiego, który zresztą mieszkał w Katowicach w naszym sąsiedztwie przez ulicę, a któremu nadaliśmy przydomek „Szplint”, może ze względu na jego bardzo szczupłą posturę. Mnie upatrzył sobie wnet jako królika doświadczalnego, gdy idzie o oddychanie przeponą i użył mnie w tym charakterze na kursie duszpasterskim dla archidiecezji krakowskiej, na którym w tym charakterze poznałem dość wcześnie „Księcia Pana”, którym to tytułem darzono

ks. arcybiskupa Adama Stefana Sapiehę. Nie była to oczywiście najbardziej „honorowa” okazja, gdy mnie rozebranego, lecącego na stole oglądali kolejno podchodzący do stołu uczestnicy kursu, podziwiając jak ja mniej czy więcej udanie poruszałem przeponą, co przy kazaniach miało ułatwiać oddech. I ułatwiało faktycznie!

W związku z tymi ćwiczeniami przeżyłem i taką komiczną historię, gdy pewnego razu do auli, w której były zgromadzone 3 roczniki nagle wszedł nasz kolega Machulec i wykorzystując przerwę w wykładzie, od balkoniku, poprzez który wchodziło się do auli schodami, krzyczy na cały głos: „Ks. Szplint prosi o Jeża”. Cała sala wybuchła gromkim śmiechem ze względu na fakt, że tego przydomka, jakim obdarzyliśmy zacnego profesora fonetyki, nigdy nie używało się publicznie i urzędowo a tu w dodatku razem z drugim charakterystycznym nazwiskiem.

Wykładowcy na Uniwersytecie mieli w naszych oczach bardzo różną opinię. Największą sławą cieszył się ks. Konstanty Michalski, profesor filozofii średniowiecznej, i z tej racji zapraszany był na międzynarodowe zjazdy w tej materii. Dla nas – nie ukrywam – był trudny. Gdy na pierwszym semestrze zaczął wykłady od tez św. Tomasza z Akwinu i to w języku łacińskim, muszę przyznać, że niewiele z tego na początku rozumieliśmy. Dopiero gdy się człowiek nieco osłuchał, gdy dostał skrypt, by przeczytać to co usłyszał – wtedy zaczęło być lżej.

Zupełnym przeciwieństwem były wykłady ks. biskupa Michała Godlewskiego specjalisty od historii Kościoła Powszechnego. Był profesor Akademii z Sankt Petersburga potrafił urozmaicić wykłady „wkrętami” wprost współczesnymi, miał język kwiecisty, obrazowy, dzięki czemu postaci z zamierzchłych czasów stawały przed nami jak żywe. Pełen dowcipu i humoru – szczególnie w dni pogodne, gdy barometr szedł w górę, a jemu reumatyzm nie dokuczał – potrafił w szare życie pierwszego rocznika wprowadzić klimat pogody i radości. Gdy pewnego dnia zgodził się wygłosić wykład na temat „Bartolomeo de las Casas” – największa sala Collegium Novum nie mogła pomieścić wszystkich słuchaczy.

Mieszkał u ss. Sercanek na placu Jabłonowskich i tamże – na tym placu - naprzeciw – miał wykłady, na które trafiali czasem studenci a nawet studentki. Witął je wtedy swoim odezwaniami: „Dzieci kochane – to wy też na księży?!”.

Na drugim roku wykłady historii Kościoła w Polsce przejął ks. prof. Glemna, na którego seminarium zacząłem chodzić i u niego pisałem pracę magisterską.

Charakterystyczną postacią był też ks. prof. Grzelak, wykładowca teologii fundamentalnej – zwanej też apologetyką. O nim krążyły różne wieści między klerykami, jako że na wykłady chodziliśmy razem z klerykami Seminarium archidiecezji krakowskiej oraz diecezji częstochowskiej, bo i seminarium tej diecezji znajdowało się w Krakowie – z drugiej strony Wawelu niż krakowskie. Ks. prof. Grzelak pochodził z Poznania i dawał temu nieraz wyraz podkreślając w niejednym wypadku wyższość Wielkopolski nad Małopolską, jak to już sama nazwa tych dzielnic Polski miałaby sugerować. Często spóźniał się na wykłady, podkreślając przy tym, że nie długość wykładu stanowi o jego wartości i wysokiej jakości.

Opowiadali sobie klerycy seminarium krakowskiego, że raz „Księżę Pan” przyszedł na egzamin ks. prof. Grzelaka w sutannie z fioletowymi guzikami a ks. prof. jednego ze studentów miał zapytać: „A te fioletowe guziki – to z Bożego ustanowienia, czy ludzkiego?”. „Księżę Pan” miał wyjść z egzaminu nie czekając na odpowiedź. Trudno było nam ustalić, czy to był fakt, czy historia zmyślona, ale nawet jak zmyślona to odpowiadała nieco ekscentrycznej postaci, jaką był ks. profesor. Był zresztą nierówny w ocenie studentów czego doświadczyłem na własnej skórze otrzymawszy po pierwszym roku stopień dobry na egzaminie, a po drugim musiałem zdawać egzamin poprawkowy po wakacjach, które ta ocena mi w połowie zepsuła.

Jeszcze gorzej poszło kolegom po pierwszym roku z historii Kościoła, bo po południu przeszła nad Krakowem burza, ks. biskup Godlewski czuł się fatalnie i jedną piątkę wyrzucił całą i kazał im zdawać po wakacjach. Tak to czasem z egzaminami bywało. Pierwszy i drugi rok minął stosunkowo spokojnie i nic nie zwiastowało tragedii, jaka miała się rozegrać na roku trzecim 1934-1935.

Przedtem trzeba jeszcze powiedzieć, że klerycy Śląskiego Seminarium Duchownego w przeciwieństwie do kleryków Krakowa i Częstochowy chodzili na początku „po cywilu” a sutanny przywdziewali dopiero po otrzymaniu tonsury, na trzecim roku. Ale nawet wtedy dopuszczony był wrocławskim zwyczajem tzw. strój krótki, to znaczy kołnierz kapłański zwany koloratką i szary garnitur, czasem frak lub krótsza sutanna. Klerycy Śląskiego Seminarium duchownego też należeli do tzw. „Bratniaka”, organizacji studenckiej, która na sposób samorządu studenckiego starała się o mieszkania dla studentów, mając pod swoim zarządem niektóre „akademiki” i organizując samopomoc, szczególnie dla biedniejszych studentów. Swoimi składkami klerycy należąc do tej organizacji wspomagali ją i mogli z jej usług korzystać np. z domów wakacyjnych, które „Bratniak” miał

też pod swoim zarządkiem. Należeliśmy również do organizacji studentów śląskich zwanej „Silesia”, coś w rodzaju korporacji, choć nie tak samo prowadzonej. Chodziło o wzmocnienie przez nasz udział tej organizacji dzielnicowej, by ilością członków zaznaczyła się wyraźniej w środowisku krakowskim.

Po wakacjach 1934 roku zaczęły krążyć wieści, że przyszy skargi do ks. biskupa Adamskiego na zachowanie się kleryków – pono niewłaściwe – właśnie w domach „Bratniaka”, chyba w okolicach Rabki. Dotyczyć to miało też jednego diakona. Nikt nam oficjalnie o tym nie powiedział i dlatego przedstawiam sprawę tak jak ją opinia krążąca wśród kleryków podawała. Nigdy nie zajmowałem się tą sprawą z urzędu, nigdy też do akt tej sprawy nie zaglądałem. Jest to wyłącznie relacja z opinii jakie wśród kleryków były w obiegu. Badania wypadków wakacyjnych, które miały opisać nauczycielki przebywające na wakacjach w sąsiedztwie, przeprowadzał ks. prałat Skupin oficjał Sądu Biskupiego, przesłuchując poszczególnych kleryków, których uznano winnymi. Ponieważ jednym z nich był diakon, miano prośbę o jego „reductio ad statum laicalem” skierować do Rzymu. W odpowiedzi na to – jak wieść w seminarium niosta Rzym zarządził wizytację w szeregu seminariów polskich. Przeprowadzał ją o. Anzelm z zakonu karmelitów bosych, przebywający w Rzymie, ale jako Polak władał dobrze językiem polskim. Ja byłem na III roku, już po tonsurze i jako „duchowny” właśnie od tego momentu podlegałem też przesłuchaniom o. wizytatora. Odbywały się one w cztery oczy, po złożeniu przysięgi z ręką na ewangelii wobec krzyża, obok którego stały dwie zapalone świece.

Pytania dotyczyły szczegółów naszego życia seminaryjnego, poszczególnych kolegów, władzy seminaryjnej, jak również pobytu na wykładach uniwersyteckich oraz na wakacjach. Przesłuchaniom podlegali wszyscy po tonsurze, chociaż sam nie miałem jeszcze ukończonego 21 roku życia, a więc wobec prawa nie byłem jeszcze pełnoletni. Po wizytacji – życie w seminarium biegło swoim normalnym torem. Dopiero pod koniec roku wybuchła bomba: 12 diakonom, którzy już byli na rekolekcjach przed święceniami kapłańskimi, wstrzymano ich udzielenie, a nas wszystkich wezwano do Piekar na 15 sierpnia – Święto Wniebowzięcia NMP i tam ogłoszono nam w dzień po święcie werdykt powizytacyjny: 12 diakonów będzie poddanych redukcji „ad statum laicalem” bez możliwości wstąpienia do jakiegokolwiek seminarium duchownego, podobnie jak 28 innych kleryków różnych roczników – w tym również kilku i z naszego rocznika. Uzasadnienie przedstawiono w języku łacińskim, jak również decyzję o zmianie

władzy seminaryjnej. Odtąd Seminarium Śląskie objęli Księża Misjonarze CM Św. Wincentego a Paulo. W sytuacji, gdy człowiek czekał, czy jego nazwisko nie zostanie też wyczytane – nie zwracał uwagi na nic innego i dlatego szczegóły uzasadnienia wypadły zupełnie z pamięci. Zdumienie budziły tylko nazwiska niektórych diakonów oraz wspaniątych kleryków innych roczników, których człowiek dobrze znał i podziwiał ich postawę – a tymczasem musieli oni seminarium opuścić. Szczegóły uzasadnienia niektórym z nas zostały w pamięci: picie piwa „in tavernis”, tańce na uroczystości karnawałowej „Silesii”, złe zachowanie się kleryków na wakacjach itp. Gdy próbowaliśmy w rozmowie tłumaczyć sobie tak drastyczne decyzje, różne nam do głowy wypadały pomysły: O. wizytator z Rzymu, karmelita bosy, może jednak nie potrafił wniknąć w sprawy, które były zwyczajem przyjętym z Wrocławia, że po egzaminach jakaś grupa rozradowanych kleryków wstąpiła do restauracji by wypić po jednym piwie. Nikt z nas tego za przestępstwo nie uważał, tym bardziej, że w Seminarium na św. Stanisława Kostki bywało i piwo dla podkreślenia wielkości uroczystości. Ale jeśli grono kardynałów w Komisji dla Seminariów użyło słowa „in tavernis” – to miało to z włoska rzecz biorąc swoistą wymowę. Albo, że na rozpoczęcie zabawy karnawałowej kleryk poszedł w tany – prowadząc tradycyjnego poloneza – nigdy w świadomości naszej nie powstała nawet myśl, bo to było coś złego, biorąc pod uwagę, że naszą obecnością w „Silesii” chcieliśmy jedynie wzmocnić czynnik regionalny. Może odgrywała jakąś rolę różnica między obrazem kleryka śląskiego w porównaniu z Krakowem i Częstochową – może chciano temu kres położyć – ale dlaczego w tak tragiczny sposób?! Jaka była w tym rola „Księcia Pana”? Dlaczego tak bezsilny okazał się nasz biskup ordynariusz? Tym i podobnym myślom i pytaniom nie było końca. Jakże strasznie było nam żal diakonów: wszystko na prymicie przygotowane – obrazki wydrukowane – co za tragedia w domu – ojciec, matka, rodzeństwo?! Parafie, księża proboszczowie?! Coś nieprawdopodobnego!!! A przy tym chodziło w niektórych wypadkach o wspaniątych ludzi – znaleźliśmy ich przecież bardzo dobrze – obydwaj Bednorze z Katowic Janek i Ryszard (?) – Niedbała z Michałowic – Leśnik chyba z Bogucic – nasz kolega z rocznika Wiszowski (?) – nic, zupełnie nic nie rozumieliśmy! A właściwie cała ta sprawa pozostała na całe życie tajemnicą, jedną z największych jakie człowiek przeżył. A nasza władza – wspaniały Ojciec Duchowny, przez dwa lata tak dobrze pracujący – a ks. rektor, poważny, szanowany przez wszystkich człowiek?! Oni mieli być winni?! I to w latach gdy cała diecezja, wszystkie parafie tak często modliły się o powołania kapłańskie i Pan

Bóg tych modlitw wysłuchiwał – diecezja powołań miała dużo. Naraz traci 40 kleryków!!!

Oczywiście podpadło, że wyrok nie dotknął nikogo z mniejszości niemieckiej, bo między klerykami byli jej przedstawiciele, chociaż nikt tego nigdy w żaden sposób nie podkreślał. Ale wszyscy o tej przynależności wiedzieli...

Po wakacjach wita nas nowa władza i Ojcowie Misjonarze – rektor ks. Szymbor, wicerektor ks. Śmidoda, Ojciec Duchowny ks. Sinka. Na sutannach nosimy odtąd zielone pasy (Kraków miał niebieskie) – sutanny i pasy należy odtąd nosić zawsze – niedopuszczalny jest strój krótki. Nastrój prawie pogrzebowy – przygnębienie jest powszechne.

Ale cel przed nami ten sam – idzie o to, by w nowej sytuacji nie zagubić tego, co najważniejsze. Rekolekcje na rozpoczęcie roku prowadzi o. Kosibowicz, jezuita, wspaniały kaznodzieja i rekolekcjonista. Rany powoli się zablźniają – życie toczy się nadal – Panu Bogu dziękujemy, żeśmy „ocaleli” z „pogromu” – na wykłady chodzimy – życie ma swoje prawa. Wewnętrznie i duchowo pogodzić się było trudno, ale przekonanie o powołaniu zwyciężyło. Różnica w stylu prowadzenia Seminarium była szalona – może najbardziej była widoczna w pracy Ojca Duchownego, ale z czasem trzeba było i to wziąć w rachubę i pogodzić się z losem. Tym bardziej, że nadchodziły decyzje związane z przyjmowaniem święceń wyższych subdiakonu z obietnicą celibatu i brewiarza, modlitwy całego Kościoła.

Przeżycie jedno z najgłębszych jakie na drodze przygotowania do kapłaństwa przed człowiekiem staje. A równocześnie wykłady poruszały sprawy coraz bardziej zasadnicze: Pismo Święte - wykłady ks. prof. Archutowskiego, w którego sporach biblistów bardzo często pojawiało się stwierdzenie: „Proszę panów: trudno powiedzieć”, ale to tylko podkreślało trudność poruszanych problemów.

Dogmatyka ks. prof. Dąbrowskiego, jezuita, którego droga do zakonu była bardzo skomplikowana, a który swoje wykłady, spisane na kartkach, po ich wygłoszeniu darł na naszych oczach, by się w ten sposób zmusić na przyszły rok do przygotowania ich na nowo. Wykłady teologii moralnej coraz częściej wchodziły w dziedzinę kazuistyki (casus = wypadek) bardzo konkretnej, życiowej, z którą miał się spotkać za dwa lata młody ksiądz w konfesjonale i ocenić dany wypadek zgodnie z zasadami moralności katolickiej. Prawo kościelne ks. prof. Krzemieniewskiego stawiało czasem podobne wypadki przed oczy, ale konieczne do rozwiązania z innej perspektywy – czysto prawnej. Urozmaiceniem szczególnym stawały się wykłady sztuki kościelnej ks. prof. Kruszyńskiego, łączone ze zwiedzaniem miejsc bardzo żywo

ilustrujących wykładany przedmiot – szczególnie Wawelu i jego katedry.

Mniejsze wrażenie robiły wykłady z Nowego Testamentu ks. prof. Kaczmarka, czy katechetyki, na których zachwycony swoim materiałem profesor powtarzał często zwrot: „Czujecie księża?!” – na co czasem z ostatnich ławek odzywał się głos śląskiego kleroika bo oni tam siedzieli: „Otworzyć okna!”, co wyprowadzało nastrojowego profesora zupełnie z równowagi.

Wykłady z historii Kościoła w Polsce ks. prof. Tadeusza Glemny złączyły się z jego seminarium, które miało nas wprowadzić w tajniki pisania pracy naukowej i zrobiło to w całkiem nadzwyczajny sposób. Doprowadziło to do decyzji pisania pracy magisterskiej o początkach kultu obrazu Matki Bożej Piekarskiej a w skutkach pociągało za sobą konieczność ofiarowania czasu wakacyjnego, okresu wielkanocnego i wielkich wakacji na penetrację archiwum Kapituły Krakowskiej, w którym znalazłem bardzo ciekawe materiały związane z tym tematem. Zaangażowanie w niezwykle ciekawą historię obrazu kazało zapomnieć o wszystkim innym, gdyż trzeba było każda wolną chwilę czasu poświęcić na opracowywanie materiału, przepisanie go na maszynie i przedstawienie na następnym spotkaniu naukowego seminarium. Tak zbliżył się czas święceń diakonatu, który dawał nam już niezwykle prawa, bo śpiewania ewangelii i rozdawania Komunii Świętej, a z którym złączyła się dla mnie przedziwna historia propozycji, jaką postawił mi ks. rektor Szymbor, by przyjąć te święcenia w gronie trzech innych kolegów, by – po święceniach nowych prezbiterów – nie brakowało diakonów do asyst w czasie wakacji. Wtedy odważyłem się postawić ks. rektorowi pytanie: na jakich zasadach wyboru dokonano, bo ja jestem najmłodszym na roczniku: jeżeli najmłodszy będą diakonami to zgoda, ale jeżeli co innego o wyborze zdecydowało – to ja raczej poczekam do normalnego terminu święceń, by nie psuć atmosfery na roczniku. Ks. Szymbor nie ukrywał swego zdumienia, ale się nie upierał i na ten temat nie było więcej mowy – w moje miejsce ktoś inny otrzymał diakonat – a ja go otrzymałem razem z resztą rocznika w normalnym czasie tych święceń.

Jeśli wspominać jeszcze pozostałych profesorów – to pastoralną wykładał ks. prof. Bystrzonowski – skrypt był dobry i dość dokładny, tak że do zanotowania były raczej przykłady jakimi ks. profesor urozmaicał treści wykładów nie za bardzo skomplikowane. Potępiając sankcje, jakie nakładali duszpasterze na swoich wiernych opowiadał o przebiegu kolędy, w czasie której ksiądz pyta o ilość dzieci, na co zmieszani rodzice przyznają w końcu, że jest w domu jeszcze nieślubne

dziecko, ale o bardzo śmiesznym imieniu, to go nie przedstawiają. Na uparte dopytywanie się jednak księdza o to imię podają wreszcie „Gryziogonek”. Trzeba było długiego badania, by wreszcie odkryć, że gdy przyniesiono nieślubne dziecko do chrztu świętego, to ks. proboszcz nie pytając rodziców o zdanie nadawał mu imię Świętego danego dnia – a w tym dniu w kalendarzu było Chryzogona.

W tym czasie spadł na mnie też miły obowiązek udawania się do ks. biskupa Godlewskiego, w godzinach popołudniowych na brewiarz. Ks. biskup starszy już człowiek miewał zahamowania przy niektórych słowach – brewiarz odmawiany był po łacinie – i nie mógł przez nie przebrnąć. Od pewnego więc czasu zawarł taką umowę z ks. rektorem naszego seminarium, że chodził do niego jeden z kleryków, który miał obowiązek odmawiania brewiarza i odmawiał go razem z ks. biskupem, który dzięki temu swoich zahamowań się pozbywał. Obowiązek ten był miły, bo dostawał czasem człowiek ciastko, a czasem nawiązywał się dialog, zawsze bardzo miły i pełen humoru. Gdy zeszła raz rozmowa na kandydatów na biskupa sufragana – ks. biskup pyta czy to możliwe, by został nim ks. Szwajnoch. „Z takim nazwiskiem – dziecko kochane – to chyba niemożliwe” orzekł z uśmiechem ks. biskup”.

Poznałem też instytucję lokaja, wtedy już raczej rzadko spotykaną „pana Stanisława”, który raczej pełnił rolę pielęgniara, towarzysza spacerów, odźwiernego, kucharza, w ogóle „pana od wszystkiego”, co bardzo było pomocne księdzu biskupowi. Z chwilą gdy o rok niżej znalazło się dwóch starszych panów, związanych z Z.H.P., zaczęło się pod tym względem nowe życie w seminarium. Był to Bonifacy Słowik z Rybnika i Karol Bąk z Brzezin Śląskich, ten ostatni po podchorążówce. Ponieważ harcerstwo cieszyło się ogólną sympatią w społeczeństwie, a wielu księży pełniło rolę kapelanów harcerskich przy drużynach w terenie inicjatywa przez tych dwóch rzucona znalazła powszechne poparcie. Postać ks. Luzara z Trzebini była dość znana i gdy powiadomiono nas, że organizuje w czasie wakacji obozy dla kleryków – od razu znaleźli się chętni by w nich brać udział. Trochę to było późno przeżywać lata „zuchowe” po dwudziestce, ale czego się nie robi dla idei! Krok po kroku zdobywaliśmy konieczne wiadomości, sprawności, poznawaliśmy teorię skautingu Baden – Powella – a jeden i drugi obóz wakacyjny dopełnił reszty i uzupełnił braki: Nawojowa, Spała, jezioro Żarnowieckie, a przede wszystkim wyjazd reprezentacyjny drużyny harcerskiej sformowanej przez chorągiew śląską pod wodzą hm. Sławika, do której i mnie włączono – do Laxenburg bei Wien w Austrii to był szczyt mojej harcerskiej edukacji. Reprezentowaliśmy tam har-

cerstwo polskie na uroczystościach 15-lecia „Sanct Georg-Corp” – tak się nazywała katolicka organizacja skautowa w Austrii. Drużynę wybrał Sławik, w której było wielu jego osobistych znajomych, by nie wyskoczyły jakieś nies-podzianki, a na zastępowych wziął Bąka i mnie. Wspaniała to była wyprawa! – pierwsza zagraniczna w życiu. Okolice zlotu międzynarodowego wspaniała – każda narodowość otrzymała swój teren, który mogła ukształtować według swoich tradycji, na co zwracano uwagę, wobec przewidywanych wizyt wysokich osobistości życia publicznego, które rzeczywiście nasz obóz potem zwiedzały. Pamiętam wizytę kardynała Innitzera, o którym było głośno w Kościele, szczególnie w związku z nominacją naszego pierwszego biskupa Augusta Hlonda, który przez pewien czas we Wiedniu przebywał poprzednio. Obóz nasz jak i drużyna prezentowały się wspaniale, zebraliśmy też wiele pochwał. Odbyło się też przyjęcie na ratuszu w Wiedniu i z tej racji zwiedziliśmy to przepiękne miasto, częściowo tak wspaniale zdobione budynkami z czasów Marii Teresy za pieniądze zrabowane w Polsce, poprzez jej rozbiory. Ratusz swoją piękną gotycką architekturą wzbudził nasz szczególny podziw, tym bardziej, że przyjęcie odbywało się wewnątrz w pięknych salach. Po zakończeniu obozu Sławik zorganizował jeszcze wycieczkę statkiem z Wiednia do Budapesztu Dunajem. Dzień był piękny, słoneczny – na statku obok nas drużyna harcerzy węgierskich i grupa Niemców „Kraft durch Freude”, więc śpiewom na zmianę nie było końca. Raz my, raz Węgrzy, raz Niemcy. Tylko jedną pieśń śpiewaliśmy razem: „In der Heimat, in der Heimat – da gibst ein Wiedersehen”. Wtedy można było jeszcze przyjaźnie zaśpiewać, chociaż klimat już się międzynarodowo zaczynał psuć.

Prowadzenie harcerstwa było wtedy ideologicznie bardzo dobre, chociaż i w tę dziedzinę polityka zaczynała się mieszać, czego znakiem było postawienie na czele ZHP pana Michała Grażyńskiego, wojewody katowickiego i zwolennika marszałka Józefa Piłsudskiego, podczas gdy nastroje ludności Śląska były po stronie Wojciecha Korfatego. Na szczęście te sprawy jeszcze nie zepsuły linii wychowania młodzieży, do której te spory polityczne nie dochodziły, ale starszszyna orientowała się w sytuacji.

Że harcerstwo wtedy potrafiło dobrze wychować zaświadczyły o tym – niestety w tragiczny sposób – najbliższe lata.

Jako klerykom wypadło nam w Krakowie przeżyć pogrzeb marszałka Piłsudskiego, zgromadził wiele osobistości z całego świata, widzieliśmy też pana Goeringa, wystrojonego w mundur z wielu orderami. Ale historia tego pogrzebu była nam znana z postawy „Księcia

Pana", który jako gospodarz katedry wawelskiej nie zgodził się na pochowanie Marszałka w grobach królewskich, co wywołało sprzeciw organizacji „Strzelec” i legionistów. Doszło do przykrych zajęć i trzeba było zbudować nowe wejście do krypty św. Leonarda, by ominąć katedrę.

Jeśli już mowa o niepokojach społecznych, to przeżywalismy je z okazji 1-go Maja, kiedy pochody socjalistyczne napotykały na opór władz, a szczególnie granatowej policji – klerycy zaś idący w sutannach mogli się narazić na nieprzyjemności i zaczepki. Opowiadały moje siostry, które na wiosnę szły w granatowych płaszczach z przypiętymi czerwonymi goździkami na zielonym tle, jakie sobie same zrobiły na szydełkach, gdy je prawie siłą wciągnięto w przechodzący pochód młodzieży socjalistycznej, uważając czerwone goździki jako znak przynależności do tego ruchu. Jeszcze gorzej było gdy prawie regularnie wybuchały burdy studenckie, skierowane przeciw Żydom. Statystycznie wykazywano, że dwa zawody lekarski i adwokacki oraz handel są przez nich opanowane w stopniu zdecydowanie przewyższającym procent tej mniejszości narodowej. Wprowadzono wtedy na medycynie „numerus clausus”, to znaczy taką ilość studentów mniejszości żydowskiej na jaką pozwalał procent tej ludności w kraju. Ale na drugim roku już tego ograniczenia nie było i wtedy okazało się, że nie przyjęci na pierwszy rok jechali na studia za granicę i na drugi rok byli przyjmowani bez ograniczeń. Przeciwno temu studenci protestowali, bo „numerus clausus” na pierwszym roku niczego nie rozwiązywał. Ta sama sytuacja była w adwokaturze i w handlu. Rzucano hasła: „Nie kupuj u Żyda”, naklejano takie napisy na szybach poszczególnych sklepów, a nawet napadano na nie i tu i tam poturbowano personel. Ponieważ niepokoje przenosiły się też na uniwersytet – organizowano wiece i manifestacje niby w obronie handlu polskiego – rektor zawieszał na parę dni wykłady, aż się sytuacja uspokoiła. Klerycy oczywiście w tych rozruchach nie brali udziału, ale nasze wykłady też były zawieszane i mieliśmy zajęcia w Seminarium. Opinie wśród kleryków były podzielone, jeśli niektórzy przyznawali może rację pewnym argumentom, to jednak zdecydowanie wszyscy potępiali metody protestów, które tu i tam młodzież studencka stosowała, nadużywając siły i powodując straty materialne.

Współżycie różnych grup ludnościowych układało się w tym czasie bardzo różnie. Jako młody chłopak, jeździłem z ojcem do Będzina, by tam kupić tanie ubranie, bo w latach gdy człowiek rósł trzeba było prawie co roku kupować nowe i dlatego trudno było wydawać duże pieniądze na porządne ubranie. Tak samo dojeżdżały

do Katowic duże samochody transportowe z napisem „Masło – sojuz” organizacji ukraińskiej ze Lwowa, przywoząc masło, które było tańsze niż inne i bardzo szybko rozsprzedawane.

Gdy na czwartym roku byłem prezesem Kółka Misyjnego, zaprosiliśmy – oczywiście za zgodą władzy seminaryjnej – do kaplicy ks. dra Chruszcza, księdza grecko-katolickiego, który urzędował w cerkiewce obok uniwersytetu, by odprawił u nas Mszę św. w swoim obrządku. My przygotowaliśmy śpiewy starocerkiewne, celował tutaj swoim wspinałym tenorem Józef Kania z naszego rocznika i Msza św. została na wszystkich wspinałym wrażenie i była głębokim przeżyciem religijnym. W ogóle dla Śląska była to raczej sprawa folkloru niż różnic, które miały w parę lat później doprowadzić do tak tragicznych wydarzeń na wschodzie kraju.

Z kleryckich wspomnień pozostała jeszcze wycieczka rowerowa czterech kolegów z katowickiego gimnazjum Brzózki, Kani, Mandreka i Jeża na Jasną Górę. Pomodliliśmy się przed obrazem Królowej naszej i wracamy z powrotem, gdy nagle przy długim zjeździe z góry zniknął Wiktor Mandrek. Stańliśmy i wypatrujemy go, ale na darmo. „Musiało mu się coś stać” – więc wracamy – wspina się pod górę – i jest! Stoi poturbowany z pokrzywionym rowerem obok dużego wozu z węglem i wysłuchuje wyzwisk młodego człowieka, który ten wóz prowadził. Okazuje się, że coś mu się w wozie zepsuło, więc stanął pod drogą i wszedł pod wóz, by znaleźć przyczynę awarii. I w tym momencie, gdy spod wozu wychodził na drogę, Wiktor wyprzedzając wóz wpadł rowerem – całą siłą – na niego. Obaj poturbowani wstali, jakoś się pozbierali i wtedy się zaczęło: „To ty pieronie – krzychał woźnica – jo mom w sobota ślub. Wszyscy powiedzą, że mnie ta moja już przed ślubem sprąta” – to był jego największy problem. Jakoś udało nam się chłopca uspokoić i wyrwać Wiktora z jego rąk. Rower naprawiliśmy i udało nam się jako tako zajechać do kolegi Chmiela. Jeszcze tylko po drodze gdy przejeżdżaliśmy przez Kochanowice i zapytaliśmy spotkanej dziewczyny, czy to jeszcze daleko do Kochcic – odpaliła: „Nie róbcie mnie za błozna”, bo tam na kolei wszystkie nazwy miejscowości mają jakiś związek z czasownikiem kochać albo lubić (Lubliniec, Lubecko) i dziewczyna myślała, że ją pod wieczór zaczepiamy.

W domu zmiana zaszała o tyle, że Adam Lubowiecki z Myślenic, po znajomości naszego taty z panem Lubowieckim w Krakowa, został zaangażowany w Sądzie Powiatowym jako sekretarz i zamieszkał u nas w domu. Po pewnym czasie moja siostra Łucja tak mu wpadła u oko, że postanowił się z nią ożenić. Gdy poprosił urzędowo o jej rękę, rodzicom trudno było odmówić – chłopaka znali, był porządny,

pochodził z porządnego domu – miał posadę, może jeszcze nie nadzwyczajną, ale to był przecież początek jego urzędniczej kariery. Założyli rodzinę – na ślubie byłem – na weselu owszem też.

Wanda zaangażowała się bez reszty w „Przysposobienie Wojskowe Kobiet” PWK, popularnie „Pe Wu Kaczkami” zwane. Bardziej jej to odpowiadało niż bycie przedszkolanką, który to zawód po studiach w Mysłowicach na co dzień wykonywała.

I tak powoli zbliżał się koniec studiów. Pracę magisterską oddałem. Została przyjęta i pozytywnie oceniona, gdyż jako źródłowa, oparta na nie- wydanych dotychczas dokumentach (właśnie tych z Archiwum Kapituły Krakowskiej) wykraczała nawet poza normy stawiane takiej pracy. Ale okazało się, że trzeba mi jeszcze uzupełnić jeden egzamin z historii filozofii, gdyż końcowy stopień był zaledwie dostateczny – jeden jedyny. Zgłaszam się do ks. prof. Michalskiego. W przerwie między wykładami, przedstawiam mu sprawę, a on z miejsca: „Jegomość, różnica w poglądach między Avicenną a Aweroesem”. Ja patrzę na niego zaskoczony, no wiedziałem, że tacy byli. Mógłbym nawet powiedzieć kiedy żyli – ale „różnica w poglądach?!” - nic, zupełnie nic. A ks. profesor: „Jegomość – za dwa tygodnie”. Ja widząc, że to nie żarty, powtórzyłem przez te dwa tygodnie materiał sprzed trzech lat i oczywiście dostałem stopień dobry, bo o to chodziło.

Święcenia kaptańskie to przeżycie tak jednorazowe i tak niezwykle, że trudno jest wprost je opisywać. Rekolekcje odprawiane tuż przed święczeniami, przygotowały nas na tyle, że przyjmowaliśmy je z ogromnym przejęciem – tak wielkim i głębokim, że nie do porównania z żadnym innym dotychczasowym momentem życia. Przejmowaliśmy się maturą – przeżywaliśmy głęboko święcenia diakonatu – podobna była scena leżenia krzyżem w czasie litanii na Wszystkich Świętych – ale tym razem dołączała się świadomość, że odtąd będę mógł odprawiać Mszę św., że będę mógł siadać w konfesjonale, zaopatrywać chorych, szczególnie tych, którzy się żegnają z tym światem – będę księdzem, sprawującym Chrystusowe kaptaństwo, za czym człowiek tęsknił i do czego się przygotowywał przez długie pięć lat! Niedziela 20 czerwca Roku Pańskiego 1937 w kościele świętych Piotra i Pawła, który był moim kościołem parafialnym a równocześnie prokatedrą diecezji katowickiej, to był ten dzień!

Święceń udzielił nam ks. biskup ordynariusz Stanisław Adamski. Następnego dnia, 20 czerwca, w tymże kościele odprawiłem moją pierwszą Mszę św. zwaną „prymicjami”. Asystowali przy niej moi koledzy Kania i Mandrek, którzy prymicje mieli później. Ks. Brzózka po

kilku operacjach miał święcenia odłożone, bo i nie miał zdanych wszystkich egzaminów na Uniwersytecie. Kazanie polskie miał na prymicyjach ks. Walerian Jasiński, niemieckie zaś ks. Henzlok z zakonu misyjnego Marianhill. Fakt drugiego kazania i to w języku niemieckim wywołał komentarze u mojej dalszej rodziny, która nie rozumiała sytuacji Śląska, który na podstawie Konwencji Genewskiej miał przez 15 lat od jej zawarcia status specjalny (autonomię) – z dużymi uprawnieniami i samodzielnym Sejmem śląskim oraz z prawami specjalnymi dla mniejszości niemieckiej. Wywołało to swoiste komplikacje, szczególnie w okresie wyborów podwójnych do Sejmu warszawskiego i śląskiego. Zaostrzenie nastąpiło po przewrocie majowym w 1926 roku, po którym wojewodą został Michał Grażyński, a Wojciech Korfanty, bohater miejscowy z okresu plebiscytu i powstania przeszedł do opozycji. Jego gazeta, popularna „Polonia”, często ukazywała się z białymi plamami na skutek skreśleń urzędowej cenzury. Obok niej zaczęła wychodzić inna gazeta: „Polska Zachodnia”, która była wyrazicielem poglądów półdyktatorskich rządów marszałka Piłsudskiego. Konflikt ten bardzo źle zaważył na klimacie i na nastroju życia społecznego na Śląsku. Nastąpił podział, który dawało się odczuć też w dziedzinie życia religijnego – nastroje były raczej po stronie Korfantego, ale urzędy i władze stawały po stronie Grażyńskiego.

Sama uroczystość prymicyjna odbywała się w domu. Nie było to po myśli ks. kanonika Mathei, bo tradycją parafii było, że uroczystość prymicyjna nie jest prywatną sprawą a parafialną, w której biorą udział przedstawiciele organizacji parafialnych obok rodziny prymicyjanta. Rzecz urosła wtedy do ogromnego przyjęcia – a przez to i bardzo kosztownego. Ojciec znając pod tym względem bardzo dobrze ks. kanonika, z góry postawił sprawę, że uroczystość odbędzie się u nas w domu jako prywatna, do porównania np. z weselem innego dziecka. Uroczystość domowa zyskała na intymności i klimacie bardziej rodzinnym, ale straciła swój charakter parafialny. Uzupełnieniem pewnym była na następny dzień Msza św. u sióstr słuźebniczek w Panewnikach, u których ks. kanonik był kuratorem i kierował budową olbrzymiego domu, chyba prowincjalnego i chyba też szpitala. Te drugie prymicje odprawił neoprezbiter w małej kaplicy starego domu sióstr, który znajdował się tuż za murem posiadłości ojców franciszkanów w Panewnikach. Nowy dom był budowany po drugiej stronie ulicy.

Sam prymicyjant żył w tych dniach jak we śnie. Przeżywał wszystko jako nowe, przyjmował życzenia i kwiaty, podarunki i prośby o odprawienie Mszy św., bo ludzie liczą na świeżość przeżyć młodego księdza

i liczą na większą pobożność z jaką tę Mszę św. odprawi jako jedną z pierwszych w swoim życiu.

Teraz młody ksiądz dostał urlop i mógł objechać najbliższą rodzinę w towarzystwie rodziców, którzy chcieli się też pochwalić swoim synem – księdzem. Miły był ten objazd – pobyt w Dobczycach, Krakowie, Rabce i nie pamiętam gdzie jeszcze – wszędzie podziwiany młody ksiądz przyjmował gratulacje, życzenia, kwiaty. Na szczęście nie uderzyło mu to do głowy, bo równocześnie było głębokim przeżywaniem pierwszych Mszy św. z udziałem bliskich, nieraz po raz pierwszy oglądanych. Pobyt tu i tam z konieczności był bardzo krótki i stąd powtarzały się zaproszenia, by znowu do rodziny przyjechać. Ograniczony był również czas rodziców i dlatego wnet powróciliśmy do Katowic. Tu młody ksiądz podjął normalną pracę księdza wikarego, zastępując księdza, który dzięki temu mógł na wakacje wyjechać, a od 1 września podjąć pracę wikarego w Hajdukach Wielkich.

II wojna światowa. Więzień obozu w Dachau (1939 – 1945).

Moja droga do obozu

Święcenia kapłańskie otrzymałem w 1937 roku. Pierwszą moją placówką wikariuszowską były Hajduki Wielkie pod Katowicami, parafii Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny, prowadzonej wtedy przez księdza dziekana Józefa Czempieła. To był wspaniały człowiek, którego poznawałem z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc. W latach plebiscytu opowiedział się wyraźnie po stronie polskiej i dlatego po jego zakończeniu, po wyznaczeniu nowych granic, musiał uchodzić ze Śląska Opolskiego i został proboszczem w Hajdukach. Tu wspaniale pracował jako duszpasterz, proboszcz i jako działacz trzeźwościowy. Sprawnie prowadził organizację Akcji Katolickiej w swojej parafii. Postawą swoją oddziaływał również na cały dekanat. Nie zapomniano mu nie tylko jego plebiscytowej działalności, ale też i tego, że gdy trzeba było, szczególnie w okresach przed wyborami, wobec mniejszości niemieckiej zajmował jasne stanowisko i żądał tego samego od katolików. Była wtedy w Hajdukach jedna Msza św. z językiem niemieckim i w tym języku głoszone było kazanie. Opowiadano mi, że w czasie jednego z takich kazań, w okresie wyborów, gdy wyraźnie wykazywał na kogo nie wolno głosować, część słuchaczy zaczęła pod ławkami szurać nogami. Nie zbiło to z tropu kaznodziei i myśl swoją w kazaniu doprowadził do końca. W pracy duszpasterskiej kierował się w tych sprawach przede wszystkim sprawiedliwością i dlatego obok polskich stowarzyszeń istniały również niemieckie. W ich szeregach miał ks. Czempiel wielu ludzi, którzy szanowali jego oddanie i podziwiali za jego osobiste zaangażowanie dla sprawy Kościoła.

Gdy wybuchła wojna, wiedział, że za jego działalność grozi mu bezpośrednie niebezpieczeństwo. Dlatego razem z księdzem wikarym Janem Rzepką odeszli z Hajduk – jak bardzo wielu ludzi wtedy – na wschód. Ale po pewnym czasie – gdy już Niemcy byli w Hajdukach – wrócili. Nic się nie zmieniło w jego postawie, dalej rzetelny, jasno stawiający problem swojej przynależności narodowej, potrafił to okazywać też w czasach, które nastąpiły.

Gdy przed 3 maja 1940 r. rozpoczęto akcję aresztowania polskiej inteligencji pozostałej w Hajdukach, w szeregach aresztowanych znalazł się również ksiądz proboszcz Józef Czempiel. Potem dowiedzieliśmy się, że jego drogą końcową był obóz koncentracyjny w Dachau.

Przez pewien czas przebywał też w Gusen Mauthausen, skąd przychodziły listy, a potem znowu w Dachau. Ostatnia wiadomość nadeszła w połowie czerwca 1942 r. Był to telegram mówiący o jego śmierci, której powodem miał być katar jelit. Ksiądz Lokaya, który był wikariuszem prowadzącym parafię w charakterze administratora, nie było. Ja byłem jego zastępcą. Drugim wikarym był Paweł Tobor.

Gdy przyszedł telegram, pojechałem do Kurii Biskupiej, żeby zapytać, co w tej sytuacji należałoby zrobić. Po rozmowie z księdzem kanclerzem Hilarym Gwoździem zdecydowaliśmy, że Mszę św. będzie można odprawić. W nadchodzącą niedzielę wziąłem wszystkie kazania i sam w ogłoszeniach podałem do wiadomości wiernych, że zmarł proboszcz parafii, Msza św. będzie odprawiona we czwartek, a spokój duszy zmarłego proboszcza polecamy modlitwie wiernych. W środę miałem dzień wypoczynku, spędziłem go w Katowicach, gdzie był jeszcze mój brat, więc go odwiedziłem i wróciłem wieczorem około godziny dziewiątej. Ks. Tobor mówił, że był telefon z Kurii, iż Gestapo poleciło, żeby na Mszy św. nie było zbyt wielu ludzi. Zastanawialiśmy się, jak na to zareagować. Stwierdziliśmy, że w przeddzień niewiele już możemy zrobić, dlatego nie podjęliśmy żadnych kroków. W czwartek Msza św. ogłoszona na godz. – o ile dobrze pamiętam – 9.00, zgromadziła w kościele nieprawdopodobnie wielką ilość ludzi. Mszę św. odprawił ks. dziekan Czaja, ja prowadziłem modlitwy brewiarzowe. Po skończonej Mszy św. od razu telefonowano z Kurii, pytając kto odprawił Mszę św., a kto głosił Słowo Boże. Dowiedzieliśmy się, że w piątek na przesłuchanie do Gestapo został wezwany ks. kanclerz. Pytano go, co zrobił po otrzymaniu telefonu z Gestapo. Powiedział, że przekazał go do parafii, a przyjmującym wiadomość był ks. Tobor. On również został wezwany na Gestapo w sobotę i zapytano go z kolei, co zrobił, gdy otrzymał telefon, że nie ma być zbyt dużo ludzi w kościele na tej Mszy św. Powiedział, że przekazał tę wiadomość starszemu wikarym księdzu Jeżowi. Wobec tego zażądano, aby ten starszy wikarym stawiał się na przesłuchanie w poniedziałek. Tak też się stało. Przesłuchania trwały dość długo, dotyczyły bardzo różnych spraw. Obok rutynowych pytań dotyczących personaliów, pytano o to, jakie działania podjąłem, aby ograniczyć liczbę wiernych na Mszy św. za św. pamięci proboszcza Józefa Czempieła. Odpowiedziałem spokojnie, że nie mogłem podjąć żadnych działań, bo Msza św. została już ogłoszona. Przekonywałem ponadto, że gdybym zamknął drzwi kościoła, powstałby zamęt, za który byłbym odpowiedzialny i dlatego lepiej się stało, że ludzie weszli do kościoła. Odpowiedź ta została spokojnie zaprotokołowana. Padło też pytanie na

temat Volkslisty. Odpowiedziałem, że wniosek został odrzucony i nie składałem odwołania, bo uważałem, że to nie ma żadnego sensu. W tym momencie skończyła się cierpliwość przestuchującego mnie urzędnika, krzyknął, że jako inteligentny człowiek powinienem wiedzieć, że należało napisać nawet do samego Führera, on by na pewno to odwołanie uwzględnił. Na tym skończyło się przesłuchanie, którego treść on cały czas spisywał na maszynie. Zostałem wypuszczony na wolność. Opuściłem gmach przy ul. Powstańców i poszedłem do brata, żeby mu powiedzieć, o co właściwie chodziło. Na to brat odpowiedział mi spokojnie: „wiesz, Kurii Biskupiej za to wszystko na pewno nie zamkną. Ktoś inny będzie za to odpowiadał”.

Pojechałem na wakacje w połowie lipca. Za radą mojego profesora języka niemieckiego Kosza pojechałem sam w Alpy (Ötztaler Alpen) do Mandarfen – koło Imst – skąd pochodził jeden z inżynierów pracujących w Hucie Batory. Kartki żywnościowe pozbierałem od znajomych i pojechałem. Cudowne wakacje w Tyrolu, wśród górali, też Niemców, ale jakże niepodobnych do tych, z którymi mieliśmy na Śląsku do czynienia na co dzień. W niedzielę, o 4.00 rano, odprawiłem Mszę św. dla niemieckich przewodników wysokogórskich, bo nie chcieli wyruszać na szlaki bez spełnienia swoich obowiązków wobec Pana Boga. Prosił o te Msze św. ks. proboszcz kościoła, do którego codziennie schodziłem, bo sam nie mógł już iść w góry. Schroniska położone wysoko w górach były wspaniale przygotowane na odprawianie Mszy św. Stamtąd dopiero szło się na wspinaczkę na szczyt. W ten sposób w pewien poniedziałek, wraz z młodym przewodnikiem i jego narzeczoną zdobyłem Wildspitze (3.600 m n.p.m.). W najtrudniejszych momentach szliśmy powiązani liną, bo trzeba było przechodzić też przez lodowiec. Przewodnik sprawnym okiem stwierdzał szczeliny, które trzeba było pokonać. Przejście było nieraz bardzo skomplikowane i wymagało lin dla zabezpieczenia: najpierw przechodził on, a myśmy go ubezpieczali, potem jego panna, którą my obydwoj ubezpieczaliśmy, a na końcu ja przy ich ubezpieczeniu. Pannę musieliśmy pod szczytem zostawić – nie wytrzymała trudu – i szczyt zdobyliśmy we dwójkę. Nie przypuszczałem wtedy, że przeżycia i wspomnienia z tej wędrowki tak mi się przydadzą duchowo za kilka miesięcy...

Gdy wracałem do domu, pojechałem koleją przez Monachium. W poprzednie wakacje, przejeżdżając przez to miasto, wpadłem na pomysł, by „odwiedzić” ks. dziekana Czempieła w Dachau. Koleją podjechałem do miasta, a tam zacząłem się wypytywać o autobus do Dachau. Życzliwi ludzie w informacji zaczęli z kolei mnie pytać,

dokąd w Dachau chcę zajechać. Gdy powiedziałem w szczegółach, jakie mam plany, ich zdumienie nie miało końca. Nietrudno było im wytłumaczyć mnie naiwnemu i nie wiedzącemu, czym jest obóz koncentracyjny, że taka wizyta jest zupełnie niemożliwa, a zamiar mój mógł się dla mnie źle skończyć. W tej sytuacji zrezygnowałem ze swego planu, a w tym roku przejeżdżając przez Monachium tylko wspominałem sobie młodzieńcze pomysły, żeby w dwa miesiące później przekonać się naocznie, czym jest obóz koncentracyjny.

Z wakacji wróciłem na odpust 15 sierpnia, w sobotę. W niedzielę był odpust na zewnątrz obchodzony „eksterna solemnitas” bardzo uroczystie. Ksiądz Lokay rzeczywiście dokładał wszelkich starań, żeby ta uroczystość wypadła jak najwspanialej. Zaproszony był nawet chór z Bytomia i obcy kaznodzieja ks. Olma. W poniedziałek 17-go była uroczystość św. Jacka, wypadło mi odprawiać dwie Msze św., jedną o 6.00, a drugą o 8.00. Wróciłem po tej drugiej Mszy św. na plebanię i zjadłszy śniadanie poszedłem do swego pokoju. Wtedy zgłaszają mi z kuchni, że dwaj panowie proszą o rozmowę. Wyszedłem na korytarz i przedstawiają się ci dwaj panowie jako urzędnicy Gestapo. Jeden z nich powiedział, że mam z nimi iść, drugi dorzucił, żebym się ciepło ubrał. Ponieważ był sierpień, gdy mi powiedział, że trzeba się ciepło ubrać, mogłem się już wielu rzeczy domyśleć. Poprosiłem jedynie o możliwość przekazania pewnych spraw parafialnych, a zwłaszcza pieniędzy ks. Lokayowi, na co się zgodzono. Ks. Lokay pożegnał mnie serdecznie, dziękując za współpracę. Prowadzili mnie obydwoj ulicami Hajduk, czym byłem trochę zdumiony. Potem wsiedliśmy we trójkę do tramwaju. Przeszła mi po głowie nawet myśl o ucieczce, ale pomyślałem, że przecież nie mam niczego takiego na sumieniu, wobec tego nie miałaby ona sensu, tym bardziej, że inni ludzie mogliby ponieść jakąś szkodę przy ewentualnej strzelaninie.

Na ulicach w poniedziałek rano – a była może godz. 10.00 – zbyt wielkiego ruchu nie było. Zaprowadzono mnie do siedziby Gestapo: tam już wszystko zaczęło być jasne. Zrobiono mi zdjęcie, wzięto odciski wszystkich palców prawej i lewej ręki. Wyglądało na to, że sprawa zaczyna być poważna i rzeczywiście skończyło się przewiezieniem mnie karetką do więzienia w Katowicach, znajdującego się przy ul. Mikołowskiej, w gmachu tego sądu, w którym przed wojną pracował mój ojciec. Dostałem pojedynczą celę na czas śledztwa. Sytuacja była nowa, człowiek przygnębiony, nie wie dokładnie, o co tu właściwie chodzi. Zaczęły się najpierw dni samotności kompletnej. Po kilku dniach dostałem brewiarz, mogłem go odmawiać. Różaniec też, nie pamiętam dokładnie w tej chwili, skąd to wszystko wydostano, chyba

z moich rzeczy prywatnych. Pewnego dnia strażnik więzienny wniósł do mojej celi niewielkich rozmiarów paczkę. Było w niej trochę żywności i odzieży oraz karteczka z dopiskiem: „Bardzo zatroskana o swoje dzieci matka”. Domyśliłem się, że przekazała ją siostra profesora Kosza, mojego nauczyciela języka niemieckiego. Kiedyś odbyłem z nią i jej młodszym bratem wycieczkę do Niemiec. Byłem pewien, że to ona przygotowała tę paczkę, bo w czasie wycieczki nazywaliśmy ją „mamą”. A strażnik był starym urzędnikiem więziennym, który pozostał w służbie jeszcze z czasów polskich i dlatego można było nawiązać z nim kontakt. Dzięki tej paczuszce pomyślałem, że w Hajdukach znajdę miejsce mojego uwięzienia.

Pewne szansę na nawiązanie kontaktu z innymi więźniami dawały przechadzki. Dowiedziałem się, że celę sąsiadującą z moją zajmuje ksiądz ze zgromadzenia salwatorianów. Próbowałem nawiązać z nim kontakt alfabetem Morse'a, ale to nie dawało rezultatów, bo on go po prostu nie znał. No i tak doszło do nowych przesłuchań. Zaprowadzono mnie do sali, gdzie znowu ten pan z maszyną do pisania robi przesłuchanie i wszystko notuje. Przeszukano bardzo starannie wszystkie moje rzeczy, znaleziono oczywiście różnego rodzaju notatki, z których można by było się śmiać, gdyby nie to, że oni je traktowali poważnie. Była tam np. notatka o zabawie towarzyskiej w grupie harcerskiej, podczas której jeden z uczestników wychodzi, a pozostali umawiają się, że on będzie Hitlerem. Wraca nie wiedząc kim jest, ale wychodzi za to jego kolega, który został określony jako Mussolini. Oni obydwaj sami nie wiedzą kim są, ale wiedzą kim jest ich kolega i wtedy przez dialog mają dojść do tego, kim właściwie oni sami są. Wywiązuje się czasem bardzo dowcipna forma dialogu, w zależności od tego, jak inteligentni są wybrani „zawodnicy”. I tę zabawę spisałem sobie używając określenia Mussolini i Hitler. Gdy wyjaśniłem urzędnikowi przesłuchującemu treść kartki nie przypuszczałem, że aż tak poważna będzie jego reakcja z powodu tak błahej sprawy. Bardzo się oburzył takim traktowaniem ich Führera. Znalazł też legitymację z wywabionym nazwiskiem do Generalnej Guberni. Już wiedziałem, że kolega, który mi ją zostawił, był poza Śląskiem i dlatego mogłem powiedzieć, że dał mi ją kolega. Dlaczego? Mówię więc, że moja siostra zachorowała a urzędnik Gestapo w Chorzowie, gdzie prosiłem o przepustkę, powiedział mi: „jak siostra umrze, to ksiądz dostanie przepustkę.” Więc powiedziałem mu beczelnie: „gdyby pan był w takiej sytuacji i gdyby w wypadku ciężkiej choroby siostry dostał pan taką odpowiedź myślę, że by się pan tak samo zachował jak ja w tej chwili, starając się o taką przepustkę inną drogą.” Nic na

to nie odpowiedział. Zaprotokołował to. A mnie właściwie ta reakcja aż zdumiała, bo na przyszłość uczyła jakiejś metody: im bezczelniej człowiek się zachowywał i odzywał tym spokojniejsi byli oni. Natomiast im spokojniejszy był człowiek przesłuchiwany, tym ostrzej się oni zachowywali. No oczywiście pytano o różnych ludzi, którym miałem niby pomagać, podawali nazwiska, pytali czy ich znam, ja mówię: „znam oczywiście, ksiądz młody po pięciu latach obecności w parafii zna bardzo wielu ludzi, czy oni mnie znają, trudno mi nawet powiedzieć, po kolędzie się chodzi, czy przy innych okazjach”. Okazało się, że chciano mi przypisać przynależność do jakiejś organizacji podziemnej, którą w Hajdukach – jak się później dowiedziałem – ponoć wykryto. Właściwie więc to przesłuchanie i następne skończyło się bardzo spokojnie. Posiedziałem jeszcze tydzień w więzieniu, a w sumie trzy tygodnie. Pewnego dnia wezwano mnie i kazano podpisać „Schutzhaftbefehl” – taką czerwoną kartę, w której określenie mojej winy zostało streszczone mniej więcej w słowach po niemiecku – pamiętam do dziś – „gefährlich für die Aufbauarbeit in den eingegliederten Ost-Gebieten, weil er eine Manifestation für Polen organisiert hat, bei Gelegenheit einer Messe in der Kirche”. Nawet nie operatem się poleceniu, żeby podpisać, bo to była prawda, że rzeczywiście mogłem być dla nich niebezpieczny. Przecież zależało im na całkowitej germanizacji Śląska.

Po kilku dniach kazano mi wyjść z celi. Zgromadzono nas razem, skuto po dwóch kajdankami i zaprowadzono do karetki więziennej, którą przejechaliśmy na dworzec, a następnie dwójkami przeprowadzono nas do wagonu kolejowego, który był więźniarką, ale już kolejową, gdzie w poszczególnych celach było bardzo wielu więźniów. Warunki były trudne, gorąco pogarszało sytuację. Była połowa września. Pociąg jechał w kierunku Wrocławia. W pewnym momencie wywołano mnie, wyprowadzono z celi więziennej wagonu kolejowego, dano mi wiadro z wodą i kubek, i polecono, żebym roznosił wodę. Czemu właściwie na mnie padł ten wybór, trudno mi powiedzieć, dzisiaj myślę, że może dlatego, iż byłem jedynym księdzem w tym transporcie. Po rozdaniu wody wszystkim więźniom stanąłem, nie musiałem już wracać do celi. Strażnik, który nas konwojował, zapytał mnie w pewnym momencie, czy wiem gdzie jadę? Odpowiedziałem, że nie wiem. Z pewnym ociąganiem się powiedział: „no, to żebyś już wiedział, jedziesz do Dachau”. Oczywiście co to było Dachau, już wiedziałem. Wiedziałem zresztą z opowiadań, co to są obozy koncentracyjne, dużo mówiło się o nich przez radio. Lepiej, że dowiedziałem się wcześniej, co mnie czeka, mogłem się psychicznie nastawić na czekający

mnie los. Transport trwał dość długo. Przez kilka dni przebywałem w piwnicach „Polizeipräsidium” we Wrocławiu. Warunki były tam okropne, pryzce, oczywiście dużo robactwa – pcheł, wszy, brak podstawowych warunków higienicznych, bardzo podłe jedzenie. Ale ludzie za to byli bardzo ciekawi. Któregoś dnia przyszedł transport lotników ze „Śmigłego” z Wilna. Jechali na jakiś proces zasadniczy do Berlina i też się znaleźli w tym transporcie. Gdy się dowiedzieli, że jestem księdzem, chętnie korzystali z mojej posługi, bardzo wielu nocami przychodziło do spowiedzi św. Kontakty wzajemne między poszczególnymi pomieszczeniami były możliwe. Tych kontaktów między skazańcami w całym tym transporcie było dużo. Przychodziły też na myśl kontakty w Katowicach, gdzie był przecież kapelan więzienny, który do mnie przychodził. Trudno mi mówić o miłych wspomnieniach z tych spotkań, bo pewnego dnia nawet namawiał mnie, żeby się przyznać do wszystkiego, co mi zarzucają, a co może być potraktowane jako okoliczność łagodząca. Trudno mi było przyjąć taką argumentację, bo nie wiedziałem właściwie o czym myślą oskarżyciele, do czego miałbym się przyznawać, ale to chodzenie na Mszę św. w dwie czy trzy kolejne niedziele, było okazją do spotkania się ze współwięźniami. Miałem też możliwość zetknięcia się z księdzem Macha, który potem został w tymże więzieniu stracony. Z Wrocławia transport szedł drogą przez Chemnitz, Drezno i Norymbergę. W każdym z tych miast były postoje. Prowadzono nas z pociągu, skutych kajdankami, do więzienia. W Norymberdze więzienie było bombardowane, wobec czego pomieszczono nas razem w sali gimnastycznej przerobionej na prowizoryczne więzienie i skąd można było zorganizować dalszy transport aż do Dachau. Po drodze w transporcie znalazł się jeszcze jeden polski ksiądz, Antoni Świadek z Bydgoszczy. Oskarżony został o to, że słuchał na tym terenie, gdzie to było zakazane, spowiedzi w języku polskim.

Jacy ludzie narażeni byli na aresztowanie, to najlepszy dowód miałem, gdy w transporcie zauważyłem niewidomego. Maks mu było na imię. Trudno mi dziś nawet podać jego nazwisko. Był Niemcem. Straszna była jego sytuacja, bo „koledzy” – zresztą przecież różnego rodzaju uwięzieni, też i zwyczajni przestępcy – z premedytacją okradali go z chleba i innych racji żywnościowych, bardzo przecież niewystarczających. Żał mi się go zrobiło i powiedziałem, że będę się nim opiekował, bo nie mogę patrzeć na jego krzywdę. Bardzo się z tego ucieszył i opowiedział mi swoją historię. Jako niewidomy został podejrzany przez burmistrza, że ociąga się z podjęciem pracy, że jego kalectwo jest wymyślane i dlatego jako „arbeitsscheu” – jak to się wtedy nazy-

wało – został skazany na obóz koncentracyjny. Dla człowieka niewidomego nieporównanie cięższe były warunki w tym transporcie.

Wreszcie dojechaliśmy do Dachau. Tu okazało się, jak Pan Bóg jest łaskawy i wynagradza takie uczyny miłosierdzia. Dlatego, że mój towarzysz był ślepy, a ja go prowadziłem, to przy przejściu z wagonu do ciężarówki nie byłem tak popychany i bity. Na każde ich zawołanie „co to jest” mówiłem, że on jest niewidomy i dlatego muszę mu pomagać. Wywoływało to zdumienie nawet u najbardziej okrutnie zachowujących się esesmanów.

Obóz

W samym obozie, jak w obozie, przyjęcie było okropne. Zaraz przy wejściu oczywiście krzyki, uderzenia, kopnięcia, to było normalne zachowanie. Pozbawiono nas wszystkich rzeczy, które należało zostawić na placu apelowym i bez ubrania szło się do łaźni. Tam golono wszystkie włosy i popychano do kąpielni w ciepłej wodzie, co było do pewnego stopnia dobrodziejstwem, w porównaniu z warunkami transportu. Wcieleni do obozu, ustawieni w piątce maszerowaliśmy do baraku nr 15, czyli do „Zugangsblocku”. Tam przez trzy tygodnie wpajano nam zasady porządku obozowego. Ważną sprawą była orientacja w szarżach esesmanów, którym trzeba było składać odpowiednie meldunki, dobrze ich określając, bo za każde fałszywe określenie stopnia wojskowego bito straszliwie. Dlatego każdy przykładał jak najwięcej wysiłku do tego, żeby jakoś te stopnie oficerskie i podoficerskie dobrze rozróżnić. Tu otrzymywało się też numer obozowy wypisany na białej taśmie i czerwony trójkąt z literą „P” na określenie więźnia politycznego – Polaka (37196).

Poza tym uczono nas rozmaitych pieśni niemieckich. Niektóre były okropne w swej treści, głupie, prowokacyjne, np. „Braun ist mein Maderl...” – czasem nie do zniesienia – jak np. „Westerwald”, a nawet chętnie śpiewane, bo ni stąd ni zowąd odpowiadały naszemu nastrojowi, jak np. „Wir lagen vor Madagaskar und hatten die Pest am Bord...”, jak to codziennie kogoś wyrzucano poza burtę zmarłego na zarazę... Jak w obozie... Pieśni te trzeba było potem śpiewać, gdy się wyruszało do pracy, lub gdy się z niej wracało.

Innym przedmiotem, który obowiązywał na „Zugangsblocku”, była gimnastyka. Była ona okropnym utrapieniem. Uczono nas też ścielenia łóżek, oczywiście, pilnowano, by każdy dbał o swoje naczynia, musiały one lśnić od czystości, a za każde uchybienie bito i kopano, czy kierowano na dodatkową karną gimnastykę, która była

nowym utrapieniem. W czasie tych trzech tygodni pozostali więźniowie obozu zdążyli się dowiedzieć, jacy nowi więźniowie przybyli na blok „zugangów”. Odnajdywali się koledzy, szczególnie z rocznika i z Seminarium, którzy się zatroszczyli o to, żeby taki „nowy” miał zapewnioną opiekę, kiedy skończy się czas pobytu na bloku dla nowo przybyłych.

Przetransportowano nas potem na bloki. Dostałem się na blok 30, który obok bloku 28 był również blokiem księży polskich. Pierwsze dni pobytu rzeczywiście były bardzo trudne, zanim się człowiek dostosował do nowych warunków, które tam panowały. Łóżka trzypiętrowe, porządek w sensie zachowania czystości, na którą zwracano uwagę, że jeśli się będzie rzeczywiście te przepisy czystości zachowywało, to dobrze się na tym wyjdzie. Taka prosta zdawałoby się czynność, jak mycie nóg wieczorem w zimnej wodzie, czy rano pilnowanie, żeby się jak najdokładniej umyć w zimnej wodzie, jeśli tylko na to warunki pozwalały, to wszystko hartowało człowieka i pozwalało potem uchronić się od wielu chorób. Przyzwyczać się do trybu obozowego nowo przybytemu było bardzo trudno. Ścienienie łóżek okazało się dodatkowym utrapieniem, bo musiały one być bardzo dokładnie zaścielone „do kantu”. Człowiek był jeszcze nie przydzielony do pracy, przebywał na terenie obozu i spotykały go zajęcia przypadkowe. Okazywały się one bardzo uciążliwe, bo była już chłodna jesień.

Dzień przybycia do Dachau pamiętam do dziś: było to 7 października, w Święto Matki Boskiej Różańcowej. W listopadzie trzeba już było poszukać sobie jakiegoś komanda pracy. Pozostawanie bez pracy przez dłuższy czas było wprost niebezpieczne, bo można było komuś w obozie podpaść. Dlatego po pewnym czasie dostałem się do pracy w gospodarstwie, które określano słowem „Liebhof”. Dzień rozpoczynał się marszem na plac apelowy po rannym umyciu się i wypiciu „kawy”. Liczono nas ciągle, w kółko, najpierw na bloku, potem gdy się stało blokiem na apelu, w dziesiątki sformowany cały blok, potem liczył esesman „Blockführer”, jak się go nazywało, no i oczywiście cały czas na baczność, często w deszczu, w śnieżycę. To były dodatkowe utrapienia pobytu w obozie. Do pracy wyruszano się po apelu. „Liebhof” był komandem trudnym. Praca w polu polegała jesienią na zbieraniu ziemiopłodów, zwożeniu ich oraz na porządkowaniu samego pola. Oczywiście wszystko wykonywali ludzie, bez użycia koni, czy maszyn. Praca była bardzo trudna szczególnie w dni deszczowe i słotne, wykonywało się ją w błocie, pod okiem „kapo”, pod okiem „Komandoführera”. „Bewegung, Bewegung” – to było hasło powtarzane ciągle na nowo i to powodowało dodatkowe utra-

pienia. Trzeba powiedzieć, że obozowe racje żywnościowe nie były wystarczające: 1/5 chleba, jeśli była jakaś zupa, albo 1/4 z odrobiną margaryny, względnie z jakimś kawałkiem kiełbasy, a gdy zupy nie było, tylko herbata. To zjadało się wieczorem, tak że na drugi dzień rano człowiek do pracy wyruszał raczej głodny, wypiwszy tylko pół litra gorącego napoju, który nazywano kawą. Oczywiście posiłkiem głównym miał być obiad, na który wracaliśmy z pracy. Wyznaczono godzinę czasu wolnego na zjedzenie obiadu i na wymarsz z powrotem do pracy. Wracało się pod wieczór i wtedy otrzymywało się właśnie ten kawałek chleba, względnie zupę, albo też – jak wspomniałem – margarynę tzw. „paluszek”, czy kawałek kiełbasy. Cały dzień człowiek spędzał w głodzie, który był jednym z największych utrapień obozowego życia.

Przyszedłem do obozu pod koniec czasów, które znałem tylko z opowiadań kolegów. Były to czasy strasliwego głodu, który skończył się chyba na początku 1943 roku. Opisanie prawdziwego głodu jest właściwie niemożliwe. Bo ile razy człowiek w naszych warunkach jest głodny, wie, że za dzień, za dwa, no za trzy nakarmią go. I ta nadzieja wystarczy. Ale wiedzieć, że ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień tego głodu, jaki trawi wnętrze, niczym nie będę mógł zaspokoić, stwarza sytuację beznadziejną. Porcje żywnościowe były starannie obliczone, by utrzymać człowieka przy życiu. Ale wystarczał większy wysiłek, wystarczała jakakolwiek choroba, żeby organizm odczuł to od razu ubytkiem sił, których zregenerować nie było można niczym i stawał się wtedy coraz słabszy, aż do całkowitej utraty sił a nawet do śmierci z wycieńczenia. Chyba na skutek niedożywienia i komórki mózgowe przestawały normalnie funkcjonować.

Gdy w listopadzie 1942 roku przydzielono mnie do pierwszego komanda pracy na gospodarstwie „Liebhof”, trafiłem do grupy, której „Hilfskapo” był ks. Franciszek Przybyła, były wikary z kościoła p.w. św. Piotra i Pawła w Katowicach, którego znałem bardzo dobrze. Gdy z kolegą znaleźliśmy w rowie główkę kapusty, rozejrzeliśmy się na wszystkie strony i – nie wyobrażałem sobie tego nigdy w życiu – zjadłem połowę kapusty na surowo, byle tylko zaspokoić ten straszny głód, jaki doskwierał mi wtedy stale. Po przejściu z bloku 15 – z bloku „zugangów” – na blok 30, sam jeszcze nie wygłodzony do reszty, patrzyłem w niedzielne popołudnie, jak współwięźnię krajał pół bochenka chleba, jaki sobie na ten dzień zaoszczędził. Krajał go na cieniutkie kromeczki. A potem brał każdą z tych kromek po kolei i krajał na cienkie paski. Następnie brał każdy pasek osobno i krajał na małe kostki, które powoli, wprost z nabożeństwem, spożywał. Na

tym zajęciu przeszło mu prawie całe popołudnie. Jak on musiał być straszliwie głodny. I zrozumiałem wtedy życzenie innego kolegi – współwięźnia, gdy mówił: „jak Pan Bóg pozwoli powrócić do domu szczęśliwie, to pierwszą rzeczą, o jaką poproszę, będzie bochenek chleba. I będę go jadł tak długo, dopóki się nie najem”. Mnie, jeszcze wtedy nie tak wygłodzonemu, przychodziły na myśl obrazy głodu chleba, o których mówiłem w kazaniach do młodzieży, nie wiedząc jeszcze, czym jest prawdziwy głód... Teraz już wiem. Na szczęście dla mnie nie trwał on już potem zbyt długo.

Pracującym przysługiwał jeszcze dodatkowy prowiant. Była to część bochenka chleba i też jakiś dodatek do niego, ale księża byli często pozbawiani tego „Brotzeitu” za różne pozorne przestępstwa, które im przypisywano.

Bardzo często robiono tak zwane „Fühlzunge”, to znaczy kontrole. Pamiętam jednego z Albertynów, u którego zawsze znajdowano jakąś marchewkę, czy cebulę, za co był bity tak przez kapo, jak i przez komandoführera. Ale on, jakby nieczuły na to wszystko, następnym razem znowu zabierał z pracy jakąś marchewkę, czy cebulę dla siebie, czy dla kolegów i znowu był bity. Wszystko to powodował głód, okropny głód, który wyczerpywał siły człowieka bez reszty. I chyba co gorsza powodował jakieś otępienie, może z powodu niedożywienia mózgu. Zdarzało się, że ludzie inteligentni i rozsądni więźniowie, mimo ostrzeżeń, wykradali odpadki jarzyn i spożywali je narażając się na kary. Teraz wiem, że to irracjonalne postępowanie było wyrazem reakcji ich organizmów na wyniszczający głód.

Przy wyjściu do pracy i w drodze powrotnej na rozkaz kapo trzeba było śpiewać. Właśnie wtedy zrozumieliśmy, dlaczego uczono nas pieśni w bloku nowo przybyłych.

Praca jesienią była bardzo trudna, wyczerpująca organizm, powodowała osłabienie, często owrzodzenia, które zmusiły mnie do zgłoszenia się na rewir, co było ryzykowne dlatego, że był on niby szpitalem, ale równocześnie był miejscem popełniania rozmaitych nadużyć, które niejednokrotnie powodowały śmierć więźniów. Musiałem się tam zgłosić z powodu gorączki i po dwóch czy trzech dniach wróciłem na blok. Ale bardziej doświadczeni koledzy mówili, że z powodu choroby straciłem miejsce w swoim komando, co mnie ucieszyło. Koledzy widząc moje osłabienie ukrywali mnie. Potem zostałem przydzielony na blok 29 jako pomocniczy „Schreiber”. Był to blok chorych na gruźlicę, których nie leczono. Przysługiwał im tylko „Schonung”, tzn. nie musieli pracować, mogli pozostawać na bloku i byli inaczej żywieni. Jako nieuleczalnie chorzy, byli wysyłani kolejno

w grupach na „transporty”. Prawdopodobnie byli „królikami doświadczalnymi” – ich organizmy służyły sprawdzaniu działania gazów bojowych.

Spotkałem tam ks. Ligudę, znanego autora kazań dla młodzieży, z których korzystaliśmy jako katecheci. Niestety, w ostatnim transporcie więźniów jego też wysłano z Dachau, a po pewnym czasie przyszła wiadomość, że zginął. Notowało się to w kartotece jako „Abgang durch Tod”, bez podania przyczyny śmierci.

Na stanowisku „Hilfsschreibera” przetrwałem aż do wybuchu epidemii tyfusu brzuszego, który spowodował kwarantannę, polegającą na pozostawianiu więźniów na terenie obozu. Był to okres szczególnie, bo dostawaliśmy zupy mleczne, które miały wzmocnić organizm, chociaż trudno mówić, by były one wartościowe. Były jednakże koloru białego. W tym czasie, tzn. w styczniu 1943 r., nastąpiła śmierć ks. bpa Michała Kozala, którego poznałem jako „Zugang”, bezpośrednio po przyjsciu na blok. Zrobił wówczas na mnie ogromne wrażenie swoją powagą i prawie majestatem, jaki bił z jego postaci, mimo warunków, w jakich się spotkaliśmy. Możliwości spotkań zdarzały się głównie w niedzielę, która była dniem bez pracy. Szczególnie po obiedzie można było zebrać się w pewną grupkę na „Lagerstrasse”, czy „Blockstrasse” i wtedy mogły być zawierane znajomości.

Przebywaliśmy na innych izbach i dlatego o bliższym kontakcie nie mogę mówić. Wyróżniał się jednak ks. biskup swoim spokojem, swoim zrównoważeniem, swoją pogodą ducha mimo warunków, które były bardzo ciężkie i dla niego.

Koledzy

Z zawartych wtedy znajomości, najbliższa łączyła mnie z księżmi diecezji katowickiej. Najłatwiej było mi nawiązać koleżeński kontakt z ks. Antonim Brzóska. Był kolegą z rocznika. Mały wzrostem, ale niestęchanie silny duchowo, bezkompromisowy, już przed wojną był znany, że potrafi powiedzieć prawdę w oczy każdemu, czy się to komu podoba, czy nie. Dlatego, nie zdziwiłem się zbyt, gdy w maju 1940 r. rozeszła się w środowisku śląskich księży wiadomość, że popularny „Antek” znalazł się w obozie. Baliśmy się tylko o to, czy wytrzyma, bo był bardzo szczupły, schorowany, po bardzo wielu operacjach, które spowodowały, że był rok później święcony dnia 1 maja 1938 r., a więc w terminie niezwykłym, w ówczesną uroczystość św. Filipa Apostoła.

W obozie jednak znalazłem go w dobrej kondycji fizycznej – dobrej w porównaniu z innymi kolegami, bo jemu, zwłaszcza przy jego wroście i wyglądzie, porcja obozowego chleba wystarczała – można powiedzieć żartem – w zupełności. Także w sensie duchowym wspinał się znośił warunki obozowe.

Z Karolem Bąkiem znaleźliśmy się bardzo blisko. Nie tylko dlatego, że byliśmy razem w Seminarium. Był starszy ode mnie, ale na niższym roku, bo wcześniej kształcił się w podchorążówce. Poznaliśmy się w działaniu harcerskim. Gdy Harcmistrzowi Rzeczypospolitej Bronisławowi Sławikowi powierzono w roku 1935 poprowadzenie drużyny reprezentacyjnej ZHP na jubileusz St. Georg-Korps we Wiedniu (Laxenburg bei Wien był miejscem międzynarodowego obozu), chcąc mieć pewnych zastępowych, wciągnął mnie do tej drużyny, której wiceszefem był właśnie Karlik Bąk. Był wspaniałym człowiekiem, spokojnym, zrównoważonym, mądrym, a przy tym życiowo doświadczonym.

Nie mogę teraz powiedzieć, co było powodem jego uwięzienia, ale faktem jest, że spotkałem go w Dachau i że ze spotkania właśnie z nim ogromnie się ucieszyłem. W ogóle po przybyciu do Dachau człowiek się właściwie uspokoił zupełnie. Był między znajomymi i żył w świadomości, że go tutaj „nie zamkną”!

Karlika podziwiałem. Nie miał jednej nerki. Zoperowano go już w obozie. Musiał uważać, żeby nie przeciążyć drugiej nerki, co było uciążliwe z różnych powodów. Zachować jednak potrafił spokój i pogodę ducha, a nawet dowcipkować jak za dawnych lat. W jego dowcipach dało się wyczuć nutkę zadumy, której dawniej nie było. Pracował w „Kabelzerlegungskommando”, które zatrudniało w większości młodych Rosjan. Jego praca polegała na rozkładaniu zużytych już kabli, w których znajdowały się druty z różnych metali kolorowych. Chodziło o ich odzyskanie. Do takiej pracy nie potrzeba było fachowców i dlatego zatrudniano w nim właśnie Rosjan, młodych, których Karlik stał się bezspornym rzecznikiem. Opowiadać mógł o tych „swoich chłopakach” bez końca, też z religijnego punktu widzenia, co z perspektywy ich dotychczasowego ateistycznego wychowania dowodziło, że człowiek ma z natury duszę chrześcijańską („anima naturaliter christiana”) – jak zanotowały pierwsze wieki chrześcijaństwa.

Z więźniami ze Śląska spotykałem się najczęściej, oni też otoczyli opieką „Neuzuganga” – niedoświadczonego jeszcze w sprawach życia obozu koncentracyjnego. I tak po przyjsciu z bloku 15 znalazłem się na jednej izbie (sztabie) z ks. Robertem Szymą, który był wyświęco-

ny w roku 1939, a więc 2 lata później niż ja. Pochodził z Kochłowic, parafii sąsiadującej z Hajdukami. Pomógł mi bardzo w pierwszych dniach pobytu, uczył porządku w szafce, która musiała lśnić czystością, czy też ścielenia łóżka, którego poduszka, prześcieradło i koc musiały być ułożone w wyraźnie widoczny kant. Szczególnie potrzebna okazała się jego pomoc, gdy na skutek zmiany żywienia, wyrósł mi na lewej ręce bolesny czyrak, który mi ją prawie bez reszty unieruchomił. Fakt ten trzeba było ukrywać, ale pracę musiałem wykonywać normalnie. Do rewiru trudno się było z taką „drobnostką” zgłaszać – ostrzegali koledzy. Robert Szyma okazał się w tych dniach wspaniałym. Gdy zaczęły nadchodzić paczki, chętnie dzielił się góralską „bryndzą” – serem, który mu posyłał ze swojej parafii w górach kolega z rocznika ks. Bima. Szyma pracował na „Plantacjach” w „Gewächshausie”, gdzie zyskał z czasem dużą niezależność.

Ze Śląska, ściślej z okolic Rybnika, pochodził ks. Konrad Szweda, który nieustannie dawał przykład niezłomnej postawy religijnej. Najlepiej rozumieliśmy się z nim w sprawach dotyczących praktyk religijnych i dlatego gdy tylko było to możliwe, rano, jeszcze przed apelem spotykaliśmy się na „modlitwach porannych”. Po umyciu się zawsze zostawało parę minut, by we dwójkę gdzieś stanąć i pomodlić się wspólnie. Ksiądz Konrad Szweda miał wspaniałą pamięć i umiał wszystkie litanie na pamięć. Podziwiałem go, bo każdego dnia mogliśmy odmawiać inną litanię oraz cały szereg różnych modlitw. Te modlitewne spotkania miały szczególną wartość, dawały siłę przetrwania, płynęła z nich moc, która pozwalała trwać w pogodzie ducha, mimo warunków życia obozowego.

Ks. Szweda miał dobre kontakty z ludźmi świeckimi, szczególnie pochodzącymi z okolic Rybnika. Spotykaliśmy się z nimi w niedzielne popołudnia. Postacią wyróżniającą się wśród nich, która utrwaliła się w mojej pamięci, był Ślązak z prawdziwego zdarzenia, starszy już pan o nazwisku Słonina. Niekończące się rozmowy, wspomnienia, historie i historyjki umilały trudny czas i podnosiły na duchu.

Z księży starszych wspomnieć trzeba ks. Alojzego Guzego, ks. Sornika i ks. Brzenskę, z których ten ostatni najmniej wykazywał ochoty do spotkań z większością młodych przecież księży. Wśród znajomych, z którymi zawarliśmy bliższą przyjaźń, byli ludzie świeccy, przede wszystkim mieszkający w innych blokach: Pan Walter Cieślik – też pochodzący ze Śląska; przez niego znowu nawiązała się znajomość z panem Knosatą Ryszardem, z panem Domagałą, a potem i z panem Tomczakiem, który był „Blockschreiberem” na bloku nowo przybyłych.

Jeśli piszę o księżach diecezji katowickiej, to dlatego, że znaleźliśmy się z czasów przed uwięzieniem w obozie koncentracyjnym. Z innymi spotykaliśmy się mieszkając wspólnie, względnie w komandach pracy. Nie były to jednak warunki, które pozwalałyby na zawieranie bliższych, serdeczniejszych znajomości, czy nawet przyjaźni, ze względu na zachodzące często zmiany. A przecież jednak grupa młodych księży, mieszkańców pierwszej izby, do której ze względów organizacyjnych przydzielono mnie po zaangażowaniu do „Geometerkomando” (wychodzenie do pracy przed apelem, czy powrót po apelu), była społecznością szczególną. Młodzi wiekiem ludzie, niejednokrotnie jeszcze klerycy (grupa oo. kapucynów, czy jezuitów – nazwiska pominę) łatwiej znajdowali ze sobą kontakt, łatwiej im też było dostosować się do rygorów obozowego prawa. Może chodziło też o to, by esesman –Blockführer, przychodzący skontrolować blok, gdy stwierdził jaki taki porządek na pierwszej izbie, łaskawszym okiem patrzył na następne izby kapłańskie?

Wstrząsem dla nas były eksperymenty medyczne. Trzymane były w tajemnicy, ale przecież wiadomości o nich wydostawały się na zewnątrz, bo przy ich przeprowadzaniu ginęli ludzie. Wybrani nie mieli żadnej możliwości ich uniknięcia. Na „malarię” wybierano najwięcej heftlingów, a wśród nich najwyższy procent stanowili polscy księża. Prof. Schilling, który te eksperymenty przeprowadzał, tłumaczył się przed sądem po wojnie, że dostał rozkaz od najwyższych władz wojskowych znalezienia nowego lekarstwa na malarię, bo chinina z jakichś powodów nie mogła być w Niemczech produkowana, a konieczna była ze względu na zaangażowanie armii feldmarszałka Rommla w północnej Afryce dziesiątkowanej przez malarię. Absolutnie nie trafiało do jego świadomości określenie „zbrodnia przeciw ludzkości”, z jakim spotkał się po wojnie, stanąwszy przed sądem.

Jeszcze gorszymi doświadczeniami było zaszczepienie flegmony, co było bardzo bolesne i w większości wypadków powodowało śmierć ofiar. Zapoznaliśmy się wcześniej z klerykiem Seminarium Włocławskiego Kazimierzem Majdańskim (książki jego brata Walentego były przez nas z zachwytem czytane), którego też tym doświadczeniom poddano. Boleliśmy nad tym wszyscy, tym bardziej, że w niczym nie mogliśmy pomóc. Zostawała tylko modlitwa. Cieszyliśmy się w gronie bliższych znajomych, gdy mocno osłabiony jednak przeżył i wrócił na blok.

Szensztat

Niezwykłą znajomość zawarłem z grupą księży szensztackich, z ojcem Kentenichem na czele. Osobiście poznałem go za sprawą o. Fiszera, też Józefa, którego kiedyś poprosiłem o komunię św. z kaplicy na bloku 26. Oczywiście było to zakazane, jak tyle innych rzeczy w obozie. Gdy o. Fiszer tę prośbę spełnił, nawiązał się między nami kontakt, który doprowadził do bliższej znajomości. Okazało się, że należy do grupy księży pallotynów, którzy razem z o. Kentenichem zostali aresztowani przez Gestapo. Opowiedział mi całą historię ruchu szensztackiego, który jako ruch wybitnie maryjny wydawał mi się bardzo konsekwentnie przemyślany, a przez to mógł się przyczynić do pogłębienia naszej polskiej pobożności maryjnej. Zawiązała się grupa księży zainteresowanych tą ideą i zbieraliśmy się razem. Po kolacji zawsze było trochę wolnego czasu i chodząc po Lagerstrasie wnikaliśmy w założenia tego interesującego ruchu. Oczywiście niektóre z nich wywoływały nie kończące się dyskusje, jak np. sprawa obrazu MTA (Matki Trzykroć Przedziwnej), stanowiącego wyraz zewnętrzny ideologii ruchu, ale nie była to sprawa nie do pogodzenia z kultem obrazu MB Częstochowskiej, stanowiącego naszą narodową własność. Grupa okazała się bardzo ciekawą, nawiązałem z nią z czasem bardzo bliski kontakt. Poprzez spotkania, nawet bardzo częste, zawiązała się grupa międzynarodowa, co pozwoliło ruchowi szensztackiemu przez obóz rzeczywiście stać się ruchem międzynarodowym. Ruch wyszedł z szeregów księży pallotynów niemieckich, ale z czasem w tych szeregach się nie pomieścił. Ojca Kentenicha podziwialiśmy ponadto za jego spokój, zrównoważenie, za wspaniałą pamięć, którą wykazywał w rozmowach.

Wykorzystując sytuację, jaka powstała na skutek pewnego rozluźnienia bardzo surowych dotychczas przepisów na każdym kroku grożących za ich nieprzestrzeganie surowymi karami, wpadł ktoś na pomysł zorganizowania na pierwszej izbie naszego bloku rekolekcji. W niedzielę po południu, po spożyciu obiadu chętni do uczestniczenia w nich udawali się do sypialni i łamiąc wszelkie przepisy, kładli się do łóżek z głowami wystającymi na zewnątrz (prytcze trzypiętrowe były z drewna z otworami na korytarz międzypryczowy). Po tym korytarzu chodził zaproszony przez nas o. Józef Kentenich, jako nasz rekolekcjonista. Prowadził je, do dziś pamiętam, pod wspólnym tytułem: „Der apokaliptische Priester” wychodząc z założenia, że „apokaliptycznymi” można nazwać wszystkie czasy podobne do tych, jakie opisywał św. Jan Ewangelista w Apokalipsie, a nie tylko czasy ostateczne.

Zadaniem rekolekcjonisty było wykazać to podobieństwo, co mu przychodziło dosyć łatwo. Wystarczyło parę obrazowych rysów Bestii apokaliptycznej, by ją zidentyfikować z tym, który tyle nieszczęść sprowadził na cały świat za naszych dni. Podziwialiśmy przy tym wspaniałą znajomość Pisma św. i pamięć rekolekcjonisty, który oczywiście nie mógł posługiwać się żadnym tekstem, czy notatkami, chodząc cały czas korytarzykiem między pryzcami. Nauki wpływały kojąco na umęczonych codzienną sytuacją słuchaczy i podnosiły na duchu do odważnego przyjęcia dalszych zrządeń Opatrzności Bożej. Można powiedzieć, że to były też promienie światłości rozświetlające ciemności panujące na co dzień w obozie.

O. Kentenich doprowadził nie kończącymi się spotkaniami i osobistymi rozmowami do aktu zawierzenia Matce Bożej i poświęcenia się Jej bez ograniczeń oraz do powstania „Hände-Kreis” – „Kręgu rąk”, który w swej symbolice wybrał rękę jako najlepsze narzędzie. Być jak najlepszym i jak najzdolniejszym narzędziem w ręku Pana Boga to był ideał przynależnych do tego kręgu. Otrzymali oni specjalnie wykonane ze szlachetnego metalu medale z wrytymi oznaczeniami. Zrobili je nasi koledzy z W.B. (Wirtschaftsbetriebe) komanda, w którym pracowało wielu „naszych”. Mój medal przetrwał wojnę i ofiarowałem go na pamiątkę oo. szensztackim w Józefowie.

Cała historia ruchu szensztackiego w obozie może też służyć jako przykład, jak obok przejmujących ciemności jawiła się światłość. Bo powstała właśnie tam idea umiędzynarodowienia ruchu, który dziś znany jest w wielu krajach na wszystkich kontynentach. Znalazła ona niezwykle szerokie urzeczywistnienie wbrew intencjom tych, którzy twórcę tego ruchu zestali do obozu koncentracyjnego.

Pan Bóg umie pisać bardzo prosto po krzywych liniach – mówi przysłowie naszych zachodnich sąsiadów. Duchowo bardzo pomagały w obozie fundamenty religijne tego ruchu, które opierały się o głęboką wiarę w Opatrzność Bożą, oddanie się bez reszty Matce Bożej i zbieraniu kapitału łask na co dzień. Ich własnością było przetłumaczone już przed wojną na język polski dzieło: „Świętość dnia codziennego”, Nailisa. Wszystko to w obozie bardzo się przydało.

Oczywiście fakt, że ruch wyszedł z szeregów księży niemieckich nie przysporzył mu popularności w tym czasie w obozie, ale mimo to grupa polskich księży zainteresowanych tym ruchem była dość pokaźna.

Geometerkomando

Po ustaniu epidemii tyfusu brzuszego byłem coraz lepiej zorientowany w warunkach, które przedstawiał obóz. Gdy pewnego dnia, po okresie pełnienia funkcji pisarza pomocniczego na bloku 18 pod kierownictwem „Blockschreibera” Zielińskiego, zjawiała się propozycja objęcia posady pisarza na maszynie, oczywiście zaraz się zgłosiłem. Wyobrażałem sobie, że to będzie na pewno praca pod dachem, nie na wolnym powietrzu, co nie było bez znaczenia. Sam proces przyjęcia do komanda był załatwiony w „Lagerschreibstube”. Pisarzem głównym obozu był wtedy Heffling Majer, Austriak, nr 3, który posadził mnie przy maszynie i kazał mi coś pisać. Wziąłem tekst gazety, która była przy maszynie i zacząłem go przepisywać, co go zdenerwowało i mówi: „a nie umiesz ty też szybciej pisać”. Odpowiedziałem: „umiem, ale po polsku”. „No to pisz coś po polsku” – brzmiało polecenie. Mnie oczywiście żaden tekst w pierwszej chwili nie chciał wpaść do głowy, ale jakiś mi się przypomniał, więc zacząłem pisać. Majer stanął za mną i w pewnym momencie krzyknął na całą „Schreibstube”: „ten będzie dobry! Ten będzie dobry!” – po niemiecku oczywiście. Wyrwał kartkę z maszyny i czyta głośno, tyle widocznie po polsku rozumiał: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”. „Ten będzie dobry do tego komanda!” – powiedział i w ten sposób zostałem członkiem „Geometerkomanda”. Znalazłem się tam na prawie trzy kwartały, w zupełnie innych warunkach. Były one pozytywne dlatego, że pracowało w tym komandzie tylko trzech ludzi, którzy jako komando niezwykle mieli prawo wychodzić przed apelem i wracać po apelu. A apele – to liczenie przed wyruszeniem do pracy, przeciągające się czasem bardzo długo, w warunkach niesprzyjających, zimowych czy deszczowych – oznaczały dodatkowe utraπienie. Można by powiedzieć, że były to nawet warunki luksusowe, bo oprócz tego, że wyruszaliśmy przed apelem mając osobnego postena, otrzymywaliśmy jeszcze wyżywienie w czasie obiadu z kuchni esesmanów, czyli codziennie mięso z dodatkiem dużej ilości kartofli i jarzyn, co było na warunki obozowe niezwykle. Trzech ludzi, którzy stanowili to komando, to kapo Hartman, człowiek, który przesiedział 10 lat w ciężkim więzieniu i dlatego nie został wypuszczony na wolność, bo obawiano się, że będzie źle oddziaływał na społeczeństwo i dlatego został skazany na dalszy pobyt w obozie koncentracyjnym, z zielonym winklem jako przestępcą. Jedyнным, który do tego komanda zawodowo pasował, był Witold Kabat, geometra z prawdziwego zdarzenia, który robił plany i pomiary, co miało być głównym zadaniem tego

komanda. Ja opisywałem je, pisałem na maszynie listy, które podrzucał nam „Oberscharführer” jako szef tego komanda. Jeszcze ponad nim był „Hauptsturmführer”, którym nasz kapo – można by powiedzieć – zawładnął bez reszty. Muszę powiedzieć, że Hartmana – naszego kapo – cechowała łatwość artykułowania, bardzo lubił mówić i naprawdę umiał opisywać. Był człowiekiem bardzo prostym, a jednak pod tym względem jakoś utalentowanym. Powiedział nam pewnego razu, że jego ojciec miał fabrykę mebli i on tam nauczył się robienia planów na tablicach takich, jakich używa się w pracowniach planistycznych. Więcej jednak nadrabiał swoim mówieniem, niż rzeczywiście miał umiejętności. I muszę powiedzieć, że tak wspaniale „cyganił” urzędników esesmańskich, że był dobrym przykładem, jak daleko można ich w pole wyprowadzić. Byli to przecież ludzie prości, niewykształceni, a wśród więźniów wielu było wybitnych i inteligentnych. I to się w takim komandzie, jak nasze okazało, jak można takie warunki, mimo pobytu w więzieniu, w obozie koncentracyjnym wykorzystywać dla naszego dobra. Mieliśmy przydzielonego osobnego postena, którym był Unterscharführer Lechte, młody człowiek, 20-22 letni, który był na froncie rosyjskim i tam został ranny. Dostał tzw. „Heimatschuss” – przestrelono mu lewą rękę, którą nie mógł odtąd sprawnie władać. Poza tym był zdrowym człowiekiem i prawą ręką władał normalnie. Przy nas strasznie mu się nudziło. Siedział w tym samym pokoju co my i dlatego sprawił sobie radio i słuchał go bez końca, czytał książki, opowiadał. Opowiadał różne rzeczy, od których nam czasem włosy na głowie dęba stawały. Na przykład, gdy opowiadał o tym jak szli na froncie rosyjskim naprzód mówił: „więźniów tośmy nie mogli brać, no bo któż by ich miał pilnować. Trzeba by na taką masę jeńców, jaką braliśmy, połowę wojska zostawić do ich pilnowania – więc po prostu rozstrzelaliśmy ich”. To dla przykładu jedno z wyznań, które nam składał. Bardzo spokojnie o tym opowiadał, jakby nic się takiego nie działo...

Tę jego obecność w komandzie Hartman potrafił wykorzystać nieprawdopodobnie dla osobistych korzyści, mając na zapleczu Hauptsturmführera, który mu we wszystkim ufał. Brał postena do miasta, zostawiał go np. w jakiejś klatce schodowej, a sam szedł odwiedzać pannę, z którą miał bliższy kontakt w mieście Dachau. To tylko dla przykładu – jak daleko szła jego bezczelność, a równocześnie spryt. Okoliczność posiadania osobnego postena wykorzystywaliśmy w swoisty sposób. Np. Unterscharführer Lechte miał pannę w Tyrolu, która nie miała nart, a on na niedzielę wyjeżdżał i chciał jej te narty sprawić. Ponieważ w obozie robiono narty w „Wirtschaftsbetriebe” – jak je

nazywano W.B. – w którym pracowali też księża, można było postarać się o nie. Wychodziliśmy pewnego dnia z naszymi narzędziami do pomiarów do hali W.B. umówiwszy się poprzednio z kolegami, że przy drzwiach wyjściowych pozostawią narty. Tak też się stało. Udawaliśmy, że mierzymy halę, która już dawno była zmierzona, a potem przy wyjściu razem ze wszystkimi naszymi narzędziami do pomiaru, z długimi laskami pomalowanymi na biało-czerwono, wynieśliśmy też narty, co nie podpadło nikomu, ponieważ mieliśmy osobnego postena, więc nikt nie mógł zatrzymać takiego komanda, z którym idzie osobny posten. No więc narty mieliśmy już u siebie. Na drugi dzień poszliśmy mierzyć inną halę, w której pracowali ślusarze i oni wyrabiali też wiązania do nart. Wobec tego znowu umówiliśmy się z kolegami, żeby gdzieś przy drzwiach podrzucili takie wiązania, to my je ewentualnie zabierzemy. I tak się też stało. W ten sposób nasz Lechte miał już narty z wiązaniami. Ale za to każdy z nas miał możliwość wystania jednego listu na jego Feldpostnummer bez cenzury. Brat bardzo się zdziwił, gdy pewnego dnia otrzymał taki list, na którym jako wysyłający zaznaczony na kopercie był pan „Unterscharführer Lechte” i jego „Feldpostnummer”, a w środku był mój list. Wyjaśnić tego bratu nie mogłem: absolutnie nie było na to sposobu. Oprócz tego Lechte dał każdemu z nas jeszcze 2 kostki margaryny, jakiej domagaliśmy się dla naszych kolegów, którzy ułatwili nam wyniesienie potrzebnych rzeczy. Nam samym, którzy na niedziele przychodziliśmy do pracy, udając, że jej mamy tak dużo (a spędzaliśmy wtedy te niedziele w bloku „Besoldungsstelle”), pozostawała reszta margaryny. Na dole był jeden posten, który pilnował całego budynku, wiedział, że my trzej tam jesteśmy, mieliśmy obiad niedzielny żołnierski i dużo wolnego czasu, który zużywaliśmy na różne sposoby też dla nas ważne. Np. pan Lechte zostawiał swoje radio w biurze, wobec tego jeden pilnował drzwi, Hartman robił co chciał, a albo ja, albo Witold Kabat słuchaliśmy polskiego radia z Londynu, czy jakiegoś innego, zapisywaliśmy sobie jakieś wiadomości, czy raczej zapamiętywaliśmy i przenosiliśmy je do obozu, co było bardzo ważne, żeby podnieść na duchu kolegów w związku z wypadkami, o których gazety nie pisały, a o których można było dowiedzieć się i przenieść do obozu tylko z radia Londyn, czy z innego radia, np. francuskiego. Bo był taki zwyczaj, że po modlitwach wieczornych, po zgaszeniu świateł, zawsze się znajdował jakiś taki „polityk”, który te wiadomości komentował. W ten sposób ci, którzy chcieli się czegoś dowiedzieć, mieli taką okazję w całym bloku dzięki nam i innym, którzy przynosili takie wiadomości z komand wychodzących poza obóz.

Margaryna, którą pan Lechte nam dał, była używana na dodatkowe smażenie kartofli. Bo z czasem oczywiście też i nasze potrzeby kulinarne w tych warunkach się „wydoskonalaty”: ugotowane kartofle krąjaliśmy i smażyliśmy na margarynie, którą otrzymywaliśmy i w ten sposób jedzenie stawało się jeszcze bardziej urozmaicone niż dotychczasowe.

Moje umiejętności pisania na maszynie nie były nadzwyczajne i dlatego dużo papieru ulegało zniszczeniu. Wobec stwierdzonych błędów trzeba było pisać drugi i trzeci raz. W ten sposób doskonaliłem też swoje umiejętności pisania na maszynie. Oberscharführer, który sprawował nad nami opiekę, przyniósł mi pewnego dnia „Rechtschreibung-Duden”, co mi bardzo pomogło i w ten sposób nauczyłem się języka niemieckiego i pisania na maszynie, które dość biegle opanowałem. Ile przy tym „firmowego” papieru napsułem, poprawiając popełnione błędy, trudno byłoby zliczyć... Pewnego dnia wszyscy księża należący do komanda „Besoldungsstelle” i wychodzący jako specjalne komando zostali z nich wyeliminowani. Powodem tego, jak się okazało, był list wysłany bez kontroli przez jednego z księży niemieckich, który jednak dostał się w ręce zarządu obozu koncentracyjnego. Po powrocie na blok, wywołano wszystkich księży, którzy noszą imię Ignacy. Trzeba więc było wystąpić i wzięto nas do „Vernehmungsstelle” a tam wszystkich posadzono za stołem i nakazano napisać list. Jakikolwiek list, który nam przyszedł do głowy. Ja napisałem do mojego brata i podpisałem imieniem, bo takie było polecenie. Okazało się, że skonfrontowano te teksty z listem, który przejęła cenzura obozowa. Ten ksiądz – autor listu – został ukarany, a wszyscy księża, nie tylko ci noszący imię Ignacy, zostali usunięci z tych łagodnych komand. W ten sposób nastąpiła zmiana kolejnego komanda.

Plantarze: o. Tíc

Nowym komandem pracy stały się dla mnie „plantarze”, słynne obozowe plantacje, na których pracowało najwięcej księży polskich. Na dużym terenie plantacji hodowane były kwiaty i zioła. Różne zioła, np. mięta, tymianek, czy inne jeszcze, które potem suszono i z nich robiono sztuczny pieprz, ponieważ pieprzu naturalnego nie można było z Afryki w czasie wojny sprowadzać. Trzeba podziwiać zapobiegliwość Niemców, ale z drugiej strony równocześnie trzeba podkreślić, że wykorzystywali darmową siłę roboczą, bo na plantacjach mogli

pracować ludzie, którzy w ich rozumieniu byli bez fachu, a więc w dużej ilości księży, których nie oszczędzano. Warunki tej pracy mimo wszystko były bardzo trudne, pod gołym niebem, w deszcz, czasem nawet już na śniegu i mrozie. Uciążliwe było zbieranie ziół, wycinanie kwiatów, które tam były uprawiane. Plewienie było jednym z największych utrapień tej pracy. Jedynym udogodnieniem w lecie była herbata miętowa, którą gotowano i rozdawano na poszczególne oddziały olbrzymiego komanda.

Trzeba znowu przyznać, że plantacje dawały możliwość nawiązywania bardzo bliskich kontaktów ze świeckimi, z którymi się razem pracowało. Stało się na tym placu po podziale komand, szło się z nimi razem do pracy niedaleką drogą, ale mimo wszystko była to okazja do rozmów, do spotkania, do różnych wyznań, którymi ludzie się dzielili. Równocześnie i z księżmi zawierało się dodatkowe znajomości. Jedną z najważniejszych dla mnie, to była znajomość z ojcem Pawłem Idzim Ticem, franciszkaninem, urodzonym w Orzeszu, który był postacią bardzo interesującą, a równocześnie bardzo miłą w kontakcie bezpośrednim i wzajemnym. Odpowiadaliśmy sobie nie tylko ze względu na wspólne pochodzenie ze Śląska, ale też ze względu na zainteresowania, oczywiście duchowe i kościelne w pierwszym rzędzie. Miarą zmiany sytuacji w obozie był pomysł uczenia się języka angielskiego. „Paulek” odkrył wśród Hefflingów doktora z Iraku czy z Iranu, którego w drodze powrotnej ze studiów w Londynie aresztowano na terenie Francji i skierowano do Dachau, prawdopodobnie jako podejrzanego o szpiegostwo. Po niemiecku nie umiał, więc bardzo chętnie zgodził się na kontakt z nami, tym bardziej, że za „naukowe” usługi mogliśmy wtedy – rok 1944 – ofiarować mu swoistą „zapłatę”, jaką było niedzielne śniadanie i chleb do dyspozycji z dodatkami z paczek. Niewiele się tego angielskiego w tych warunkach człowiek nauczył, ale ważne było znalezienie zajęcia, które odwracało uwagę od sytuacji w jakiej się znajdowaliśmy.

Praca na plantacjach była trudna i dlatego nie za długo starałem się tam zabawić, gdyż zmieniały się powoli warunki.

Henryk

Była w obozie duża grupa młodych chłopców z Łodzi. Pochodzili z „łapanki” na ulicach miasta i ostatecznie trafili do transportu do obozu i to dość wcześnie. Jak mi opowiadano, przywieziono ich w dwóch transportach po około 1000 ludzi w każdym. Nie wszyscy te

warunki wytrzymali. Różne były postawy tych, co wytrzymali, gdy przyszedłem do obozu. Spotkanie z jednym z nich utkwiło mi szczególnie w pamięci. Było mu na imię Henryk. Nazwiska nie pamiętam. Wieczorem na Lagersstrasse zebrali się nam na zwierzenia. Rok 1945, luty, może marzec... „Ja – mówił Henryk – to już nieraz myślałem o samobójstwie. Bo, proszę księdza, gdy mnie tu przywieźli miałem 19 lat. Dziś mam 24-ty rok życia. Nawet gdy wyjdę, zniszczony tymi warunkami, schorowany – czego mam się jeszcze w życiu spodziewać? Te najpiękniejsze lata mam już za sobą... Stąd te rozpaczliwe myśli, rzucić się na druty naładowane elektrycznością, skończyć ze wszystkim... Ale dom, rodzice... Co miesiąc piszą list, ten krótki po niemiecku, nie bardzo umieją w tym języku, na obozowym formularzu: „jesteśmy zdrowi, dobrze nam się powodzi, sądzimy, że i ty jesteś zdrowy i że dobrze ci się powodzi...” wie ksiądz, taki stereotyp. Ale każdy list kończyli słowami: „tylko pamiętaj, że my tu na ciebie czekamy, Henryku”. I wie ksiądz, to mi nie pozwalało pójść za głosem rozpacz. Bo oni by tego chyba nie przeżyli, ich syn, ten ich bohater, samobójstwem kończy? To byłoby przekreśleniem tego wszystkiego, co mi dali przez te 19 lat!”

A gdy skończył, pomyślałem sobie, że to jednak musieli być wspólni rodzice, wspaniały ojciec i wspaniała matka, jeśli jemu, ich synowi, w tych warunkach, w których trzeba było nieraz ogromnie wiele wyrozumieć, zależało tylko na jednym, żeby jakimś rozpaczliwym krokiem nie przekreślił tego, co oni dali mu swoim wychowaniem. Ileż podobnych, czy zupełnie przeciwnych refleksji przychodziło człowiekowi na co dzień, poprzez ten tak bardzo bliski kontakt z życiem.

Karol

Jako młody ksiądz nigdy o życiu ludzi świeckich tyle się nie dowiedziałem, jak właśnie tam w obozie, poprzez bezpośredni kontakt z ludźmi świeckimi, do których człowiek jako ksiądz miał zawsze specyficzny stosunek, chciał im pomóc. Bardziej myślał o tym, żeby ich wyprowadzić z tego piekła, niż samemu z niego wyjść. Nie zapomniałem Karola, nie pamiętam dziś nazwiska, ze Świętochłowic, któremu zwykle tłumaczyłem listy, jakie dostawał z domu z języka niemieckiego na polski, bo po niemiecku bardzo słabo umiał. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszedł do mnie, bo już nie dostał listu od dłuższego czasu, ale jakiś druk, którego treści nie rozumiał. Próbowałem mu wytłumaczyć, dlaczego to nie jest list, bo druk zawierał

skargę rozwodową jego własnej żony. Stanął przede mną jak osłupiały: „jak to rozwodowy?” – mówi. „Masz się zgodzić na rozwód, bo taką skargę wniosła żona do sądu, że nie chce już żyć z człowiekiem, który jest skazany na pobyt w obozie koncentracyjnym i to jako Polak”. Powoli prawda stawała przed nim bardzo jasno, ale równocześnie patrzyłem jak straszne to na nim zrobiło wrażenie, bo chyba o tym tylko ciągle myślał, że wróci do żony, do dzieci, które miał. Teraz to wszystko mu się zawaliło. Żona prosi o rozwód, który oznacza rozłąkę, tak samo pewno i dzieci nie będzie już mógł oglądać. I to wszystko, co go w obozie trzymało przy życiu, to nadzieja, że kiedyś przecież wyjdzie i znowu będzie żył na łonie rodziny, wszystko legło w gruzy. Patrzyłem potem na niego, jak w załamaniu zaczął go niszczyć obóz, warunki zaczęły działać na niego niekorzystnie, bo można było wytrzymać tam tylko wtedy, gdy się chciało wytrzymać, siłą woli. Ale gdy ta została raz czymś złamana, tak jak właśnie u niego, brakiem kompletnie nadziei powrotu do domu i do dotychczasowych warunków życia, wtedy człowiek się załamuje i właściwie na naszych oczach ginął. I rzeczywiście z obozu żywy już nie wyszedł.

Eda

Takim kazusem specjalnym była też inna postać – księdza Edmunda Mikołajczaka, który zwrócił moją uwagę swoją młodością, ale równocześnie jakimś dziwnym przygnębieniem. Był pomocnikiem pisarza na bloku księży, ale wydawało mi się coś niewłaściwego w zestawieniu karty w kartotece, która wskazywała na rok jego urodzenia, z wyrazem twarzy i zachowaniem. Zapoznaliśmy się trochę bliżej, on zresztą swoim przygnębieniem i pochodzeniem ze Śląska zwrócił moją uwagę. Gdyśmy się bliżej poznali, pewnego wieczoru na przechadzce mówi: „wiesz, ja wcale nie jestem księdzem”. Stanąłem jak wryty. Zaczął mi wtedy opowiadać historię, którą do dziś pamiętam, że jako młody chłopak po skończeniu szkoły zgłosił się do zakonu, który miał swoją siedzibę, czy dom nowicjacki w Puszczykówku, w sierpniu 1939 r. Gdy nastąpiła wojna, wszyscy zostali internowani: i księża, i ci którzy byli kandydatami do zakonu. I tak się rozpoczęła jego droga wojenna poprzez jeden obóz internowania, drugi, trzeci, aż wreszcie 15 sierpnia 1940 roku zdecydowano, że odchodzi transport księży do Dachau. A on, jak mi mówił, w tym czasie, czy w tym dniu otrzymał kartę zwolnienia z obozu koncentracyjnego, o którą się wystarał jego ojciec, który był kolejarzem w Nowym Bieruniu. A koleja-

rze byli wtedy ludźmi, których szanowano: „Räder rollen für den Sieg”, to było hasło, które wtedy znaczyło coś i dlatego opiekowano się ludźmi, fachowcami w dziedzinie kolejnictwa dość wyraźnie. Dlatego też wydawało mi się, że ta historia jest bardzo bliska prawdy. A on, który się nazywał Antoni Latocha, zawarł przyjaźń z księdzem Edmundem Mikołajczakiem z diecezji gnieźnieńskiej, który był harcerzem, katechetą stosunkowo młodym. Latocha podszedł do niego i mówi: „proszę księdza, jest transport do Dachau, ja pojedę po prostu za księdza. Ksiądz weźmie moją kartę zwolnienia i wyjdzie, a ja pojedę z metryką urodzenia, którą ksiądz ma przy sobie, żeby księdza zastąpić. To się wszystko przecież za dwa, trzy miesiące skończy”. Ksiądz się oczywiście opierał, ale ostatecznie wobec perspektywy, że mógłby jako ksiądz działać na zewnątrz w tym czasie, kiedy księży bardzo brakowało, ostatecznie przewyciężył wszelkie opory i tak się faktycznie stało. Ksiądz Edmund Mikołajczak wyszedł na wolność, a Antoni Latocha jako ks. Edmund Mikołajczak pojechał z transportem dalej, najpierw do fortu siódmego w Poznaniu. Noc tam spędzona powinna mu być już oczy otworzyć na wszystko, co się ewentualnie stanie na skutek tej jego młodzieńczej, idealistycznie podjętej decyzji. Następnego dnia transport ruszył rzeczywiście w kierunku Dachau i ostatecznie wyjazd, może jeszcze nie do Dachau, do Sachsenhausen najpierw, a potem dopiero do Dachau. Tak to kolejno trwało przez cały czas, w Dachau w tych okropnych warunkach pierwszych lat wojny, które to warunki zrobiły wrażenie na młodym chłopcu, idealistcie, ale przecież do tego stopnia potrafiły zabić wszelki idealizm, że chłopak był przygnębiony i znajdował się w stanie bardzo trudnym psychicznie. Wiedział, że decyzja, którą podjął, jednak kosztowała go za dużo sił. I potrzebna mu była pewna duchowa pomoc, której zdaje się udało mi się mu udzielić, tak że do końca obozu przetrwał. Zawiązała się przyjaźń, która trwała do końca, tym bardziej, że byliśmy potem sąsiadami na blokach „tyfuśników”. „Eda”, bo tak go nazywaliśmy, był człowiekiem trudnym właśnie dlatego, że przygnębienie zaczęło wywierać swoją psychiczną rysę na jego usposobieniu. Ale równocześnie był człowiekiem niestęchanie czynnym, pragnącym pomóc każdemu w czym tylko było to możliwe. Zaangażował się bardzo, poprzednio jeszcze, w urządzaniu kaplicy. Jego dziełem była monstrancja, którą wydtubał w drzewie, potrafił też z rozmaitych skrzynek aluminiowych wykonywać różne elementy zdobnicze. Chyba współdziałał też przy tworzeniu tabernakulum w kaplicy, o ile dobrze pamiętam, boć znam to tylko z jego opowiadań. Nasze losy zbliżyły się bardzo. On zachorował na tyfus jako

„Blockschreiber” jednego z bloków tyfusowych. Bardzo ciężko ten tyfus przechodził, potrafił w gorączce nawet uciekać z baraku przez okno, poranił się przy tym szybami, które porozbijają. Ale ostatecznie był już wtedy pisarzem blokowym, więc konsekwencji z tego faktu nie wyciągano, zresztą był w bardzo dużej gorączce, tak że chyba robił to nie będąc nawet przytomnym.

Donosiłem mu kompoty, bo wtedy to już było możliwe, żeby jakoś pomóc w tych warunkach, w których niestety lekarstw przeciw właściwie nie było żadnych. Chodziło o tyfus plamisty. O ile pamiętam, był wśród nas lekarz z Poznania „Ali” – tak go nazywaliśmy. Ali zbierał od nas pudełka „dextropuru”, które otrzymywaliśmy w przesyłkach z domu i w nocy próbował przez destylację wydostawać cukier gronowy, który ponoć wstrzykiwał chorym, czy dawał w innej formie do spożycia, aby utrzymać ich przy życiu. To była czasem jedyna forma ratunku, jaką dawał obozowy szpital, bardzo ciężko znoszącym chorobę tyfusu heftlingom. Potem i mnie wypadło zachorować na tyfus. Wtedy znowu Antoni Latocha starał się o mnie. Pamiętam te kompoty, które mi przynosił, bo jeść to nie mogłem właściwie nic, ratowały mnie tylko te płyny, zupki, które otrzymywałem ze szpitala, z rewiru, no i właśnie takie przez kolegów składane formy pomocy.

Byliśmy pisarzami blokowymi w sąsiednich blokach. Mieliśmy jako pisarze blokowi możliwość zyskania dodatkowych porcji chleba.

Pamiętam taką wigilię, którą chyba w 1944 roku przeżywaliśmy razem. On miał na bloku oficerów norweskich, nie wiem jakimi drogami oni z obozu jenieckiego trafili do Dachau. Dostawali wspiane paczki, cudowne konserwy, ale nie mieli zupełnie chleba. Tak że ostatecznie sardynki i te inne konserwy rybne jedzone bez chleba im nie smakowały i dlatego zwrócili się do niego, aby dał im trochę chleba. On na wymianę – jaka wtedy była w obozie normalna – dał im trochę chleba, który zaoszczędził poprzez późniejsze zgłaszanie zmarłych z bloku tyfusowego, co było zupełnie możliwe do zrobienia. W ten sposób zostawały dodatkowe części chleba. Pamiętam tę wigilię, którą urządził wtedy uroczystie na swoim bloku. Zebrało się nas wtedy czterech, czy pięciu i w takiej kłitce, którą odgrodził od reszty izby szafami, tę wigilię spożywaliśmy w nastroju – no właśnie, tym obozowym – ale przecież innym niż może nawet reszta heftlingów w całym obozie.

Eda wytrzymał do końca obozu i oczywiście po obozie wrócił do Wągrowca, z której to parafii pochodził ks. Mikołajczak, który też szczęśliwie całą wojnę przeżył, ukrywając się i działając częściowo

jako ksiądz. Ten potem postarał się o to, żeby Eda – jakeśmy go nazywali, a właściwie Antoni Latocha – skończył studia nauczycielskie i został instruktorem robót ręcznych na całe województwo katowickie, za co go zresztą szanowano, jako wybitnego specjalistę w tej dziedzinie.

Paczki

Człowiek z czasem nabywał też większego doświadczenia obozowego. Można powiedzieć, że obozy początkowo określane były jako „Vernichtungslager”, jako obozy wyniszczające, które miały właściwie doprowadzić do zgonu więźniów: takie było ich założenie i takie faktycznie były. Gdy nas witano, powiedziano m.in., że jedynym sposobem wyjścia z obozu jest spalenie w krematorium: „wyjście przez komin” – jak mówiono niby dowcipnie. Dla nas oczywiście była to perspektywa straszna, ale takiego „humoru” spotykał człowiek więcej w obozie koncentracyjnym. Od lutego 1943 roku zaczęło się coś w obozie zmieniać. Po klęsce pod Stalingradem obozy straciły chyba swój charakter wyniszczający, zamiast „Vernichtungslager” zaczęły nabierać raczej charakteru „Arbeitslager”. Już nie chodziło o to, żeby więzień musiał ginąć, żeby skończył śmiercią swój pobyt, ale żeby go wykorzystać przed śmiercią jak najbardziej jako siłę do pracy. To pociągało za sobą konieczność pewnego oszczędzania ludzi. Jednym z przejawów tego „oszczędzania” było pozwolenie na przysyłanie paczek do obozu. Można powiedzieć, że to zarządzenie zmieniło częściowo życie obozu, przynajmniej gdy idzie o nas, księży, zmieniło warunki życia obozowego. Ksiądz nie polegał tylko na swojej rodzinie, ale każdy z nich związany był z jakąś parafią. Ja pracowałem przez 5 lat w parafii Hajduki Wielkie. Musiałem podać jeden adres, na który można było postać zaświadczenie, że jestem w obozie i paczkę mogę otrzymać. Tylko ten adres był aktualny.

Na szczęście mój brat Kazimierz pozostał w Katowicach, a więc na terenie Rzeszy i dlatego korespondencja z nim była bardzo regularna. Tak samo regularnie zaczęły teraz przychodzić paczki. Tym bardziej, że brat miał kontakt z moją rodzimą parafią Hajduki Wielkie. Ludzie pamiętali młodego księdza „Poloka” – jak mnie określano – który niesłusznie został skazany na pobyt w obozie koncentracyjnym i dlatego nie miał chyba brat większych trudności, żeby mi co pewien czas jakąś paczkę przysłać i to wspaniałą, gdzie był chleb, gdzie była kiełbasa, gdzie była szynka, gdzie była słonina, gdzie była cebula,

która była bardzo potrzebna, żeby skorbut nie dokuczał, no i dextropur oraz inne środki witaminowe, które były bardzo potrzebne – jak się potem okazało – także dla innych.

Znaleźli się też dobroczyńcy – poza bratem – którzy przysyłali paczki, ryzykując, że nie dojdą. Ale na ogół dochodziły, bo szkoda było marnować chleb, który posyłała np. pani Mnichówna z Księgarni św. Jacka, po wojnie jeszcze tam pracująca, czy pani Regina Sojka, z której bratem Teodorem byliśmy w bardzo bliskich kontaktach (późniejszy kościelny przy kościele katedralnym w Katowicach). Paczki, które zaczęły do księży przychodzić regularnie, bardzo poważnie zmieniły sposób żywienia księży. Mogliśmy już zrezygnować z jedzenia obozowego i dlatego część kotłów oddawaliśmy na inne bloki: rosyjskie czy polskie, dla tych, którzy paczek absolutnie otrzymywać nie mogli, natomiast nam wystarczał ten sposób odżywiania się, który zabezpieczały otrzymywane paczki. Ta sytuacja oczywiście pozwalała też na prowadzenie akcji charytatywnej, z której tak bardzo znany był np. ks. Wincenty Frelichowski. Zbierał on dary od księży, znosił je na rewir, czy do szpitala, czy oddawał biednym, co zresztą było też praktykowane przez innych księży. Trzeba obiektywnie przyznać, że paczki były rewidowane przez osobnych Komandoführerów i Blockschreiberów i jednak sprawiedliwie oddawane. Naturalnie były kontrolowane, gdyż niektórych towarów nie wolno było dostarczać, jak np. alkoholu. Ale natomiast papierosy: jeśli się potem takiemu Blokführerowi dało jedno pudełko, które przyszło w paczce, to oczywiście on łaskawszym okiem patrzył na wszystko inne. Z tej strony nie podnosiliśmy żadnych zarzutów. Po klęsce pod Stalingradem wycofano też z obozu wszystkich młodych esesmanów, którzy po prostu poszli na front, a do obozu przyszli przeważnie starsi ludzie, z którymi „dialog” był już bardziej możliwy, szczególnie przy takich okazjach jak rozdawanie paczek.

Warunki życia obozowego dla księży straciły swoją surowość pod pewnym względem. Bo np. takim specjalnym utrapieniem było noszenie kotłów od kuchni aż na blok. Przeniesienie strasznie ciężkiego kotła wymagało wysiłku, który był ponad siły niejednego z księży, którzy niejednokrotnie dostawali przepukliny, czy w ogóle załamywali się pod tym okropnym ciężarem. Teraz nawet do tego było więcej siły.

Tyfus plamisty – księża funkcyjni

Po pewnym czasie mój pobyt na komandzie plantacji się skończył, bo powstała nowa możliwość, jaką było przejęcie funkcji blokowych. Wybuchł tyfus plamisty – tym razem spowodowany właściwie przez wszy, gdyż w przepętnionym obozie nie można już było zachować podstawowych warunków higienicznych. Tyfus dziesiątkował przede wszystkim starych pobytem heftlingów, wyniszczonych już warunkami obozu koncentracyjnego. Trzeba pamiętać, że niektórzy więźniowie przebywali tam od 1933 roku, a jako Niemcy byli blokowymi, czy sztubowymi i spełniali urzędowe funkcje tego swoistego samorządu obozowego. Gdy przyszedł tyfus plamisty, który gnębił człowieka przez pełne 9 dni i nocy gorączką bez przerwy, serce nie wytrzymało napięcia i ludzie naprawdę ginęli jak muchy. Na tyfus zmarł też ks. Antoni Świadek z Bydgoszczy, który przyszedł do obozu w tym samym transporcie co i ja. A mnie Pan Bóg wyprowadził...?!

Niezapomnianą dla mnie sceną pozostanie wezwanie esesmana przed naszym blokiem, mówiące o sytuacji więźniów chorych na tyfus. „Tam już powymierali zarażeni chorobą blokowi i sztubowi, a wy głosicie przecież miłość bliźniego, więc zgłóście się i obejmijcie te funkcje!” W ustach tego człowieka brzmiało to jak obelga. Zgłosiłem się i ja, by objąć na jednym z bloków funkcję pisarza „Blockschreibera”. W ten sposób na tych blokach, gdzie leżeli zarażeni tyfusem, ale także na innych, mogli teraz funkcje właściwe objąć księża. Wiem, że zgłosiło się wielu księży. Nasz blok 28 otrzymał jako blokowego księdza Teodora Korcza, bardzo jasną, ciekawą postać. Na sztubach też wtedy odpowiedzialnymi byli już księża, a nie przydzieleni z innych bloków Niemcy. Oczywiście to też zmieniło troszeczkę warunki życia obozowego. Zniknęły utrapienia, które zwyczajnie powodowali sami sztubowi czy blokowi. Teraz już księża spełniający te funkcje wykonywali je bardziej humanitarnie, mając na celu dobro więźniów. Co dawniej narażało na bardzo poważne konsekwencje cały blok, czy poszczególne izbę, przed tym teraz i blokowy, i sztubowy bardzo wyraźnie bronili całość. Wtedy i mnie przypadło zostać blokowym pisarzem na bloku chorujących na tyfus. Była to funkcja specjalna, można powiedzieć, dzięki temu, że bloki te oddzielono jeszcze osobnymi siatkami od reszty obozu i że na te bloki już nie wchodził teraz Blockführerzy, esesmani, gdyż bali się zarażenia. Mieliśmy dość dużą swobodę, bo blokowy pisarz był jedynym człowiekiem, który mógł wychodzić ze swojego bloku: szedł np. do „Schreibsstube” przed apelem zgłaszać stan bloku rano i wieczorem. Były to bloki, z których nikt nie wyruszał

do pracy i wobec tego resztę czasu blokowy pisarz miał wolną. Z tym wiązały się jednak pewne niebezpieczeństwa. Można było przecież zarazić się tyfusem, co oczywiście i mnie spotkało. Ale zrezygnować z tej funkcji już właściwie nie mogłem, nawet po zachorowaniu. Pamiętam, jak pan Domagała, który został w międzyczasie „Lagerschreiberem”, podszedł do mnie i mówi: „Ignac, tyś już tyfus przeszedł, wobec tego idź znowu na ten blok, bo ty już tyfusu nie dostaniesz, a jak pošlę kogoś innego, to on się znowu zarazi i gotów umrzeć i wtedy mamy dalszy kłopot, a ty już jesteś uodporniony”. Argumentacja była nie do odparcia i dlatego do końca na tym bloku tyfuśników już pozostałem. Praca była i dlatego ciężka, że śmierć zabierała straszną ilość ludzi. Przebywali na tym bloku też Cyganie, którzy są bardzo związani nie tylko ze swoją rodziną, ale i ze swym rodem. Tam miałem okazję poznać ich bliżej i rzeczywiście – gdy ktoś umarł, to pozostali potrafili ukrywać jego śmierć bardzo długo. To oczywiście powodowało, powiedzmy, komplikacje dość duże na bloku, bo przecież trzeba było zgłaszać jako obecnych na bloku tylko żywych, a trudno było umarłych trzymać na bloku. Od tego zgłoszenia zależała liczba otrzymywanych chlebów.

Pozycja pisarza blokowego dawała też różne możliwości, które dla innego heftlinga były nieosiągalne. Jedną z nich była możliwość wglądu do kartoteki obozowej, względnie kartoteki innych bloków. Mogłem wreszcie dokładniej zbadać sprawę śmierci mojego proboszcza ks. dziekana Józefa Czempieła, „za którego” ja z kolei poszedłem do Dachau. Starsi i mniej fizycznie sprawni księża dostawali się z czasem do pracy w komandach nie wymagających większego wysiłku fizycznego, jak np. pończoszarnia. Ale dla zmęczonego poprzednim pobytem w Gusen-Mauthausen i pracą w kamieniołomach, nawet i ta praca była za ciężka, tym bardziej, że głód wyniszczał organizm nawet przy lekkiej pracy. I wtedy rozpoczęły się tzw. „transporty inwalidów”. Zaliczano do nich księża niezdolnych do pracy fizycznej. Decyzja zapadała „na oko” w obecności esesmana, kapo rewiru i blokowego. Od niej nie było odwołania. Ponieważ rozpowszechniano opinię, że „wybrani” pojedą może nawet do sanatoriów, czy w lepsze warunki pobytu – oporu nie było. Zresztą nie mogło być... Dopiero po dokładnym zbadaniu kartotek wyszło na jaw, że transporty te udawały się w okolice Linzu i tam wszyscy ginęli zatruci gazem w komorach gazowych, a ciała ich uległy spaleni w krematoriach. Telegram powiadamiający o przyczynie śmierci („Darmkatarrh”) – a nawet i data, jaką w nim podano, były czystą fikcją...

Inną możliwością, jaka stała przed pisarzem blokowym takiego bloku, jak blok tyfuśników, była łatwiejsza możliwość zorganizowania sobie czasu wolnego. Wystarczyło mieć tylko ze sobą zeszyt z liczbami bloku pod pachą, by mieć usprawiedliwienie na wypadek spotkania esesmana, że się idzie urzędowo do „Lagerschreibstube”, by czuć się jako tako bezpiecznym. A można było iść do rewiru odwiedzić chorego, czy na blok dla przeprowadzenia podnoszących na duchu rozmów. Można też było ten czas poświęcić na bloku opiece nad chorymi, których było przecież bardzo wielu – właściwie wszyscy, tyle że niektórzy w okresie rekonwalescencji. Można też było poświęcić czas życiu religijnemu – własnemu – czy mieszkańców bloku. Sytuacja była o tyle bezpieczna, że nie trzeba było obawiać się kontroli esesmanów, a inna nie była groźna w tej sytuacji.

Ciągle trzeba pamiętać, że był to okres końcowy obozów koncentracyjnych. Dyscyplina rozluźniała się coraz bardziej, wypełnienie obozu było coraz większe, warunki higieniczne i zaopatrzenie coraz gorsze.

Ostatnie dni

Mieliśmy na tych blokach trochę więcej swobody niż reszta obozu, właśnie dzięki temu odgrózeniu nas od reszty. To dawało też księdzu, jak na przykład mnie, dużo możliwości opiekowania się umierającymi. Oczywiście wtedy, gdy chodziło o katolików. Ale też pamiętam w pierwsze święto Bożego Narodzenia w 1944 roku miałem blokowego nazwiskiem Baron, pochodzącego chyba z okolic Lublińca, który trafił do obozu nie wiem jakimi drogami, ale ostatecznie bał się stracić swoje stanowisko. Dlatego mówię: „Baron, ty idź teraz spać, w niedzielę do południa, po apelu, a ja tu będę sobie urządzał życie po swojemu, ty nic nie wiesz”. On rzeczywiście posłusznie poszedł wtedy spać, a ja mogłem w jednej z sypialni przygotować wszystko do odprawienia Mszy św. Zaśpiewaliśmy cichutko kolędy i rzeczywiście Mszę św. można było spokojnie odprawić. Katolików na bloku nie miałem zbyt wielu, bo jego lokatorami byli ludzie dosłownie z całego świata, ale niemniej ci, którzy chcieli być wtedy na Mszy św., byli i mogli przystąpić do Komunii św. W taki sposób mogłem wykorzystać tę sytuację, w jakiej się znalazłem, na skutek warunków, które stwarzała zaraza tyfusu. Naturalnie nie można ukrywać, że gdy charakter obozu zaczął się zmieniać, niebezpieczeństwa pozostały te same i groziły w każdej chwili nieobliczalnymi konsekwencjami. Pamiętam,

jak pewnego dnia zostałem wywołany do rewiru dlatego, że stwierdzono u mnie grupę krwi, która była nagle potrzebna. Przygotowywano wszystko do transfuzji. Jak się potem dowiedziałem, w obozie esesmanów wybuchł spór i zakończył się jakąś krwawą bijatyką między strażnikami, z których jeden utracił tyle krwi, że groziło to śmiercią. Nie widziałam mi się perspektywa przetaczania mojej krwi do organizmu esesmana. Oczywiście dla ratowania życia człowieka, nawet w takiej sytuacji, należało wyrzec się buntu, ale nie byłem zupełnie pytany o zgodę, tylko przygotowywano wszystko wbrew mojej woli. W ostatniej chwili zaprzestano tego zabiegu, dlatego że poszkodowany zmarł z powodu zbyt dużego upływu krwi. Mówię to dla przykładu, że człowiek był zupełnie bezwolny, oddany w ręce ludzi, którzy sami decydowali o wszystkim co wiązało się z naszym życiem. Nawet i w tych warunkach, w których już się wydawało, że nie ma bezpośredniego zagrożenia, tak jak było w pierwszych latach obozu, gdzie właściwie każdy kapo mógł człowieka zabić, mógł strażnik, Komandoführer, czy Blockführer rzeczywiście zadecydować o życiu i śmierci każdego więźnia. Zdarzały się takie wypadki, w których człowiek w pewnych warunkach był narażony na najgorsze konsekwencje. Pamiętam, jak z Geometerkomando wracaliśmy po apelu z własnym postenem do obozu i trzeba było oczywiście przechodzić przez bramę obozową, w której obowiązywał normalny rozkaz zdjęcia czapek. Ja, czymś zafrasowany, czapki nie zdjąłem i wtedy poczułem okropne kopnięcie butem w krzyż, tak że się o mało co nie przewróciłem. Okazało się, że właśnie takim sposobem upomniał się strażnik o należne mu honory, które polegały na zdjęciu czapki przy przejściu obok niego. Można powiedzieć, że w ten sposób w każdej chwili czuło się tę zależność życiową, jaką narzucał obóz.

W tym właśnie okresie nieco zwolnionej dyscypliny obozowego żyda, chcąc dać jakieś odprężenie, pozwolono na przykład więźniom na grę w piłkę nożną. Wtedy drużyna bloków 16 i 18 – bloków polskich – wyróżniała się szczególnie dobrą grą. Pamiętam kilku księży, jak chociażby oblat Matura, który wspaniale grał technicznie, czy salezjanin Jacewicz, który wyróżniał się twardą grą, ale bardzo dobrą. I wtedy w niedzielne popołudnie, na tym placu, który do niedawna był miejscem cierpień, ci sami heftlindzy mogli przypatrywać się dwom drużynom, które grały w piłkę nożną.

Dopuszczono też do tego, że Polacy mogli przygotować widowisko teatralne na święto dożynek. Hymn dożynkowy oparty był o melodię „Warszawianki”. Naturalnie, gdy pytano organizatorów dlaczego, powiedziano, że to znana w Polsce melodia, śpiewana

właśnie z takiej okazji. Ale można sobie wyobrazić, jak to przeżywali heftlindzy Polacy, którzy brali udział w widowisku jako widzowie, gdy zaśpiewano na melodię Warszawianki ten „hymn dożynkowy”, oczywiście z tekstem, który przeszedł przez cenzurę i był nieszkodliwy politycznie, a bardzo piękny. Nam w tej sytuacji wystarczyła sama melodia, żeby przeżyć wielkie wzruszenie i wzmocnić się duchowo. To jeszcze jeden dowód, jak można było jednak poprzez inteligentnych więźniów „w pole wyprowadzić” tych, którzy byli strażnikami, a nawet oficerami pilnującymi niemieckiego ładu w obozie.

Wśród tzw. urozmaiceń życia obozowego trudno nie wspomnieć też o stworzeniu domu publicznego, który przez pewien czas działał w Dachau. Próbowaliśmy jako księży oddziaływać przynajmniej na Polaków, żeby z usług tego domu nie korzystali, twierdząc, że obok problemu moralnego, panie, które tam były zatrudnione, były przecież do tego w jakiejś formie zmuszane i dlatego nie wolno korzystać z ich usług. Uznano to za próbę przeciwdziałania władzom obozowym i dlatego nawet przez pewien czas księży otrzymywali „Brotzeitentzug” jak się to mówiło, nie otrzymywali „Brotzeit” w pracy tylko dlatego, że odważyli się działać przeciw decyzjom władzy. Trzeba powiedzieć, że Polacy rzeczywiście raczej z usług tego domu nie korzystali, ponieważ mieścił się on za blokami, więc siłą rzeczy wszyscy, którzy się tam udawali musieli przechodzić koło bloków 26 i 28, które były zajęte przez księży. To też wpływało odstręcająco na uczestników tych usług. Mówię o tym dlatego, że to była jedna z form – jak się zdawało władzom – złagodzenia dyscypliny obozu.

Oddziaływanie w dziedzinie wiary i moralności było raczej sprawą indywidualnych kontaktów, których, trzeba powiedzieć, było bardzo dużo. Niektóre były normalnie spostrzegane, inne były przypadkowe. Nie zapomnę transportu warszawskiego, który przybył pod koniec 1944 roku. Przyszły dwa takie transporty do Dachau – przywozły powstańców warszawskich i tych, którzy byli w związku z powstaniem aresztowani. Jedna część dostała się też na mój blok. Pamiętam chłopaka, który dowiedziawszy się pewnego dnia, że jestem księdzem, powiedział tak typowym językiem obozowym: „czy by się tu nie dało zorganizować Komunii świętej?” Takiego wyrażenia używano tylko gdy coś było zakazane i trzeba było się o to postarać. Powiedziałem mu: „spróbuję, jeżeli ci tak na tym zależy”. Rzeczywiście chłopak powiedział, że w domu jeszcze została matka, siostry i brat: „Muszę obóz przetrwać, a wie ksiądz, jak to jest bardzo tu potrzebne, żeby i duchowo być na poziomie.” Odbył przepiękną spowiedź św. potem mu rzeczywiście o Komunię św. się postarałem i w kacie mojej

izdebki oddzielonej od reszty izby szafami, tej Komunii św. przed apelem i przed śniadaniem udzieliłem. Bardzo to sobie cenił, bardzo się też podniósł duchowo i może dlatego przetrwał obóz do końca.

Ale z tego samego transportu był też inny – starszy człowiek. Z pretensjami: „to się nas, powstańców, wojskowych, do obozu koncentracyjnego posyła. Tu człowiek miesiąca nie wytrzyma...” I rzeczywiście – nie wytrzymał chyba miesiąca, bo zabrakło woli przetrwania, chęci życia, nawet w takich warunkach.

Były piękne postawy i było bardzo dużo faktów świadczących o tym, jak ludzie w tych warunkach starali się o utrzymanie się „na poziomie”. Z czasów tyfusu pamiętam również chłopaka, nazywali go Afek, może on się nawet tak nazywał, chyba też z okolic Warszawy pochodził. Gdy kompletnie byłem wyczerpany po tyfusie plamistym, gdy do tego doszło jeszcze chorobliwe rozwolnienie, straciłem wszystkie siły, trudno mi się było nawet na nogach utrzymać. Wagę miałem poniżej wszelkiej możliwości, do 39 kg doszła, powiedział mi: „Ignąc, jak czegoś nie uda się zrobić, to jutro chyba skończysz. Ale jeszcze spróbujemy tutaj coś pomóc”. Rzeczywiście. Na drugi dzień ze szpitala dla esesmanów, gdzie pracowali nasi heftlindzy, zdobył kilka kropli opium, które podał mi na kostce cukru i to mnie uratowało. Potem rozpoczął się długi okres rekonwalescencji. Trzymali mnie na rewirze aż odzyskałem siły. Ale ilu trzeba było sił, ile sprytu i wysiłku, by takiego pacjenta, który właściwie nie był chory, ale był za słaby, by wrócić do normalnej pracy obozowej, na rewirze przetrzymać, ukrywając go w momentach wizyt esesmanów, właściwych „szefów” rewiru.

A to kazali izbę opuścić, a to położyli mnie na „trzecim piętrze”, dość niedostępnym, aż niebezpieczeństwo minęło. Tak pod koniec rewiru stał się miejscem ratunku, a nie wykańczania więźniów.

Wśród wspomnień specjalnego uwzględnienia domaga się ostatni dzień pobytu w obozie, a raczej można powiedzieć dzień wyzwolenia. Ostatnie dni można było poznać przez fakt, że komanda przestały wychodzić do pracy poza obóz. Poza tym mieliśmy jednak dostęp do gazet, które nam donosiły o przebiegu wojny, a więc o zbliżających się już wojskach alianckich. Dowiadywaliśmy się też o losie poszczególnych obozów, poprzez tych, którzy do nas przychodzili, jak np. przetransportowani z Oświęcimia do Dachau, czy też po wiadomościach podawanych z ust do ust o losie np. obozu w Belzen-Bergen. Poza teren obozu nie wychodziły nawet te komanda, które związane były z życiem obozu, jak np. Krematoriumkomando. I dlatego trupy zmarłych heftlingów były składane na ogromne hałdy tuż pod krematorium. W ostatnich dniach też wyruszyły transporty

poza teren obozu. Mówiono, że oni idą do dolin alpejskich, że tam będzie łatwiej strzec grupy heftlingów. W takich dwóch, czy trzech transportach wyszli przede wszystkim Niemcy. Baliśmy się, że i nam to będzie groziło, ale zagrożenie było przecież ogólne. Rozchodziły się potem wieści o bardzo różnym losie tych grup, które wyszły z obozu przed zakończeniem wojny.

Uwolnienie

Tak nadszedł dzień 29 kwietnia. Niedziela. Po południu była wyznaczona Msza św. w kaplicy bloku 26, do której już mieliśmy dostęp i wobec tego skorzystaliśmy z tej Mszy św. i z tej odprawionej na bloku u nas też. Około godz. 17.00, po rozkazie: „alles in die Baracken”, to znaczy, po rozkazie, że należy przebywać w baraku, rozległ się nagle krzyk: „Amerikaner sind da”! Oczywiście wybiegliśmy z baraku niezależnie od zakazu i rzeczywiście zauważyliśmy postacie ubrane w mundury innego koloru niż dotychczas widywane, koloru khaki, i też na głowach mieli hełmy innego kształtu niż te, do których byliśmy dotychczas przyzwyczajeni. Oczywiście nic już nie powstrzymało heftlingów, żeby udać się w kierunku Appellplatzu. Od rana zresztą zauważyliśmy wiszącą na zewnątrz białą flagę. Z tego wnioskowaliśmy, że obóz nie będzie broniony przez załogę, która jeszcze została. Okazało się potem, że to była tylko załoga na wieżach wartowniczych i że to byli Ukraińcy, własowcy. Reszta esesmanów udała się z transportami w poprzednie dni, czy jeszcze z innego powodu opuściła teren obozu. Przypadkowo znalazłem się przy wieży wartowniczej nr B w pobliżu bloku chyba 16 czy 14. W pewnym momencie po wyjściu kilku członków załogi tej wieży z podniesionymi rękami, ostatni wyszedł, jak potem tłumaczono nam, z rewolwerem w rękę, na co oczywiście Amerykanie odpowiedzieli od razu salwą, która położyła trupem całą załogę wieży B. Trzeba powiedzieć, że powitaliśmy ten fakt okrzykami radości, co nie było objawem chrześcijańskiej miłości, ale po tylu latach udręki te okrzyki były jednak mimo wszystko po ludzku zrozumiałe, jako natychmiastowa reakcja. Poleciliśmy potem w stronę „Jourhausu”, głównego budynku u wejścia do obozu. Zauważyliśmy, że w drutach płynie jeszcze prąd, co było oznaczone czerwonym światłem, a z czego wynikało, że obóz jest jeszcze niedostępny ani dla tej załogi z zewnątrz, ani też nam wyjść poza teren nie było wolno. Nie wiedzieliśmy zresztą dokładnie, co się dzieje. Ale po chwili wszystko się wyjaśniło, bo na „Jourhaus” weszła załoga amery-

kańska, zjawił się sztandar, chyba też i polski obok amerykańskiego i przez głośnik, jaki Amerykanie ze sobą przywieźli, rozległ się głos mówiący, że jesteście wolni: „Panu Bogu dziękujcie za odzyskaną wolność”, ale że sytuacja jeszcze nie jest całkiem jasna, że to tylko mały oddział, który odłączył się od głównych sił, które idą na Monachium, a tam Amerykanie spodziewają się oporu niemieckiego, dlatego w tej chwili losy obozu będą zależały od dalszego rozwoju wydarzeń. „Wypuścić was na zewnątrz nie możemy” – powiedziano – „bo wiadomo, że w obozie panuje tyfus. Gdyby on się rozprzestrzenił, byłby nie do opanowania, zagrażałby ludności niemieckiej, jak i przede wszystkim wojskom alianckim. I dlatego musicie to zrozumieć, że z obozu w tej chwili nie zostaniecie wypuszczeni. Gdyby rozwój wypadków wojennych miał być niekorzystny dla nas – mówił ktoś ze starszyny amerykańskiej – oczywiście wtedy obóz niezależnie od wszystkiego uwolnimy i gdybyśmy się mieli wycofać, to już razem z wami. O to nie należy się obawiać. W tej chwili władza w obozie przechodzi w ręce samorządu obozowego.” W ten sposób zostało powiedziane chyba wszystko, co było dla nas najważniejsze. Rzeczywiście Międzynarodowy Komitet przejął władzę w obozie, co zaznaczyło się przede wszystkim rozdzielaniem porcji jedzenia, na które wszyscy czekali. Trzeba pamiętać o wygłodzeniu niektórych po prostu do granic możliwości. Ale to, co się miało stać błogostawieństwem, dla niektórych stało się przekleństwem, bo jeśli ktoś otrzymał i zjadł naraz całą bochenek ciężkostrawnego przecież chleba - tego „komiśniaka” – i do tego jeszcze porcję mięsa, całą konserwę, czy biksę – jak to ją nazywano – to tego nie wytrzymał żaden żołądek, tak przecież wygłodzony. Ostrzegaliśmy jako „Blockschreiberzy”, żeby przypadkiem tego nie jeść od razu, tylko małymi porcjami, a jednak znaleźli się ludzie, którzy powiedzieli sobie: „choćby umrzeć, ale raz się najeść”. I rzeczywiście spożyli tyle, ile tylko dali rady w tenże niedzielny wieczór. Jeśli Amerykanie przyszli o godz. 17.00, samorząd dość szybko przejął władzę w swoje ręce, tym bardziej, że blokowi i sztabowi byli na miejscu, „Blockschreiberzy” też. Tak, że nic nie stało na przeszkodzie, żeby te wszystkie zmiany bardzo spokojnie weszły w życie. Pierwszy dzień radości skończył się. Można sobie wyobrazić, jak wielka była radość więźniów, którzy odzyskali wolność, zasmuceni może tym, że nie mogą od razu wyjść z obozu. Może to było błogostawieństwem, bo i dokąd mogliby iść? Na drugi dzień wypadki potoczyły się pomyślnie. Słyszeliśmy jeszcze w nocy strzały artyleryjskie, ale jakby oddalające się, więc myśleliśmy, że wszystko przebiega pomyślnie. I tak też rzeczywiście się stało. Do obozu zjechały komisje lekarskie. Stwierdziły, że potowa obozu nadaje

się do umieszczenia w szpitalu. Przystąpiono od razu do organizowania szpitali w budynkach dotychczas zajmowanych przez SS, przez koszary, czy też przez biura. Wszędzie, gdzie tylko można, wstawiano łożka polowe, czystą pościel. Przetransportowywano najpierw chorych z rewiru, potem wszystkich chorych, których oczywiście okazało się, że jest bardzo wielu. Wszystkim wyznaczono ścisłą dietę przeciw tyfusowi, a więc mleko w proszku, jajka w proszku, biskwity. Nie bardzo byliśmy z tego zadowoleni, bo po takim okresie wygłodzenia, wszyscy raczej oglądali się za czymś konkretnym, a tymczasem właśnie przepisy lekarskie nakazywały dietę i to bardzo ścisłą.

Amerykanie byli przerażeni tym, co zobaczyli przy krematorium, mianowicie stosami trupów, szczególnie wygłodzonych okropnie „muzułmanów”, jak ich nazywano językiem obozowym. A do tego znaleźli w wagonach, które dojechały do Dachau, całe masy ludzi, którzy zmarli z braku jedzenia, z braku czegokolwiek do picia, w wagonach, które doszły do Dachau, ale już potem nie zostały rozładowane. Zorganizowano wtedy wywóz tych trupów poza teren obozu. Ściągnięto wozy okolicznych chłopów, którzy oczywiście bronili się tym, że nie wiedzieli, co się tu w obozie działo, bo było to okryte całkowitą tajemnicą. „Jakieś słuchy czasem dochodziły – mówił ten, czy ów – ale przecież o szczegółach nikt z nas nie wiedział. Nie wiedzieliśmy też, że aż tylu ludzi tutaj z głodu i z wyczerpania umarło, jak to w tej chwili widzimy na tych stosach trupów, które ułożone były przy krematorium”. Zwłoki tych zmarłych wywieziono do wspólnego grobu i tam też zostały pochowane.

Życie obozowe było dalej organizowane w miarę możliwości. Nadszedł dzień 1 maja, w którym przede wszystkim Rosjanie urządzili swoją uroczystość, a potem dzień 3 maja, w którym już Polacy zorganizowali Mszę św. na „Appellplatzu”. Postawiliśmy wielki, wspaniały krzyż, w ołtarzu obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, namalowany przez księdza Sarnika. I odprawiona została Msza św., w czasie której kaznodzieja rozpoczął kazanie stwierdzeniem: „oto miejsce, na którym spełniły się wszystkie moje marzenia”, bo rzeczywiście mówił w dalszym ciągu kazania, że przez cały czas pobytu w obozie, ile razy stał na apelu, godzinami czasami, tyle razy myślał, że się ten „Appellplatz” zamieni kiedyś w miejsce odprawienia Mszy św. i kościelnego zgromadzenia. I tak się w dniu dzisiejszym stało.

Podczas Mszy św. wyśpiewaliśmy Panu Bogu wszystko to, czego pełne były nasze serca, z wdzięczności za to, żeśmy dożyli dnia wolności i że obóz – dla nas przynajmniej – skończył się tak, jak to właśnie przeżyaliśmy.

Kolejno zaczęto organizować poszczególne grupy narodowościowe. Polską grupę postanowiono przenieść – jako bardzo liczną – do później opróżnionych koszar SS we Freiman pod Monachium i tam właściwie po pewnym czasie znaleźliśmy się wszyscy: i księża, i ludzie świeccy, mówiący językiem polskim. Pobyt we Freimanie trudno nawet wspominać, bo nie był to okres najprzyjemniejszy. Można sobie wyobrazić olbrzymią ilość Polaków, kilka tysięcy, jeśli nie kilkanaście, zgromadzonych ze wszystkich stron okolic Monachium.

Göppingen

Gdy pewnego dnia nadjechał wóz z kapelanem amerykańskim, który szukał 10 polskich księży do obozów, które znajdowały się w jego rejonie, trudno się było długo namyślać. Zdecydowałem się wraz z kilku księżmi wsiąść do jego auta i wywiózł nas w okolice Stuttgartu, gdzie organizowano Polaków w malutkie czy większe obozy, przygotowujące do transportu i do wysyłania ludzi do Polski.

Mnie przypadło być w okolicach Göppingen, koło Stuttgartu, najpierw Plochingen, a potem samo Göppingen, gdzie na lotnisku były koszary wojsk lotniczych, piękne domy i w tych domach zaczęto powoli gromadzić ludzi z okolicy Göppingen, Polaków od bauerów, całe rodziny pracujących – jak mówiono wtedy – na „Landjahrze”, na przymusowych robotach. Utworzył się samorząd obozowy i tam zorganizowano obóz raczej mały, bo większość koszar zajmowali Rosjanie. Gdy Rosjanie wyjechali, wtedy z okolic Saksonii, Amerykanie przywieźli około 5.000 ludzi, którzy tutaj zamieszkali i wśród których wypadło mi potem pracować cały rok. Była to praca specyficzna. Żywności dostarczała UNRA, był oficer tęcznikowy – rotmistrz Musiał – Pęczyński, utworzono znowu samorząd obozowy i życie zaczęło toczyć się prawie normalnym trybem, tym bardziej, że udało mi się zorganizować kaplicę, w której codziennie odprawiałem Mszę św., a w niedziele nawet dwie. Udało się też zorganizować kancelarię parafialną. Zgłaszało się bardzo wielu ludzi, którzy dotychczas mieszkali już razem, założyli rodziny, ale ślubu kościelnego nie mogli mieć i dlatego bardzo pragnęli, by ten ślub jak najprędzej otrzymać. Oczywiście trzeba było udzielać nauk przedślubnych i załatwiać wszystkie formalności, jakie normalnie w urzędzie parafialnym się załatwia. To samo dotyczyło dzieci, których było bardzo dużo do chrztu św. Trzeba było zorganizować księgi, które udało się utworzyć dzięki bardzo przyjaznemu kontaktowi z miejscowym proboszczem, który okazał się człowiekiem bar-

dzo wyrozumiałym na wszystkie braki, które nam dokuczały. Spadł mu przy tym też kamień z serca, bo z Polakami trudno mu było się porozumieć, a zgłaszali się do jego kancelarii parafialnej w mieście Göppingen. Obóz był dwa, trzy kilometry poza miastem na lotnisku w koszarach. Z czasem udało się zorganizować na terenie obozu szkołę, wkrótce doszedł jeszcze do obsługi obozu ksiądz Zygmunt Tyburski z diecezji włocławskiej, też były więźni, którego traktowałem jako katechetę, a równocześnie jako wikariusza, sam przejmując funkcję proboszcza, nominalnie właściwie, bo byliśmy przecież kolegami z jednego obozu. Z czasem nawiązałem kontakt z księdzem Edwardem Lubowieckim, który działał we Frankfurcie z ramienia biskupa Gawliny.

Przyjechał do nas. Pamiętam brewiarz, który mi zostawił i inne pomoce, które mieliśmy odtąd do dyspozycji. Początkowo po jurysdykcję zgłosiłem się do biskupa w Rottenburgu i otrzymałem ją bez żadnych zastrzeżeń. Od miejscowego księdza proboszcza otrzymałem piękny kielich mszalny, który jest w moim posiadaniu do dnia dzisiejszego. Kielich, który, jak mi opowiadano, zastał w jakiejś rodzinie esesmańskiej w jego parafii. Ktoś go przywiózł z terenu wschodniego, używany był ten kielich jako popielniczka, a przecież miał wszelkie zewnętrzne cechy pięknego kielicha mszalnego. Namówił ich, żeby mu go oddali, potem go dał na nowo pozłocić i na nowo konsekrować. I ponieważ wiedział, że pochodzi ze wschodu, dał mi go do dyspozycji, żebym go znowu na te tereny w przyszłości zabrał. Mówię o tym, by dać dowód jak życzliwie układała się współpraca z miejscowym księdzem proboszczem. Ale to już odbiega od tematu obozu koncentracyjnego, z którym związały się jeszcze wspomnienia pierwszego wyjścia poza teren obozu. „Blokschreiberzy” mieli swoje możliwości i postaraliśmy się o specjalną przepustkę, żeby pewnego dnia w towarzystwie kolegów wyjść z terenu obozu. Poszliśmy do księdza proboszcza w mieście Dachau. Nie zapomnę chwili, gdy pierwszy raz dostaliśmy kawę w normalnych porcelanowych filiżankach, a człowiek nie bardzo wiedział, jak ma się nimi posłużyć po tylu latach używania tylko metalowego kubka. Byliśmy też świadkami pogrzebu na ulicy miasta. Nie mogę powstrzymać się od przypomnienia jak zareagowaliśmy na ten pogrzeb, gdzie za trumną jednego człowieka szły dziesiątki ludzi, co w nas wzbudziło jakieś uczucie zadziwienia, bo przecież mieliśmy codziennie kilku, czy kilkunastu zmarłych, za którymi nikt nie szedł, a jedynym uczestnikiem ich pogrzebu był szreiber blokowy.

Tak się oczywiście mieszają te wspomnienia samego obozu z tym wszystkim, co się potem zaczęło dziać.

Z Edą Mikołajczakiem, tak jak i z innymi kolegami straciłem dość szybko kontakt, a odzyskaliśmy go dopiero po powrocie znowu do ojczystych stron.

W szkolnictwie katolickim na Górnym Śląsku (1946-1960)

O istnieniu prywatnego gimnazjum katolickiego im. św. Jacka prowadzonego przez diecezję w Katowicach dowiedziałem się poprzez nominację ks. Jerominka kolegi z mojego rocznika na katechetę w tej szkole. Sam w tym samym czasie mianowany wikarym w Hajdukach, po uszy mający zajęć i pracy, nie wiele mogłem poświęcić czasu na interesowanie się tym, co robią koledzy – zbywając sprawę jednym czy drugim pytaniem przy przypadkowych spotkaniach i zadowolając się równie zdawkowymi odpowiedziami, jakie od kolegi otrzymywałem.

Gdy dwa lata później przyszła wojna – szkoła przestała działać, chociaż podpadał plan ks. biskupa Adamskiego, by z tymczasowych pomieszczeń, z których szkoła korzystała przenieść ją z czasem do wspaniałego gmachu przy ul. Wita Stwosza, który w tym czasie stanął już gotowy w stanie surowym. Budził ogólne zdumienie i podziw swoimi rozmiarami, co wskazywało na szerokość planów diecezji związanych ze sprawę wychowania młodzieży.

Dzięki staraniom ówczesnego kanclerza Kurii Diecezjalnej udało się – mimo starań innych formacji – oddać gmach w ręce władz wojska niemieckiego (Wehrmacht), które w porozumieniu z ks. Hilarym Gwoździem poprowadziły dalszy ciąg prac budowlanych.

Wojna skomplikowała życie nie tylko osobiste, ale i pod każdym względem. Po zaaresztowaniu ks. proboszcza Józefa Czempiela w Hajdukach w kwietniu 1940 r. i zesłaniu go do Dachau – już po dwóch latach przyszedł telegram powiadamiający o jego śmierci. Po Mszy św., na którą przyszło bardzo wielu ludzi – uznanej za manifestację dla Polaków – zamknięto księdza wikarego, którego też zesłano do Dachau. Po uwolnieniu z obozu przez Amerykanów i po jednym jeszcze roku pobytu w Göppingen koło Stuttgartu w obozie dla Polaków wraz z nimi w maju 1946 roku wróciłem do diecezji. Tu się dowiedziałem, że katolickie gimnazjum im. św. Jacka działa, prowadzone przez ojców jezuitów ze znanego Chyrowa, który znalazł się poza granicami Polski. Po zakończeniu w skróconym trybie roku 1945 – następny rok został poprowadzony już normalnie od września 1945 r. do sierpnia 1946 r. Rozmowy prowadzone przez diecezję z przetożonymi Zakonu OO. Jezuitów nie doprowadziły do zawarcia umowy i ojcowie jezuiti opuścili prowadzoną przez nich szkołę, którą przejęło kierownictwo świeckie. Obok pana prof. Konrada Pietrka, który jeszcze jako przedwojenny nauczyciel tej szkoły, był jakby pośrednikiem pomiędzy stary

mi a nowymi władzami – dyrektorem został prof. Stanisław Baranowski. Po powrocie do Polski w maju 1946 r. objąłem obowiązki tymczasowego administratora parafii św. Marii Magdaleny w Radlinie (czerwiec – lipiec 1946 r.), a następnie wikariusza w parafii św. Szczepana w Katowicach – Bogucicach (lipiec – wrzesień 1946 r.). Dnia 4 września 1946 r. otrzymałem dekret mianujący mnie katechetą gimnazjum św. Jacka. Po skompletowaniu grona nauczycielskiego oraz klas uczniowskich – praca popłynęła normalnym trybem, tym bardziej, że szkoła otrzymała prawa państwowe. W tym trybie odbyła się też pod koniec roku szkolnego matura w maju 1947 r. Spokojnie przebiegł również następny rok nauki z tym, że mnie wypadło być wychowawcą maturalnej klasy, która wyróżniała się, gdy idzie o skład uczniów, wybitnymi indywidualnościami (jak pokazało późniejsze życie), co sprawiało poniekąd trudności wychowawcze. Egzamin maturalny w maju 1948 r. miał przebieg normalny – szkoła miała na czas prawa państwowe. Trudności rozpoczęły się w latach następnych. Coraz wyraźniej dawała o sobie znać zmiana stanowiska władz komunistycznych wobec szkół prywatnych a zwłaszcza wyznaniowych, szczególnie katolickich.

Poznać to było można najpierw poprzez odwołanie dyrektora szkoły pana Baranowskiego, któremu skończył się bezpłatny urlop ze szkoły państwowej, dzięki czemu mógł u nas pełnić rolę dyrektora. Wobec takiego stanowiska władz postawił pan Baranowski przede mną pytanie pod adresem Kurii Diecezjalnej, czy jeśli on rezygnuje z pracy państwowej Kuria zapewni mu posadę i emeryturę na tych samych warunkach. Na to ks. bp Bieniek odpowiedział, stosownie do panujących warunków, że my sami nie wiemy jak długo Kościół będzie miał taką wolność i warunki materialne istnienia i nikomu takiej gwarancji dać niestety nie możemy. W tej sytuacji pan Baranowski musiał wrócić do pracy państwowej. Ja natomiast otrzymałem dekret pełniący obowiązki dyrektora. Grał w tym na pewno jakąś rolę fakt mojego pobytu w obozie koncentracyjnym w czasie minionej wojny – gdy idzie o stanowisko władz, co jednak nie uchroniło szkoły od innych trudności. Na wniesioną przez Kurię Diecezjalną prośbę o przyznanie szkole praw państwowych nie otrzymaliśmy do końca roku – mimo ponawianych prośb – żadnej odpowiedzi. Przeprowadzona w ciągu roku przez pana Kasztelanowicza wizytacja kazała oczekiwać najgorszego. I tak się stało. W roku 1950 praw państwowych nam odmówiono i egzamin dojrzałości musieli uczniowie maturalnej klasy zdawać jako eksterniści – ze wszystkich przedmiotów i to wobec wyznaczonej przez Kuratorium komisji a więc wobec obcych

profesorów. Ponieważ o fakcie tym tak szkoła jak i uczniowie dowiedzieli się dosłownie w ostatniej chwili, trudno się dziwić atmosferze ogólnego podenerwowania, które bardzo negatywnie wpłynęło na wyniki tego egzaminu. Zdało tę maturę 6 uczniów – nie zdało 16 uczniów. Dodatkowym utrudnieniem w przeprowadzeniu tego egzaminu maturalnego był fakt, że w trakcie jego trwania zmieniono skład profesorów, gdy się przekonano, że któryś z pytających za delikatnie podszedł do zdających egzamin.

Takie potraktowanie szkoły, która dotychczas była tak pozytywnie oceniana i która zdobyła sobie dobrą opinię w społeczeństwie miejscowym i w diecezji, zmusiło ks. bpa Adamskiego do zmiany charakteru szkoły. Nie chcąc narażać młodzieży na tak przykre przeżycia, jak te, które miały miejsce przy maturze w 1950 r. przekształcono gimnazjum w Niższe Seminarium Duchowne im. św. Jacka. Gdy ksiądz biskup tę swoją diecezję przekazał mi zapytałem czego on od tej instytucji oczekuje z perspektywy Wyższego Seminarium, czy to ma być niejako „wstęp” – przygotowywanie tych chłopców do kapłaństwa, bo przyznałem się, że Niższego, lub jak też mówiono Małego Seminarium z własnego przeżycia nie znałem. Na to ks. biskup bardzo spokojnie mi odpowiedział – konkretnie: „Proszę ks. rektora, jeżeli z tych co przyjmiecie do pierwszej klasy po maturze do Wyższego Seminarium zdecyduje się pójść 10% - będę bardzo zadowolony, bo ci pozostali będą wychowani przez was w światopoglądzie katolickim i będą się trzymać w życiu wartości religijnych, jako inteligencja katolicka. A prowadzić może ks. rektor to NSD tak jak to było u was w domu.” Uspokojony co do założeń przyjąłem do wiadomości jeszcze jeden fakt, a mianowicie prowadzenie internatu. Ponieważ zgłoszenia mieliśmy z całej diecezji, a więc też z parafii bardzo odległych, przy szkole był prowadzony internat. Około 100 uczniów mieszkało w NSD., reszta dochodziła czy też dojeżdżała do szkoły. Z tej racji nastąpił podział funkcji – rektorem całości został mianowany ks. Franciszek Jerominek, on był odpowiedzialny niejako za całość, podczas gdy mnie mianowano dyrektorem szkoły – do mnie należała troska o grono nauczycielskie i realizację programu nauczania, gdy idzie o uczniów. Czasowo: ja byłem odpowiedzialny za zajęcia dopołudniowe – ks. rektor za zajęcia popołudniowe i utrzymanie internatu. Podział był bardzo jasny, a jego wykonanie gwarantował fakt, że byliśmy kolegami z jednego roku i można było liczyć na pełną harmonijną zgodę we współpracy. Dla podkreślenia tej różnicy zajęć na pewien krótki czas zamieszkałem w domu przy ul. Kościuszki 60 u rodziców, co jednak nie okazało się praktycznym rozwiązaniem i po pewnym czasie wróciłem na zamieszkanie na terenie szkoły. Sprawa prowadzenia szkoły i życia całej die-

cezi skomplikowały się jednak niebawem poprzez usunięcie księży biskupów z terenu diecezji jako sankcja karna za przeprowadzenie w kościołach referendum, dotyczącego nauki religii. Rządy w diecezji przejął wikariusz kapitulny Filip Bednorz, proboszcz wiejskiej parafii Syryni koło Rybnika, który poszedł na współpracę z władzami komunistycznymi i należał do grupy księży „Caritas” – zwanymi też „patriotami” lub „paxowcami”.

Ks. Filip Bednorz był katechetą w Tarnowskich Górach, był też wychowawcą ks. Jerominka, który w tym gimnazjum zdawał maturę i można powiedzieć, że wykazywał niejaki rozumienie dla istnienia takiej szkoły, jaką było NSD. Do czasu.

Gdy szkoła urządziła akademię imieninową z okazji święta św. Filipa, apostoła, patrona ks. Bednorza, które to święto obchodzone było wtedy 1 Maja – władze państwowe rozumiały to jako akademię pierwszomajową, a o to może też chodziło ks. Bednorzowi. Przemówienie główne wygłosił ks. rektor Jerominek w oparciu o słowa św. Filipa do Chrystusa Pana: „Pokaż nam ojca”. Transponując te słowa w ciągu całego swego przemówienia powtarzał kilkakrotnie ten zwrot – słowami „Filipie, pokaż nam Ojca” – swoim czynem, swoim słowem, swoją postawą wobec Kościoła i w wielu innych przypadkach. Po akademii, w przejściu siedłem razem z ks. Kowalikiem, wtedy wikariuszem generalnym ks. Filipa Bednorza i padło pod moim adresem pytanie: „A czemu on tego Filipa tak sztychoł”? Zrozumiałem, że przemówienie ks. rektora się nie podobało, co znalazło swój wyraz w zwolnieniu ks. Jerominka z jego funkcji pod koniec roku szkolnego i przeniesieniu go na parafię, chyba najmniejszą w diecezji - Kończyce Małe.

Z nowym rokiem szkolnym zostałem rektorem i dyrektorem NSD im. św. Jacka.

W styczniu 1954 r. zmarł ks. Filip Bednorz i rządy w diecezji przejął ks. Jan Piskorz, wikariusz kapitulny. Jeśli obydwaj wypadki wyborów wikariuszy kapitulnych można uznać prawnie za nieważne, to ks. prymas – wykorzystując swoje nadzwyczajne uprawnienia a nie chcąc dodatkowo komplikować sytuacji religijnej w kraju, uznał i tym razem dokonany wybór.

Ks. Piskorz nie zdradzał większego zainteresowania NSD – i chyba nawet na dalszą metę myślał o zaniechaniu jego dalszego prowadzenia, choćby ze względu na koszty, jakie z tej racji poniosła diecezja. Pieniądze potrzebne były przede wszystkim na dalszą budowę katedry Chrystusa Króla, co stanowiło bezwzględny priorytet działań ks. Piskorza. Może dlatego też chętnie się zgodził na przeniesienie mnie z funkcji rektora NSD na stanowisko wicerektora Wyższego Seminarium Duchownego z zadaniem prowadzenia kursu wstępnego

w dotychczasowym konwiktie biskupim w Tarnowskich Górach w roku 1955. Rektorem NSD został ks. Stefan Kwieciński.

Prowadzenie kursu wstępnego w Tarnowskich Górach wynikało z potrzeb Wyższego Seminarium Duchownego, które mieściło się w Krakowie. Stwierdzono, że chłopcy z gimnazjów komunistycznych po prostu nie mają przygotowania do wyższych studiów teologicznych, gdy chodzi o takie sprawy jak literatura katolicka, historia Kościoła, bo o tym w gimnazjach państwowych nie było mowy. Dlatego zaszła konieczność przygotowania ich do studiów teologicznych. Ja na przykład zapoznawałem naszych uczniów z podstawowymi pojęciami tomizmu, bez których słuchacz WSD byłby bezradny. To było przygotowanie do teologicznych studiów na uniwersyteckim poziomie. Chłopcy mieszkali wszyscy razem w Tarnowskich Górach, po 40 – 50 osób. Wtedy łatwo było poznać, że ktoś zupełnie do studiów teologicznych się nie nadaje. Pamiętam nauczyciela wychowania fizycznego, któremu powiedziałem, że może lepiej być dobrym nauczycielem wychowania fizycznego niż złym księdzem – ten wrócił do swojego poprzedniego zawodu.

Po październiku 1956 roku wrócili do diecezji księża biskupi Adamski, Bieniek i Bednorz i dla NSD otworzyła się znowu jaśniejsza karta. Na propozycję ks. bpa Juliusza Bieńka, który bardzo dużą i serdeczną troską otaczał NSD – zostałem przeniesiony z Tarnowskich Gór do Katowic i jako rektor NSD rozpocząłem pracę z dniem 1 września 1957 roku. Nastąpił okres pewnej odwilży zwany „gomułkowskim” i zrodziły się nadzieje na nastanie u nas komunizmu o ludzkiej twarzy. Na pewien czas powróciła nawet nauka religii do szkół. Życie NSD po perturbacjach poprzedniego okresu wróciło do swojego normalnego trybu przez kolejne trzy lata.

Ponieważ zakład nie miał i nie mógł w tym systemie, jako katolicki, otrzymać praw państwowych – na zakończenie nauki studenci ostatniej klasy zdawali wewnętrzny egzamin dojrzałości, tzw. maturę. Jako przewodniczącego komisji egzaminacyjnej zapraszaliśmy prof. Ligacza, wykładowcę Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który swoje zadanie w tym charakterze przez szereg lat spełniał. Większość absolwentów, po zdaniu naszej matury, starało się jeszcze o zdobycie matury państwowej, która była wymagana przez uniwersytety państwowe – ale na ogół nie przedstawiało to dla nich większych trudności ze względu na możliwości, jakie państwo dawało dla świata pracy, poprzez gimnazja wieczorowe, czy korespondencyjne, gdyż dobrze przygotowanym przez NSD wystarczało do matury jeden rok uzupełniający dla jej zdobycia.

W WSD w Krakowie rektorat umożliwił zdanie tej państwowej matury w czasie studiów, a więc np. po pierwszym, czy drugim roku filozofii.

Pod koniec tego okresu – w maju 1960 r. ks. prymas wezwał mnie do Warszawy i obwieścił wolę Ojca Świętego Jana XXIII, że mam zostać biskupem pomocniczym gnieźnieńskim z przeznaczeniem do pracy u boku ks. bpa Wilhelma Pluty w Gorzowie Wielkopolskim. Pamiętam troskę ks. bpa Bieńka wyrażoną słowami: „My tylko dajemy, dajemy...” (mając na myśli dość niedawne odejście z diecezji księży biskupów Pluty i Stroby). Ze szkołą odbyłem jeszcze jako biskup – nominat pielgrzymkę pieszą do Piekar w ostatnią niedzielę maja 1960 r. W czasie mojej konsekracji biskupiej w Gorzowie zjawiała się liczna delegacja uczniów NSD z Katowic. Tak zakończył się mój osobisty kontakt z tą szkołą, którą potem pokierował dalej ks. rektor Bista.

Gdy władze komunistyczne całkowicie bezprawnie zajęły lokale szkolne NSD i oddały je Państwowemu Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika, zagarnęły też wszystkie akta tej szkoły. Podziwiałem zaangażowanie ks. bpa Bieńka, którego powiadomiłem o fakcie zajmowania przez władze naszych lokali. Dyskusja do niczego nie doprowadziła. Obecni byli przy niej funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej – przedstawiono dokumenty urzędowe. Stwierdzenie z naszej strony, że postępowanie jest bezprawne absolutnie nie skutkowało.

W odpowiedzi na zabranie nam lokali szkolnych Kuria Diecezjalna udostępniła szkole lokale zastępcze, w których mogła się nauka odbywać, chociaż w gorszych warunkach. Od samego początku podjęcia pracy w Gimnazjum, a potem w NSD z ogromnym uznaniem myślałem o wspianym planie ks. biskupa St. Adamskiego, gdy idzie o wychowanie młodzieży. Wystarczyło spojrzeć na wielkość gmachu przy ul. Włta Stwosza, by sobie dopowiedzieć resztę. A potem gdy władze komunistyczne krok za krokiem dążyły do zlikwidowania szkoły, diecezja podjęła ogromny wysiłek, by ją utrzymać. Redakcja „Gościa Niedzielnego” dwukrotnie przeznaczała duże sumy pieniężne na odtworzenie biblioteki szkolnej, zabranej przez państwową szkołę. W tych wysiłkach Kurii Diecezjalnej szło o to, by nie zawieść rodziców, którzy w dużej liczbie z uporem zawierzali swoje dzieci właśnie tej szkole, uważając, że najważniejszą sprawą jest ich jak najlepsze wychowanie – a za takie uważali to, jakie daje katolicka szkoła. Było to równocześnie pod adresem szkoły ogromne wyzwanie by tym zadaniom odpowiedzieć.

W pierwszym rządzie zadaniu temu musiało sprostać grono nauczycielskie. Gdy o tym dzisiaj myślę, muszę powiedzieć, że mieliśmy pod tym względem ogromne szczęście.

Po katolicku rzecz wyrażając Opatrzność Boża prowadziła nas jasną i prostą drogą. Negatywnie rzecz ujmując – mimo, że sytuacja była niezwykle trudna, nie przeżyliśmy żadnej tragedii, ani nawet „wpadki”, gdy idzie o uczących. Wiem, że podejmowano wysiłki, by jednego czy drugiego z profesorów namówić czy groźbami skłonić do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa. W jednym wypadku – po przedstawieniu sprawy ks. biskupowi Bieńkowi – nawet na tę współpracę wyraziłem zgodę i jeden z profesorów spotykał się z pracownikami UB po to, by z poleceń jakie otrzymywał dowiadywać się co interesuje władze gdy idzie o szkołę względnie nawet diecezję. Odpowiedzi uzgadnialiśmy razem, a czasem nawet z ks. biskupem. Po kilku bardzo dla nas interesujących spotkaniach – trzeba było jednak tę ryzykowną grę przerwać, gdyż mogła się ona dla „donosiciela” stać wprost niebezpieczną.

Decydować się na to, by uczyć w katolickiej szkole – znaczyło podpaść władzom państwowym. A mimo tego niebezpieczeństwa, przy założeniu, że pensje były może nieco lepsze – choć niewiele, niż w szkołach państwowych – mogliśmy zawsze liczyć na to, że znajdują się dobre siły nauczycielskie, by się w naszej szkole zaangażować. Można nawet powiedzieć, że mieliśmy – przynajmniej niektórych profesorów wprost wybitnych. Do nich zaliczyć trzeba na pewno prof. Sławińskiego, polonistę, dojeżdżającego regularnie z Mysłowic, autora wielu artykułów w „Gościu Niedzielnym”. Koniecznie wspomnieć muszę dr Kokota, ekonomistę, autora książki pt. „Logika Poczdamu”, która została przetłumaczona na język angielski. U nas uczył kolejno języka polskiego, historii oraz bardzo dla nas trudnego ze względów ideologicznych – przedmiotu: Nauka o Polsce Współczesnej. Wybrnął z kłopotu wydając powielany skrypt, w którym po lewej stronie było ujęcie marksistowskie sprawy, a po prawej katolickie. Profesor Pietrek, lingwista, uczył angielskiego i rosyjskiego - ze szkołą był związany od samego początku. Gdy odszedł od nas nauczyciel geografii, starszy wiekiem, może z racji wieku nie porywający swoimi wykładami, gdy zaangażowaliśmy panią Marię Maciejewską, którą znałem z Hajduk jako prezeskę Sodaliczki Mariańskiej Panien – sytuacja zmieniła się radykalnie: geografia zaczęła należeć do najbardziej ulubionych przedmiotów. Sprawiała to nie tylko młodość pani profesor mgr UJ, ale przede wszystkim żywość wykładu, metoda jego prowadzenia i krajoznawcze wycieczki jakie organizowała.

Historii uczył pan Orłowski, bardzo przez uczniów lubiany ze względu na barwność przedstawiania problemów. Nie taką samą sympatią darzone były lekcje łaciny, ale to ze względu na trudność samego

przedmiotu, którego uczyli kolejno pan Lampart i pan Kazimierz Musiał. To samo dotyczyło lekcji języka rosyjskiego.

Osobne miejsce należy się dyrektorowi Baranowskiemu. Poważny, zrównoważony, dobrze znający swój przedmiot i z pedagogicznego punktu widzenia na wysokim poziomie – mimo bardzo trudnych warunków – potrafił przez wiele lat bardzo pomyślnie prowadzić – jakby nie było dużą szkołę, jako instytucję prywatną i katolicką.

Gdy języka francuskiego uczyła pani Elżbieta Szeiberówna, a do lekcji języka rosyjskiego zaangażowana została pani Regina Pietrkowa (żona prof. Konrada) – uśmiechaliśmy się niejednokrotnie, gdy ta ostatnia się skarżyła wobec swojej koleżanki: „Pani to ma dobrze – na lekcje języka francuskiego, to uczniowie lecą bardzo chętnie i chcą się uczyć, a u mnie – to już nie wiem jakich metod stosować, by ich do nauki namówić”. A rzeczywiście wysiłek wkładała ogromny, chcąc przez to – jak mówiła – chociaż w części wynagrodzić szkole, że jej umożliwiła dalsze studia na Uniwersytecie Jagiellońskim i zdobyć stopnia magistra.

Jeden przypadek zasługuje na specjalną uwagę. Idzie o prof. Henryka Skórę, nauczyciela biologii, którego zaangażowano po zakończeniu studiów uniwersyteckich, a który maturę składał w naszym gimnazjum przeszedłszy w nim wszystkie klasy, przygotowujące do matury. Można powiedzieć, że był to dla dyrektora idealny przypadek, bo nie trzeba było żadnego przedstawiania szkoły, jak w każdym innym przypadku angażowania nowego profesora. Z tej perspektywy równie łatwa była sytuacja, gdy angażowani byli księża – których kilku w tej szkole uczyło – ks. Świerczyński, ks. Morys, ks. Tabacki, ks. Sapora...

Bardzo charakterystyczną postacią okazał się też pan Anatol Kaszczuk, o którego przyjęcie do szkoły prosił bp Adamski w czasie gdy nie mieliśmy nauczyciela wychowania fizycznego, czyli gimnastyki.

Chodziło o byłego lotnika, który opromieniony sławą wrócił z Anglii. Funkcję swoją objął i przez dłuższy czas ją spełniał – chyba dobrze – tylko zaczęło się coraz wyraźniej pokazywać, że zainteresowania profesora idą bardziej w kierunku działalności charyzmatycznej – okazał się wspaniałym apostołem modlitwy różańcowej; bez reszty oddanym objawieniom Matki Boskiej z Fatimy. Na chłopcach, którzy chyba po raz pierwszy spotkali się z tak żywym świadectwem religijnym człowieka świeckiego zrobiono to ogromne wrażenie – tyle, że cierpiał na tym nieraz przedmiot, dla którego profesor znalazł się w gronie naszej szkoły, bo skarżyła się czasem młodzież, że więcej różańca odmawiają, niż ćwiczeń fizycznych

uprawiają, co było przez pewien czas skutkiem braku sali gimnastycznej, szczególnie w dni niepoгоды.

Tak trzeba by wspominać każdego z profesorów – i pana prof. Kucza, wspaniałego matematyka i doskonałego pedagoga, a nawet mgr Ostrzołka bardzo cenionego witrażystę, którego zaangażowaliśmy jako grafika na lekcje rysunków, które były w programie pierwszych klas, co zasadniczo m.in. wpłynęło na poprawę charakteru pisma uczniów.

Wybaczą mi inni profesorowie, że nie wszystkich tutaj wspominam, ale za wszystkich Panu Bogu jestem ogromnie wdzięczny, gdyż tylko dzięki doskonałej z nimi współpracy opinia o szkole była bardzo pozytywna.

Szkołę cechowała jakaś szczególnie przyjazna i miła atmosfera, którą uczący się w niej bardzo sobie chwalili i niejednokrotnie podkreślali, jak bardzo różny jest ten klimat w porównaniu ze szkołami państwowymi, w których niejeden z nich też uczył.

Do Zarządu szkoły należały też siostry boromeuszki prowadzące sprawy gospodarcze w internacie, troszczące się o zaopatrzenie i kuchnię. Szczególnym talentem zapisała się s. Azaria Godziek, gdy idzie o zaopatrzenie, które było dziedziną niestychanie trudną za czasów komunistycznych. Kartki żywnościowe, niekończące się kolejki po towar to była ówczesna zhora dla każdego zaopatrzeniowca. Niezwykły spryt i łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, nieprawdopodobnie ułatwiały s. Azarii pracę. Pani Machurowa, a w innym okresie s. Jadwiga prowadziły kancelarię szkoły. Siostra Ludomira, która jako fizyk weszła w skład grona nauczycielskiego zostawiła po sobie bardzo dobrą pamięć. Trudno w tym związku nie wspomnieć pana Kuta, stróża domu, mieszkającego latami w gmachu szkoły i odpowiedzialnego za jego opalanie, co było bardzo ważne, a ze względu na wielkość budynku bardzo skomplikowane.

Uczniów miało gimnazjum św. Jacka bardzo różnych. Zakład w Chyrowie, prowadzony od lat przez ojców jezuitów miał swoją w całej Polsce znaną opinię wspaniałej szkoły, ale równocześnie bardzo charakterystycznej, bo gromadzącej raczej młodzież rodzin inteligencji i z wielkich miast oraz z warstwy ziemiańskiej pochodzącą, też i taką, z którą może rodzice mieli tu i tam poniektóre trudności. Taka szła przez Polskę opinia – nie wchodząc w to czy słuszna i w pełni prawdziwa... Faktem jest, że gdy objąłem funkcję katechety w gimnazjum św. Jacka, po opuszczeniu tej szkoły przez ojców jezuitów opinia ta jakby – przynajmniej w pewnej części – znalazła swoje potwierdzenie. Dla przykładu wspomnę jeszcze raz maturalną klasę z roku 1948, której zostałem wychowawcą, m.in. dlatego, że nikt inny z grona nie

chciał się tego zadania podjąć. Muszę przyznać, że tak inteligentnej klasy z tylu wyróżniającymi się – mimo młodego wieku – osobowościami w swojej praktyce pedagogicznej nie spotkałem. Tylko w tej klasie zdarzyło mi się, że zaproponowano mi pozostanie po lekcjach dla zakończenia dyskusji rozpoczętej na lekcji religii na temat V przykazania – etyka była w programie maturalnej klasy. Lekcję oparłem o artykuł pana Antoniego Gołubiewa w „Tygodniku Powszechnym” pod tytułem „Zarażenie śmiercią”, w którym występował przeciwko sprzedawaniu dzieciom zabawek w formie rewolwerów, czy karabinów. Wychowawczo klasa nie była łatwa i czasem – po spojrzeniu też na skład uczniów w innych klasach stawiał sobie człowiek pytanie – w jakiej mierze, gdy idzie o skład uczniów, odpowiadamy w pełni przymiotnikowi „katolicki”, jaki szkoła miała w swojej nazwie...

Sytuacja zmieniła się diametralnie z chwilą przekształcenia szkoły w NSD. Może zadziałało tu słowo „Seminarium”, które ogólnie wiązało się z zakładem kształcenia księży, przynajmniej w opinii szerszej – i chłopców pragnących w dalszej perspektywie zostać księżmi znajdowaliśmy też przyjmowanych do szkoły. Ogół jednak pociągał przede wszystkim przymiotnik szkoła katolicka w zestawieniu z innymi szkołami, które musiały trzymać się programu marksistowskiego.

Na Śląsku było jednak bardzo wielu ludzi dobrze zdających sobie sprawę z tego czym jest komunizm i jak szkoła z tej perspektywy może zadziałać swoim wychowaniem niszcząco, gdy idzie o świat wartości, jaki dziecko wynosi z domu.

Przecież tak niedawno temu byli pod niszczącym wpływem innego totalitaryzmu. Tu miało swoje źródło szukanie szkoły odpowiadającej ich światopoglądowi. Oczywiście zgłaszano do tej szkoły dlatego, że miała internat, też takich chłopców, z którymi sobie rodzice nie dawali rady, lub dla których, gdy obydwójce pracowali, nie mieli dosyć czasu. Wychowanie w gromadzie miało niejednokrotnie bardzo dobry wpływ, szczególnie, gdy chodziło o jedynaków.

Przez pewien czas, na prośbę Kurii Diecezjalnej z NSD załączone były dwie pierwsze klasy dla sióstr zakonnych, gdyż dla zdobycia dyplomu pielęgniarki musiała siostra mieć tzw. „matą maturę”. Ponieważ chodziło o dwie klasy – maksimum 4 oddziały łatwo je można było podzielić w rozkładzie godzin poszczególnym profesorom. U nich klasy sióstr zyskały sobie bardzo dobrą opinię, nie tylko z racji niezwykle poprawnego zachowania – w przeciwieństwie do klas chłopców – ale i ze względu na godną wszelkiej pochwały pilność w uczeniu się i odrabianiu lekcji. Profesorowie niejednokrotnie wyrażali to słowami: „Tam to ja odpoczywam – pilnie pracując” – lub: „One to mają już lekcje naprzód odrobione, zanim ja je zadam...”. Odpowiednie do tego

były też oceny na świadectwach oraz wyniki egzaminów „małej matury”.

Mówiąc o uczniach nie uniknęliśmy tragicznych wydarzeń jak proces uczniów należących do drużyny harcerskiej, która utworzona była przy naszej szkole, chociaż przynależeli do tej drużyny również uczniowie z innych szkół. Oskarżono ich o przynależność do podziemnej organizacji i wymierzono bardzo surowe kary więzienia młodym – niepełnoletnim chłopcom.

Inny przykry wypadek zdarzył się na wycieczce szkolnej prowadzonej przez historyka prof. Sowę, który pojechał z klasą pociągiem w Pieniny. Po wyjściu z pociągu grupa chłopców zmęczona ogromnym upałem poleciała, zanim opiekun wycieczki mógł coś zrobić, nad Dunajec i rozebrawszy się wpadła do zimnej wody. Jeden z uczniów już z wody nie wyłynął. Serce nie wytrzymało tego kontrastu temperatury. Po otrzymaniu w szkole wiadomości o tragedii mnie przypadło pojechać do Chorzowa, skąd uczeń pochodził i powiadomić o wypadku rodziców. Nigdy w życiu nie chciałbym takiej misji kiedykolwiek spełniać, tak była ona przykra i bolesna.

Osobne miejsce należy się jeszcze lokalom, w których szkoła funkcjonowała. W pierwszych latach mieliśmy do dyspozycji pomieszczenia w części gmachu na rogu ul. Wita Stwosza i ul. Bpa Lesieckiego. Od tej ostatniej ulicy na dolnym parterze była jadalnia i kuchnia, na górnym sala gimnastyczna, na I-szym zaś piętrze kaplica – oraz pomieszczenia mieszkalne internatu. Na poziomie kaplicy oddzielone korytarzem były mieszkania ks. rektora i dyrektora, nad którymi na II piętrze znajdowały się pokoje mieszkalne internatu. Od ul. Wita Stwosza były klasy lekcyjne i gabinety. Korytarze były niezwykle szerokie i bardzo wygodne na dni nie pogody. Podwórze stało do dyspozycji na przerwy między lekcjami. Można powiedzieć, że były to wspaniałe warunki do pedagogicznej pracy, biorąc pod uwagę dość dobre zaopatrzenie gabinetów do nauki fizyki, czy biologii oraz geografii, jak również dobrze zaopatrzoną w lektury szkolne bibliotekę.

Niestety stan ten nie trwał długo. Po odebraniu praw państwowych szkole, władze państwowe doszły do przekonania, że taka szkoła jest w Katowicach niepotrzebna i zaczęły bezprawnie dążyć do jej zlikwidowania.

Podziwiać można było ogromne zaangażowania diecezji oraz jej biskupów, gdyż postawiono do dyspozycji szkoły natychmiast lokale zastępcze, gdy na zarządzenie władz państwowych zostaliśmy pozbawieni lokali od ul. Wita Stwosza. Nie odważono się zabrać lokali mieszkalnych internatu, gdyż byłoby to ze szkodą dla młodzieży dojeżdżającej z terenu diecezji – tak przypuszczaliśmy.

Można powiedzieć, że na to zaangażowanie diecezji w sprawy szkoły, szkoła odpowiadała ze swej strony jak tylko mogła.

Gdy przyjechał z wizytą angielski kardynał Griffin – na publicznym przywitaniu, był to rok 1947, pomiędzy katedrą a gmachem Kurii Diecezjalnym – na wolnym powietrzu – powitał go imieniem wiernych w języku angielskim jeden z uczniów Gimnazjum św. Jacka – a chór szkoły odśpiewał pieśń też w języku angielskim, czego dostoyny gość słuchał z wyraźnym zadowoleniem, czemu dał wyraz w swoich słowach.

Gościem bpa Adamskiego bywał ks. bp Kaczmarek z Kielc i gdy raz wizyta odbywała się z okazji, nie powiem już jakiego, jubileuszu, Gimnazjum urządziło akademię, na której obecni byli obaj księża biskupi.

Angażowaliśmy się też w urządzany na stopniach Kurii Diecezjalnej „Żywy Różaniec” przy tłumnym udziale wiernych – tak jak i w słuchowisku pana Pyzika pt. „Tarminowe Misterium”, obie imprezy organizowane przez sekretariat Sodalicji Mariańskiej w diecezji.

Gdy za rządów ks. wikariusza kapitulnego Piskorza doszło do uroczystego poświęcenia nowo zbudowanej katedry Chrystusa Króla zaangażował nas ks. dr Romuald Rak, jako ceremoniarz do udziału ze słowami: „Jeśli już doszło do tego pod nieobecność księży biskupów i bez zgody – to niechże to będzie jednak liturgicznie przeprowadzone w należyty sposób”. Ceremoniom przewodniczył ks. bp Goliński z Częstochowy, a służbę liturgiczną pełnili klerycy z Krakowa, z Tarnowskich Gór i młodzież NSD św. Jacka.

Przez pewien czas NSD dało też schronienie „Krucjacie Trzeźwości”, gdy ks. Blachnickiemu zabroniono działalności i zapieczętowano barak - wtedy gromadziliśmy przyjeżdżającą młodzież tego wspianego ruchu w naszych lokalach, przygotowani na wszelki wypadek, gdy interwencja władz i nas miała dotknąć, że ten ruch realizujemy, bo mamy go w programie szkoły, jako prywatnej, a więc mającej swój program.

Ten własny program w różnych etapach życia szkoły był różnie realizowany. I tak gdy szkoła istniała jako Prywatne Gimnazjum w okresie karnawału uwzględniona była zabawa, na którą zaproszone były przez samorząd uczniowski uczennice Miejskiego Gimnazjum Żeńskiego, które było przy placu Wolności, oczywiście po uprzednim porozumieniu się dyrekcji obu zakładów. Pomysłowość uczniów zaskoczyła uczestników wielkim korowym napisem „Zodiacus Scholae”, gdzie dyrektor Baranowski był baranem, ks. katecheta jeżem, prof. Lampart – lampartem – a innym „dorobiono” odpowiednie symbole odpowiednio dowcipne.

Uroczyście obchodzony był też dzień św. Mikołaja, w którym popisywały się poszczególne grupy językowe. Ze względu na liczny zwykle udział rodziców, by im dać naoczny dowód postępów uczniów w tej materii. Nie wszystko dla wszystkich było zrozumiałe, ale jak uczeń Jak-sik krzyknął głośno językiem Szekspira, z jednej z jego sztuk „I will roar...” tłumaczenie nie było potrzebne. Potem zjawił się św. Mikołaj według ludowej tradycji z parafii Pierściec. Gdy podniosła się kurtyna wszyscy zobaczyli św. Mikołaja w mitrze biskupiej z tacką, na której były trzy złote kule - wszystko w ogromnych złotych ramach, jako wielki obraz. Gdy zegar wybił godzinę 12 – postać świętego się ożywiła i wyszedł żywy z obrazu i przemówił o królu Midasie, który chciał by mu się wszystko w złoto zamieniło, co stało się dla niego przekleństwem – a św. Mikołaj złoto zamieniał w dobro, które ludziom rozdawał. Świętym Mikołajem był ks. prof. Jerzy Stroba, a kapelanem jego, jak na biskupa przystało, był uczeń Andrzej Brożek, późniejsza wybitna postać naukowa. Pan dyrektor Baranowski pogratulował świętemu tak wspaniałego podejścia dialektycznego w potraktowaniu zadania.

Ale z ramienia diecezji czasem na NSD spadały też zadania apostołskie. Takim była troska o przywrócenie właściwej funkcji zabytkowemu kościołowi drewnianemu św. Michała w Parku Kościuszki. Kościół ten przeniesiony z Syryni, gdzie wybudowano nowy kościół, miał stanowić, wraz z obok stojącą dzwonnica, otoczony drewnianym płotem, początek skansenu ludowego budownictwa minionych czasów. Wojna przerwała wykonanie tych planów, a nowej władzy na kościele nie zależało i dlatego stał opuszczony i zaniedbany, używany przez chuliganów do niegodnych tego miejsca procederów.

I dlatego pewnego dnia ks. bp. Herbert Bednorz polecił mi zając się z chłopcami tym przecież sakralnym obiektem. Pod koniec kwietnia uporządkowaliśmy kościół i jego otoczenie – wywiesiliśmy odpowiednie ogłoszenie – co zostało też zrobione w sąsiednich kościołach parafialnych i z dniem 1 maja rozpoczęliśmy odprawianie nabożeństw majowych w godzinach wieczornych. Odzew ze strony wiernych był nadzwyczajny. W ciągu 2 tygodni zaczęło się zbierać tak wielu ludzi, że kościół ich absolutnie nie mógł pomieścić. Jeździliśmy codziennie z dwoma chłopcami z NSD tramwajem – ja z Najświętszym Sakramentem na piersiach schowanym, oni jako moja obstawa z koniecznymi liturgicznymi utensiliami, gdyż na miejscu niczego nie mogliśmy zostawić, chociaż sprawiliśmy odpowiednie zamknięcia tak w kościele, jak i w dzwonnicy. Po dwóch tygodniach zapowiedzieliśmy odprawienie Mszy św. o godz. 1200 i to też znalazło bardzo żywy oddźwięk wierznych. Wielu wyznaczało sobie przechadzkę w parku na tę godzinę

i spełniało w ramach niedzielnej przechadzki swój katolicki obowiązek. Najwięcej na Mszy św. i na nabożeństwach majowych a potem czerwcowych było matek z małymi dziećmi w wózkach, które zapętniały całe otoczenie kościoła. Został on potem przekazany parafii na Brynowie i do dziś spełnia swoją duszpasterską rolę w doskonałym stopniu.

Inna apostołska misja NSD – to wakacyjne zadania Mszy św. we Wiśle – Czarnem w niedzielę. Szło o teren, na którym mieszkało wielu ludzi w okresie wakacji, a w pobliżu nie było kościoła. Tu zadziałać musiała większa grupa chłopców, którzy zgodzili się na takie apostołskie zadanie i zjawili się w sobotę wieczór we Wiśle na plebani, by wczesną rano w niedzielę wyruszyć na umówione miejsce i tam postawić ołtarz między drzewami, na którym odprawialiśmy Mszę św. Rzeczą ks. proboszcza było powiadomienie wczasowiczów o takiej możliwości spełnienia swojego obowiązku uczestniczenia w niedzielę na Mszy św. Muszę przyznać, że bardzo wielu ludzi z tej możliwości korzystało – chłopcy cieszyli się z takiej przygody – ksiądz ze spełnienia kapłańskiej powinności a ks. proboszcz uspokajał swoje sumienie, gdy idzie o wczasowiczów, którzy do kościoła, ze względu na odległość nie mogliby przyjść.

W Beskidy jeździliśmy z uczniami też w innych celach. Idzie o przerwę półroczną, wtedy można było stosunkowo łatwo zorganizować wyjazd np. na Białą czy Równicę a przede wszystkim do Koniakowa. Tam mieliśmy do dyspozycji „Biały Domek” będący w rękach Sodalicii Mariańskich diecezji katowickiej. Raz dojechaliliśmy nawet do Zakopanego, gdzie przez 10 dni przebywaliśmy w schronisku na Chochołowskiej, jak zwykle z maturzystami.

X X X

Wspomnienia te – oczywiście niekompletne gdy idzie o wydarzenia i fakty – wypada zakończyć ewangelicznym: „*po owocach ich poznacie je*”.

Tyle lat istnienia – jakże zmieniające się warunki pracy szkoły – jak różny skład grona profesorskiego – a cóż mówić o uczuciach, jakże rozmaite zespoły klasowe!?! Gdy idzie o tych ostatnich, pod pewnym względem najważniejszych – w jednym roku zrobiliśmy eksperyment, by mając duży nabór do pierwszej klasy i tworząc trzy oddziały „a”, „b” i „c” w czwartym „d” zebraliśmy wszystkich uczniów powtarzających klasę, bo razem było ich wystarczająco wielu, by stworzyć osobny oddział. Ale nigdy więcej! – powiedzieliśmy sobie w gronie

nauczycielskim, bo w klasie nie było uczniów na tyle zdolnych, by tych słabszych podciągać swoim poziomem. Uczniowie wychowują się też sami między sobą, a nie tylko są wychowywani przez swoich profesorów.

Myślę, że biorąc wszystko pod uwagę – też wszystkie eksperymenty podejmowane – choćby ten, autorstwa ks. bpa Bieńka, by nagrywać lekcje języków na taśmy magnetofonowe, a po południu – np. w internacie w jednej z sal dać je uczniom do dyspozycji, celem powtórzenia lekcji – liczyć trzeba wysiłki podejmowane tak w dziedzinie nauczania jak i katolickiego wychowania i chyba można powiedzieć, że szkoła ta dobrze spełniła swoje zadania i dobrze przysłużyła się diecezji oraz naszej Ojczyźnie.

Gdy wychowankowie tej szkoły, po latach postanowili obchodzić jubileusz chyba 60-lecia jej istnienia ucieszyłem się taką inicjatywą, bo ona świadczyła, że ta szkoła istnieje w ich świadomości, chociaż większość tych, którzy z tą inicjatywą wyszli, to byli panowie ponad 50 lat liczący, a poniektórzy dużo więcej.

I w gmachu WSD, który był kiedyś naszym – zebrało się ponad 300 uczestników, w tym około 30 księży koncelebrujących ze mną Mszę św. Były przemówienia, były wiersze i kwiaty – a ja mówiłem sobie, jakże cieszyć się musi ks. bp Adamski w zaświatach, że tak dokładnie realizowane zostały jego założenia dla tej szkoły postawione. Data tyłu kapłanów – ilu przewidywał mówiąc o 10%. Ale data przede wszystkim ogromne zastępy inteligencji śląskiej – ludzi, którzy mimo nawet przez pewien czas nieludzkich systemów, w których wypadło im żyć – zachowali jako własny – świat katolickich wartości, jaki im dała w młodości latych katolicka szkoła średnia.

Za to Bogu niech będą dzięki.

Jako biskup – emeryt niejednokrotnie reprezentowałem na zewnątrz opinię, że najbardziej genialny biskup nie da rady sprawnie administrować diecezją, jeśli nie dobierze sobie odpowiednich współpracowników. Doświadczenie to zdobyłem poprzez pracę w Gimnazjum oraz w NSD św. Jacka. Dlatego tyle ciepłych słów wypowiedziałem uprzednio pod adresem grona nauczycielskiego tej szkoły. Ale całkiem szczególne słowa uznania trzeba mi skierować jeszcze w stronę tych, których określaliśmy słowem wychowawców. Wprawdzie każdy nauczyciel ucząc jakiegokolwiek przedmiotu jest wychowawcą, ale przecież poniektóre osoby w całkiem szczególny sposób. Tak staje przede mną ks. bp Adamski, z tej perspektywy niezwykły autorytet, który oddawszy tę szkołę pod opiekę ks. bpa Bieńka nie wtrącał się w jej życie – ale wszyscy czuli – co ks. bp Bieniek nieraz

podkreślał, że wszystko co dotyczy szkoły, zależy od bpa ordynariusza, który na terenie szkoły zjawiał się w chwilach najważniejszych. Na codzień opiekę nad nią sprawował ks. bp Bieniek, który zjawiał się w szkole częściej. Inauguracja roku szkolnego, uroczystości urządzone na terenie szkoły, spotkania z rodzicami, dla których odprawiał Msze św. i głosił kazania, może trudne, ale bardzo zasadnicze, spotkania z radą pedagogiczną i częste rozmowy z dyrektorem, czy rektorem, ustawały dość zasadniczo charakter szkoły i nadawały kierunek wychowaniu.

Niezapomnianą dla szkoły postacią pozostanie ks. Franciszek Jerominek, pierwszy po ks. Walerianie Jasińskim jej katecheta, a przez kilka lat rektor NSD.

Dla dyrektora szkoły w tym czasie była to bardzo wygodna sytuacja, móc się na co dzień odwołać do kogoś, kto ma niejako jeszcze wyższy autorytet i z którym można niejedną problem na gorąco rozwiązać. Niestety ta sytuacja nie trwała długo.

Wspaniałą pomocą okazał się ks. Rudolf Zielasko. Wysokiej klasy kapłan i urodzony wychowawca młodzieży, ogromnie poważnie traktujący swoje obowiązki; bardzo dobry kaznodzieja i konferencjonista, niestęchanie gorliwy w spełnianiu posługi w konfesjonale, został w pamięci zarządu szkoły i jej uczniów jako przepiękna postać. Jeśli niektórzy księża przez pewien czas też pełnili funkcje wychowawców – wybaczą mi, że nie wszyscy w moich refleksjach zostaną wspomniani, chociaż należą się im wszelkie słowa uznania. Ale absolutnie nie mogę pominąć postaci ks. Longina Kozuba, który swoją pogodą i łatwością nawiązywania kontaktów, szczególnie z młodzieżą, zapisał się bardzo jasnymi kartami w historii szkoły i w życiu jej internatu. Tytuł „Ojca Duchownego” należał mu się ze wszech miar i to tak ze strony zarządu szkoły jak i uczniów.

Ze świeckich profesorów pomagali nam w dyżurach w internacie zwłaszcza ci, którzy mieszkali w Katowicach, jak np. prof. Nowak, polonista – któremu za tę pomoc byliśmy ogromnie wdzięczni, gdyż to pomagało nam księżom podejmować zadania duszpasterskie.

Jako wychowawca w pełnym tego słowa znaczeniu zaangażowany został przez pewien czas pan Stanisław Bartoszek. Może nieraz trochę nieśmiały, może czasem za mało zdecydowanie wkraczający w powstałe sytuacje – w całości swoje zadanie wychowawcy, bez szczególnego fachowego przygotowania w tym kierunku, spełnił wspaniale. Można było na nim bez reszty polegać i o tym wiedział i zarząd szkoły i uczniowie.

Quod felix, faustum, fortunatumque sit! – żeby Rzymianom oddać ostatnie słowo.

Posługa w administracji apostołskiej gorzowskiej (1960-1972)

Przełom polityczny 1956 r. przyniósł koniec stalinizmu w Polsce i powiew wolności. Zakończył się także najbardziej dramatyczny okres w powojennych dziejach Kościoła. Ks. prymas Stefan Wyszyński został zwolniony z internowania. Na ziemiach zachodnich i północnych odwołano, osadzonych poprzednio przez władze, wikariuszy kapitulnych, którym prymas S. Wyszyński nadał status wikariuszy generalnych – nie chcąc doprowadzić do rozłamu w Kościele. Od 1958 r. stosunki państwo – Kościół ulegały stopniowemu pogorszeniu, ale już nigdy nie przybrały tak drastycznego charakteru jak w latach 1953-1956. Utrudniając misję Kościoła na ziemiach zachodnich i północnych władze faktycznie osłabiały jego narodową funkcję integracyjną w tworzącym się na nowo społeczeństwie.

Dnia 20 IV 1960 r. ks. Ignacy Jeż wyniesiony został przez papieża Jana XXIII do godności biskupa tytularnego Albae Maritimae i ustanowiony sufraganiem gnieźnieńskim z oddelegowaniem do posługi u boku biskupa Wilhelma Pluty w administraturze apostołskiej gorzowskiej. O nominacji powiadomił go prymas Stefan Wyszyński.

Bp Ignacy Jeż wspomina: „Pierwszy raz twarzą w twarz – w cztery oczy – spotkałem się z ks. prymasem 13 maja 1960 r. Wezwał mnie telefonicznie, nie podając o co idzie. Sądziłem, że może chodzić tylko o sprawę Niższego Seminarium Duchownego, którego wtedy byłem rektorem, więc zabrałem akta i pojechałem na ul. Miodową. [...] Po pewnym czasie poprosił mnie ks. prymas do swojego gabinetu i zapytał: „A jak ks. rektor myśli – w jakiej sprawie ja księdza tu wezwałem?” Nie miałem żadnych wątpliwości i odpowiedziałem, że na pewno chodzi o nasze Seminarium, znowu przez władze państwowe zagrożone – otwieram akta i przedstawiam sprawę. [...] Gdy mi tchu zabrakło, ks. prymas niespodziewanie: „A ja w zupełnie innej sprawie” – i podaje mi kartkę z powiadomieniem, że Ojciec Święty Jan XXIII postanowił mianować mnie biskupem, a ja mam na to wyrazić swą zgodę. Poczujęm się jak obuchem uderzony w głowę i przeczytałem kartkę raz i drugi. Zdziwiony, przeczytawszy, że mam iść jako biskup pomocniczy do Gorzowa, odważyłem się jednak zauważyć, że tam już jest dwóch biskupów z Katowic – jak przyjdzie jeszcze trzeci, to

księża mogą się zbuntować. Ks. prymas spokojnie na to: „A może Ojcu Świętemu zależy na tym, żeby przynajmniej między wami była zawsze zgoda i porozumienie?” Gdy i na następną moją osobistą wątpliwość ks. prymas zaraz odpowiedział – zamilkłem, a ks. prymas pyta: „Czy to milczenie mam uważać za wyrażenie zgody?” – nie zostało mi nic innego, jak odpowiedzieć „Tak”.¹

Jeszcze tego samego dnia biskup – nominat stawił się w Gorzowie Wielkopolskim. Jego sakra odbyła się w gorzowskiej katedrze pw. Wniebowzięcia NMP dnia 5 VI 1960 r., a dopełnił jej kardynał Stefan Wyszyński wspólnie z biskupami Bolesławem Kominkiem i Wilhelmem Plutą. Władze wyraziły zgodę na uroczystą procesję i wystawienie bramy powitalnej w centrum Gorzowa. Odmówiły natomiast prawa do celebracji Mszy św. poza murami katedry. 9 VI 1960 r. Ignacy Jeż ustanowiony został wikariuszem generalnym. Posługę w administracji gorzowskiej pełnił przez dwanaście lat, przy czym z dniem 16 IX 1967 r. otrzymał nominację na sufragana gorzowskiego (dotąd był formalnie gnieźnieńskim). Od 1964 r. sprawował obowiązki Ogólnopolskiego (Krajowego) Duszpasterza Młodzieży Męskiej.²

Ignacy Jeż został przyjęty przez biskupa ordynariusza Wilhelma Plutę – jak zapewnia – z ojcowską życzliwością. W gorzowskiej Kurii powierzono mu sprawy siostr zakonnych, sprawy księży wikariuszy miał drugi bp sufragana Jerzy Stroba, a proboszczów – ordynariusz. Decyzje podejmowano wspólnie. W dziedzinie duszpasterstwa odpowiedzialny był bp W. Pluta, katechizacją zajmował się bp J. Stroba. I. Jeż nadzorował duszpasterstwo w zastępstwie ordynariusza. Podlegały mu także inne dziedziny, m.in. sprawy sakramentalne małżeństw. Biskupom sufraganom podporządkowani byli referenci.

Podział obowiązków między biskupami, określający także zakres drażliwych spraw załatwianych z władzami, rzutował na postrzeganie hierarchów. W opinii władz, już w pierwszych miesiącach swego pobytu w Gorzowie, I. Jeż został określony jako „spokojny i rzeczowy”.

¹ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia o ks. kardynale S. Wyszyńskim, Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

² K.R. Prokop, Biskupi zachodniopomorscy (X – XX w.). Koszalin 2003, s. 263; K.R. Prokop, Biskupi Kościoła katolickiego w III Rzeczypospolitej. Leksykon biograficzny. Kraków 1998, s. 61; P. Nitecki, Biskupi Kościoła w Polsce. Słownik biograficzny. Warszawa 1992, s. 95; T. Dzwonkowski, Polityka lokalna władz PRL wobec Ordynariatu Gorzowskiego w latach 1951 – 1972 (na przykładzie postaw wobec ordynariuszy). W: Stefan Wyszyński wobec Ziemi Zachodnich i Północnych oraz stosunków polsko – niemieckich. W 100 – lecie urodzin Prymasa Tysiąclecia. Red. nauk. T. Dzwonkowski i Cz. Osękowski. Warszawa – Poznań – Zielona Góra 2001, s. 137.

Natomiast ordynariusza W. Plutę uważano za „impulsywnego”, a bpa J. Strobę za „wroga” księży „postępowych”, a więc i władz.³

Administracja gorzowska stanowiła obszarowo 1/7 część Polski. Warunki pracy duszpasterskiej były bardzo trudne. Wierni w większości, poza proporcjonalnie niewielkimi autochtonami, stanowili nową, napływową i nie zintegrowaną jeszcze społeczność. Przynieśli ze sobą dramatyczne doświadczenia wojenne i różnorodność kulturową, przekładającą się także na sposób pojmowania religijności. Kościół musiał pełnić swą misję we wrogim otoczeniu ustrojowym.

„Wyjeżdżaliśmy na wizytacje, które wobec tak dużego terenu, trudnych warunków przejazdu i słabych aut, jakie mieliśmy do dyspozycji, były bardzo dużym utrudnieniem. Jeśli raz pojechałem na wizytację do Człuchowa, to trudno było wrócić po wizytacji jednej parafii. Więc potem wizytowano małe parafie wiejskie, by zakończyć wyjazd wizytacją znowu parafii miejskiej w sobotę i niedzielę. Po ponad tygodniowym pobycie wracaliśmy do Gorzowa” – relacjonuje I. Jeż.⁴

Bp W. Pluta miał opinię wspaniałego duszpasterza. Z terenu diecezji katowickiej przeniósł praktykę konferencji rejonowych dla księży jako sposobu przekazywania najbardziej istotnych wiadomości. Jednocześnie była to działalność formacyjna, gdyż każda konferencja rozpoczynała się nauką ascetyczną jednego z księży biskupów, potem był zwykle wykład biskupa ordynariusza i wiadomości poszczególnych wydziałów Kurii. Księża bardzo chętnie przyjeżdżali na te konferencje, bo była to okazja nie tylko kontaktu osobistego i załatwienia spraw z biskupami, ale również okazja do spotkania się z kolegami całego rejonu.⁵

Bp I. Jeż wspomina: „Wyjeżdżaliśmy w poniedziałek i odbywała się pierwsza konferencja w Szczecinie. Trwała do godz. 14-15. Po posiłku jechaliśmy zwykle do Słupska, gdzie przy kościele pw. św. Jacka była plebania kościoła mariackiego. Tam nocowaliśmy, żeby następnego dnia, we wtorek, odbyć konferencję dla księży rejonu słupskiego właśnie w kościele św. Jacka. I znowu po południu jechało się do Piły, gdzie w kościele ojców Kapucynów mogliśmy w klasztorze przenocować i następnego dnia odbyć u nich konferencję rejonową. Po południu wracaliśmy do Gorzowa, by po odpoczynku nocnym, nad ranem, pojechać do Zielonej Góry. Tam przy kościele pw. św. Jadwigi, najpierw w sali, potem w kościele, odbywała się konferencja dla

³ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej); T. Dzwonkowski, Polityka lokalna władz ..., s. 137.

⁴ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

⁵ Tamże.

księży tego południowego rejonu. Po południu wracaliśmy do Gorzowa, żeby następnego dnia odbyć konferencję w samym Gorzowie, w kościele ojców Kapucynów. Konferencje były wspaniałym środkiem kontaktu biskupów z kapłanami, podobne spotkania organizowano z siostrami zakonnymi. Forma była bardzo dobra ze względu na warunki w jakich pracowaliśmy, bo władze nie ułatwiały nam życia. Trzeba było niektóre rzeczy bardzo dokładnie przekazywać, gdy idzie o sytuację prawną, np. jak się bronić wobec zarzutów." ⁶

Walkę z Kościołem w latach sześćdziesiątych prowadzono metodami „wypróbowanymi” już w okresie poprzednim. Angażowały się w nią bezpośrednio organy bezpieczeństwa. „Były to czasy trudne. Jednak księży, którzy by poszli na jakąś współpracę w sensie „księży patriotów”, było bardzo mało. Organy bezpieczeństwa wyszukiwały słabe strony niektórych, jakieś sprawy z czasów wojny i wtedy ich na ogół szantażowano. Pod wpływem tego szantażu oni godzili się na jakąś formę współpracy. Były przypadki, że organy bezpieczeństwa namawiały księży do współpracy a ci się nie godzili, to potem byli prześladowani w swoisty sposób w parafiach.” – wspomina I. Jeż. ⁷

Obowiązująca w PRL ideologiczna teza zakładała, że Kościół w systemie komunistycznym ma obumierać. Dlatego władze wyraźnie występowały przeciwko temu, co stanowiło o jego rozwoju.

Bp I. Jeż tak charakteryzuje ówczesną sytuację: „Pomocą dla nas był pan mecenas Jesse z Poznania, do którego jeździliśmy czasem w sytuacjach bardzo skomplikowanych i trudnych, ewentualnie on przyjeżdżał do Gorzowa i przygotowywał nam pisma. Szczególnie chodziło o protesty wobec „zgłaszanych zastrzeżeń” przeciwko mianowaniu księży proboszczów, sprawy tworzenia nowych parafii, „zgłaszanie zastrzeżeń” przeciwko budowie nowych kościołów. Gdy w 1960 r. przyszedłem do diecezji, przystąpiono do likwidacji Niższego Seminarium Duchownego. Jeździliśmy razem z ks. bpm J. Strobą do bpa Zygmunta Choromańskiego – sekretarza Episkopatu Polski. Protestowaliśmy przeciwko aktom bezprawia, ale niestety nie na wiele się to zdało, bo władze, pewne własnej siły przeprowadziły swoje mimo naszych protestów. Tutaj bardzo ważną rolę odegrał ks. prałat Władysław Sygnatowicz, który razem z mecenasem Jesse pisał pisma przeciwko „zgłaszającym zastrzeżeniom” i kontaktował się bezpośrednio z władzami.” ⁸

⁶ Tamże.

⁷ Relacja bpa I. Jeża z dnia 16 IV 2004 r.

⁸ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

Stałym obszarem konfliktów z władzami była kwestia użytkowania kościołów i plebanii. Władze nałożyły obowiązek prowadzenia ksiąg inwentarzowych i płacenia czynszów. Episkopat Polski uchwalił, że księżom ksiąg inwentarzowych, dostępnych dla władz świeckich, prowadzić nie wolno, bo byłoby to ujawnienie całego majątku Kościoła. Czynszów za kościoły i plebanie biskupi też nie pozwalali płacić argumentując, że za wschodnią granicą pozostały świetnie wyposażone świątynie i budynki będące własnością Kościoła. Ponieważ władze obiecywały, że za to co się tam zostawi, otrzyma się nowe na Zachodzie, a obietnica ta nie została dotrzymana – było to pretekstem, aby zmobilizować księży, by opłat nie uiszczali. Księża się do tego dostosowali, chyba że pieniądze ściągano pod przymusem.⁹

„Pamiętam opowiadanie ks. infułata Józefa Jarnickiego o tym, jak w poniedziałek jechał do Gorzowa, by tacę z pierwszej niedzieli zawieźć do Kurii. Po drodze przejęto go do komisariatu i po szczegółowej osobistej rewizji te pieniądze mu zabrano jako czynsz za kościół. Trudno było protestować, bo takich aktów bezprawia było więcej” – przekazuje I. Jeż.¹⁰

Przy ściąganiu należności czynszowych od księży dochodziło do sytuacji humorystycznych. Do jednej z parafii przyjechał komornik i na rzecz tych należności zajął „Ostatnią wieczerzę”, na jej ramie nakleił znaczek zajęcia. Duchowny obraz wyjął z ramy i ukrył. Gdy za dwa tygodnie przyjechano po obraz, już go nie było. Wisiała tylko rama z nienaruszonym „orzełkiem”. Na pytanie komornika: „A ci gdzie” proboszcz odpowiedział: „Zjedli i poszli”.

W parafii Czaplinek proboszcz i dziekan został postawiony przed sądem pod zarzutem, że zajmuje własność poniemiecką stanowiącą obecnie własność państwa i nie płaci czynszu. W swojej obronie przedstawił dokument, że to król polski Władysław IV plebanowi na Czaplunku nadał te włości. Oskarżony stwierdził: „Jeśli to ma być własność poniemiecka, to znaczy, że państwo polskie uznaje zabory za legalny akt.” Rozprawę przerwano i już jej nie wznowiono.

Konflikt o świątynie i plebanie trwał długo i w świadomości lokalnego społeczeństwa utrwał przesądzenie o kruchości polskiego stanu posiadania na ziemiach zachodnich i północnych.¹¹

⁹ Relacja bpa I. Jeża z dnia 16 IV 2004 r.

¹⁰ Tamże.

¹¹ I. Jeż, Kościół katolicki na ziemiach diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej w latach 1945 –72 – refleksje. W: Trzydzieści w Tysiącu. Z dziejów Kościoła katolickiego na Pomorzu Zachodnim. Pod. Red. L. Laskowskiego. Koszalin 2002, s. 73.

Zmiany polityczne w Polsce w 1970 r. wpłynęły na uregulowanie najbardziej zapalnych spraw w kwestiach majątkowych. 23 VI 1971 r. Sejm uchwalił ustawę o przejęciu przez osoby prawne Kościoła rzymskokatolickiego i inne związki wyznaniowe użytkowanych dotąd nieruchomości na ziemiach zachodnich i północnych oraz obiektów związkom wyznaniowym koniecznych tam potrzebnych. Ustawą tą zlikwidowano jedno z najbardziej szkodliwych i krzywdzących posunięć godzących w Kościół w minionych latach. Na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z 17 VII 1971 r. umorzono Kościołowi zaległe ogromne należności z tytułu bezprawnie narzuconego czynszu za korzystanie z obiektów sakralnych i innych budynków. W 1972 r. minister finansów zniósł obowiązek prowadzenia przez instytucje kościelne ksiąg przychodów i rozchodów oraz szczegółowych ksiąg inwentarzowych. Umorzono Kościołowi także zaległe należności podatkowe, których nie był w stanie spłacić. Decyzjami rządu PRL z 1973 r. przekazano na własność Kościołowi katolickiemu i innym związkom wyznaniowym obiekty użytkowane przez nie tylko częściowo.¹²

I. Jeż wspomina: „Ta walka, wymagająca olbrzymiego poświęcenia ze strony księży, została ostatecznie wygrana nową ustawą o prawie własności. Inna rzecz, że długotrwały konflikt ocalił nas przed zarzutami Kościoła ewangelickiego, że przejęliśmy obiekty będące jego własnością. To nie myśmy je zagarnęli, lecz jako własność państwowa, zdobycz wojenna, zostały nam dopiero w latach siedemdziesiątych przekazane ustawą państwa polskiego. [...] To co było w naszych rękach stało się naszą własnością. Notariusze i potem sądy wpisywały w księgach wieczystych parafie jako właściciela. Pilnowaliśmy, aby wszyscy księża zdobyli dokumenty prawa własności.”¹³

Mimo trudnych warunków działania misja lokalnego Kościoła spotykała się w latach sześćdziesiątych z olbrzymim wsparciem i życzliwością społeczeństwa. Bp I. Jeż tak charakteryzuje swoje kontakty ze świeckimi na ogromnym terenie administracji gorzowskiej: „Pierwsze spotkania z ludźmi w latach sześćdziesiątych były przyjemne i radosne. Niektórzy ludzie widzieli pierwszy raz biskupa. Większość z nich były to osoby ze Wschodu, gdzie tego rodzaju spotkania były bardzo rzadkie. Dlatego te pierwsze wizytacje były niesłychanie uroczyste. Bramy triumfalne, delegacje, które nas witały, wystrój kościołów – to wiązało się z wyrazami czci i hołdu oddawanego biskupowi. Były i sytuacje komiczne, jednak zdecydowanie dominowały spostrzeżenia pozytyw-

¹² L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzaska w latach 1972 – 2002. Koszalin 2002, s.9.

¹³ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

ne. Wizytacje dały także obraz ogromnego wkładu wiernych w remonty i odbudowę kościołów. [...] Zanim się zaczął Sobór Watykański II wielkim przeżyciem była peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej po obszarze administracji gorzowskiej. Niejednokrotnie przekonywaliśmy się jak nasze słowa zapadały ludziom w serca i pamięć. Chcieliśmy pogłębić to spotkanie ludzi z Matką Najświętszą, bo tak to przeżywali, tak ją witali w obrazie. Czuwania nocne potwierdzały jak bardzo głębokie są to przeżycia – ludzi utrudzonych, mających straszne przeżycia minionej przeszłości, dla których wyjazd do Częstochowy był nieraz w ogóle niemożliwy. Patrzyliśmy, jak nie potrafili powstrzymać wzruszenia i łez. Mówili nam księża o niezwykłych spowiedziach. Misje, które poprzedziły przyjazd obrazu były zjawiskiem nie do porównania z innymi wydarzeniami." ¹⁴

Pontyfikat Jana XXIII okazał się dla Kościoła przełomem. Na dzień 11 X 1962 r. został zwołany Sobór Watykański II rozpoczynając czas zmian. Biskupi gorzowscy wystąpili o wydanie paszportów na wyjazd za granicę. Władze postanowiły wykorzystać tę sytuację do rozbiccia jedności hierarchów.

I. Jeź wspomina: „Czekaliśmy na paszporty. Rozpoczęła się można powiedzieć komedia, a dla nas właściwie tragedia. Jedni paszporty dostali od razu. Innym ich nie dano. Dlatego Konferencja Plenarna Episkopatu Polski podjęta uchwałę, że jeśli biskup ordynariusz paszportu nie dostanie, to sufragan wyjechać nie może, bo nie będzie władza komunistyczna decydować, kto pojedzie a kto nie pojedzie na Sobór. Ta słuszna uchwała trafiła mnie w szczególny sposób, bo jako byłemu więźniowi obozu koncentracyjnego dawano mi paszport na każdą sesję Soboru. Natomiast na pierwszą sesję nie otrzymałem paszportu ks. bp ordynariusz Wilhelm Pluta i drugi sufragan ks. bp Jerzy Stroba, dlatego i ja też nie mogłem wyjechać. Ale ponieważ zabiegi poszły dalej, to ostatecznie bp W. Pluta dostał paszport, ale dopiero w listopadzie, już po rozpoczęciu Soboru." ¹⁵

Władze chcąc uniknąć posądzenia o jawne występowanie przeciw biskupom wyraziły zgodę na wyjazd zarówno bpa W. Pluty jak i I. Jeża. W celach propagandowych zorganizowano nawet dnia 7 XI 1962 r. uroczystość wręczenia paszportów. ¹⁶

Biskupi W. Pluta i I. Jeź wzięli udział w pierwszej sesji Soboru z opóźnieniem. Na drugą sesję W. Pluta paszportu nie otrzymał, więc

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ T. Dzwonkowski, Polityka lokalna władz ..., s. 137.

także I. Jeź nie wyjechał. Bp J. Stroba nie otrzymał paszportu na pierwszą, drugą i trzecią sesję Soboru. Wprawdzie na trzecią sesję W. Pluta paszport dostał, ale I. Jeź, solidaryzując się z dyskryminowanym przez władze J. Strobą, z możliwości wyjazdu nie skorzystał. Na czwartą sesję soborową bp. W. Pluta znowu paszportu nie dostał. Wówczas, w wyniku interwencji prymasa S. Wyszyńskiego, paszporty otrzymali trzej polscy biskupi, którzy dotąd nie brali udziału w żadnej z sesji Soboru – Jerzy Stroba, Jerzy Modzelewski, Jerzy Ablewicz. W. Pluta i I. Jeź pozostali w tym czasie na terenie administracji gorzowskiej.¹⁷ Lista polskich ojców Soboru Watykańskiego II. objęta w sumie 66 osób.¹⁸

Pobyt na pierwszej sesji Soboru wywarł na biskupie Ignacym Jeżu silne wrażenie: „Dopiero w Rzymie otwarty nam się oczy na klimat i atmosferę jakie tam panowały, co wyrażało się w rzucanych wtedy hasłach - Jan XXIII chciał „przewietrzyć” Kościół, dostosować go do czasów, które nastąpiły po wojnie. Najbardziej spektakularnymi dziedzinami, które domagały się tych zmian były ekumenizm i liturgia. Nazwanie przez Jana XXIII tych, których dotychczas określano słowami „heretyk” i „schizmatyk” - „braćmi odłączonymi” było zmianą rewolucyjną.¹⁹

Bp I. Jeź relacjonuje: „Przyjechaliśmy w sam raz na uroczystość św. Stanisława Kostki, kiedy to nieoczekiwanie papież Jan XXIII postanowił też przyjechać na Awentyn, żeby być w kościele pw. św. Andrzeja na modlitwie z biskupami polskimi. Był to szczególnie akt podkreślający solidarność z nami i łączność z Episkopatem Polski, a w szczególności spośród z kard. Stefanem Wyszyńskim.

Przeżycie obecności na Soborze było nadzwyczajne. Widziało się cały Kościół – to prezydium, które stanowili najwybitniejsi kardynałowie, ale też i nasz Episkopat, który zaznaczył się w wystąpieniach. Bp Franciszek Jop zabierał głos w sprawie liturgii, bo ona była pierwszy dokumentem, który doprowadzono do końca. Był najmocniej dyskutowany i wprowadzał najwięcej zmian w Kościele. Debaty były żywe, niektóre bardzo kontrowersyjne. Potworzyły się obozy i partie – tak to relacjonowali dziennikarze, chociaż nie było to tak wyraźnie widoczne w auli soborowej.

¹⁷ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej); T. Dzwonkowski, Polityka lokalna władz ..., s. 138; B. Bejze, Kronika Soboru Watykańskiego II. Częstochowa 2000, s. 94-97.

¹⁸ B. Bejze, Kronika Soboru ..., s. 94-97.

¹⁹ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienie z Soboru Watykańskiego II.

Udział w obradach Soboru był dla nas sprawą niestychanie ważną, ale jednocześnie dość trudną, bo przedłożenia trzeba było zgłaszać w języku łacińskim. Nie wszyscy mogli tym językiem tak samo operować. Korzystaliśmy z pomocy ks. Gawrońskiego i studentów. Spotykaliśmy się na konferencjach i tam ustalaliśmy, kto wystąpi na sesji ze swoją propozycją."²⁰

Bp Ignacy Jeż przesłał do sekretariatu Soboru przygotowane na piśmie propozycje dotyczące niższych seminariów duchownych. Proponował, by nie były to szkoły przygotowujące wyłącznie do wstąpienia do wyższego seminarium duchownego, ale szkoły katolickie ze szczególnym akcentem na kapłaństwo, po których skończeniu chłopcy dopiero podejmowaliby decyzję o swojej dalszej drodze życiowej.²¹

W czasie pobytu I. Jeża na pierwszej sesji Soboru biskupi polscy podpisali i złożyli, przygotowany przez bpa Antoniego Pawłowskiego, wniosek o przyznanie Najświętszej Maryi Pannie tytułu Matki Kościoła. Obrady na temat 8. rozdziału głównego dokumentu soborowego zadecydowały, że tytuł ten uznano za całkowicie uzasadniony – ogłoszono to w ostatnim dniu Soboru, 8 XII 1965 r.²²

W czasie pierwszej sesji doszło także do incydentu ze sfery stosunków polsko – niemieckich. Pracujący w soborowym biurze prasowym ks. prałat Szczepan Wesoty, rzecznik Episkopatu Polski, zanotował słowa Jana XXIII o Wrocławiu, który wrócił do Polski. Kamieniem obrazu dla strony niemieckiej stał się fakt, że słowa te podano na oficjalnym druku biura prasowego Soboru.²³

I. Jeż starał się co tydzień przysyłać relacje z soborowych wydarzeń pozostającemu w kraju Jerzemu Strobie. „Braliśmy udział w uroczystym zakończeniu pierwszej sesji, we wspaniałym koncercie w bazylice pw. św. Pawła za Murami, gdzie wykonano IX Symfonię Beethovena, potem otrzymaliśmy ją także w formie płyty gramofonowej.” – wspomina.²⁴

Z chwilą zakończenia sesji soborowej, dzięki wsparciu finansowemu biskupów amerykańskich polskiego pochodzenia, bp. W. Pluta i I. Jeż udali się w podróż po Sycylii i do Francji, korzystając z możliwości pierwszego po wojnie wyjazdu za granicę. W styczniu 1963 r. powrócili do kraju i administracji gorzowskiej, gdzie w para-

²⁰ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

²¹ Tamże.

²² Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.; Zbiory Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

²³ Tamże.

²⁴ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

fiach, na konferencjach rejonowych i kolędach dekanalnych przedstawili relacje z Soboru.²⁵

Po zakończeniu Soboru Watykańskiego II nadszedł czas na wprowadzenie w życie jego uchwał. W realiach ziem zachodnich i północnych miało to swoje znaczenie. I. Jeż opisuje: „Ludzie, którzy przyszli na nasze tereny ze wschodu, zza Buga, czuli się tutaj zagubieni wobec sytuacji politycznej. Nie dano im ziemi na własność – stworzono PGR-y. To wszystko było dla nich bardzo obce. Bliski im pozostał tylko Kościół. Dlatego zmiany soborowe i dalsze zbliżenie Kościoła do ludzi, m.in. poprzez zmiany w liturgii i zastąpienie łaciny językiem polskim, wpływało na ich integrację. Czuli się coraz bardziej u siebie. Był to oczywiście proces bardzo długi. Wprowadzanie zmian soborowych niekiedy natrafiało na opór samych księży.”²⁶

Termin zakończenia Soboru Watykańskiego II (grudzień 1965 r.) zbiegał się z planowanymi uroczystościami milenijnymi chrztu Polski w 1966 r. Z soborowego „ducha braterstwa” zrodziła się wśród biskupów polskich myśl zaproszenia wszystkich Konferencji Episkopatów na te uroczystości. Przed zakończeniem Soboru wystosowano 56 zaproszeń do biskupów całego świata. Treść zaproszeń była podobna. Specyficzny charakter, ze względu na kontekst historyczny, miał list skierowany do Episkopatu Niemiec, który przybrał tytuł: „Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim”. Spośród biskupów gorzowskich współautorem orędzia stał się sufragan Jerzy Stroba.²⁷

Z perspektywy lat, w referacie wygłoszonym już na sesji w Sejmie III Rzeczypospolitej, bp Ignacy Jeż tak scharakteryzował intencje autorów, wydźwięk listu i brutalną reakcję władz PRL: „Orędzie to w długim historycznym wywodzie miało posłużyć jako historyczny, a równocześnie też bardzo aktualny komentarz do Millennium i – jak piszą dosłownie polscy biskupi – „przy pomocy Bożej zbliżyć może jeszcze bardziej do siebie oba narody we wzajemnym dialogu”.

Milenijny komentarz, w którym nie pominięto drażliwych problemów polsko – niemieckich i także pozytywnych kontaktów między obydwojema narodami, zakończony został słowami: „W tym ogół-

²⁵ Tamże.

²⁶ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

²⁷ T. Dzwonkowski, *Polityka lokalna władz ...*, s. 139; Zbiory bpa Ignacego Jeża: Referat I. Jeża „List biskupów polskich do biskupów niemieckich – przestaniem dla Europy jutra” wygłoszony dnia 10. 05. 2001 r. na sesji „Kardynał Stefan Wyszyński – Prymas Tysiąclecia – Maż Stanu” w Sejmie RP, Wspomnienia (zapis na taśmie magnetofonowej).

nochrześcijańskim, a zarazem bardzo humanitarnym duchu – wyciągamy do was dłonie z ław kończącego się Soboru – udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie."

To „Orędzie” biskupi niemieccy przyjęli ze wzruszeniem i radością, jak to napisali w swoim z kolei liście, któremu dali tytuł „Pozdrowienie biskupów niemieckich do polskich braci w biskupim posłannictwie”. W komunikacie polskiego Episkopatu list ten uznany został za pozytywną odpowiedź, „ponieważ utrzymany jest w takim samym duchu pokoju ewangelicznego i ekumenizmu soborowego, w jakim pisane było „Orędzie” biskupów polskich.” [...]

Reakcja władz była histeryczna. Z długiego poważnego wywodu, tłumaczącego jak kształtowały się wzajemnie stosunki polsko – niemieckie na przestrzeni wieków, wyrwano tylko jedno zdanie odnoszące się do czasów współczesnych – „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Zarzucono 36 biskupom, którzy „Orędzie” podpisali, z ks. kardynałem prymasem łącznie, że wtręćili się w sprawy polityki zagranicznej. [...]

Na zarzuty te biskupi odpowiadali z godnością, jaką nakazywał czysto religijny charakter „Orędzia” tylko z ambon, bo innych możliwości z racji szalejącej cenzury nie mieli. [...] We wszystkich tych spotkaniach księży biskupów z wiernymi wyszło bardzo szybko na jaw, że chyba jednak nie całkiem prawdziwe było stwierdzenie urzędowej, komunistycznej propagandy, że „Orędzie” ma charakter polityczny, co niby wszyscy mieli jednoznacznie dostrzec i podkreślić. Jeszcze wyraźniej pokazało się to, gdy władze państwowe odmówiły ks. prymasowi wydania paszportu na wyjazd do Rzymu i nie wyraziły zgody na przyjazd do Polski papieża Pawła VI na uroczystości milenijne. Oburzenie było powszechne i wyraziło się tym bardziej tłumnym udziałem wiernych w uroczystościach najpierw w Gnieźnie i Poznaniu, od 14 do 17 kwietnia 1966 r., a potem przede wszystkim na Jasnej Górze w dniach 3 i 4 maja 1966 r. Zaangażowanie osobiste prymasa w sprawę „Orędzia” było widoczne w wielu jego wystąpieniach, zwłaszcza w Częstochowie, gdzie w czasie wieczornego nabożeństwa kilkakrotnie powtarzał słowo „przebaczamy”, na co tłumy ludzi po wielokroć odpowiadały - „przebaczamy”.²⁸

Na obszarze administracji gorzowskiej struktury partyjno – państwowe wszystkich szczebli realizowały ustaloną centralnie politykę wymierzoną w Kościół. Organy władzy poszczególnych województw (zielonogórskiego, szczecińskiego, koszalińskiego) i instancje

²⁸ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Referat I. Jeża „List biskupów polskich –...”.

partyjne koordynowały działania służące propagandowemu deprecjonowaniu „Orędzia” i przeciwdziałaniu kościelnym obchodom Millennium.

Tego agresywnego stosunku wobec Kościoła nie złagodził fakt mianowania przez papieża Pawła VI, dnia 25 V 1967 r., biskupów, dotychczasowych wikariuszy prymasowskich we Wrocławiu, Opolu, Gorzowie i Olsztynie, swymi administratorami „ad nutum Sanctae Sedis”. Był to kolejny krok w kierunku normalizacji struktury prawnej Kościoła na ziemiach zachodnich i północnych.²⁹

Biskupi administracji gorzowskiej postanowili zorganizować obchody milenijne na Pomorzu w Kamieniu Pomorskim i Kołobrzegu. I. Jeź wspomina: „Uważaliśmy, że trzeba wyróżnić Kołobrzeg jako siedzibę biskupstwa w 1000 roku. Postacią szczególnie zasłużoną w organizacji uroczystości kołobrzeskich był dziekan i proboszcz – ojciec Piotr Mielczarek, franciszkanin. Wtedy zwróciliśmy na niego uwagę i, gdy potem powstała diecezja koszalińsko – kołobrzaska, on został wikariuszem biskupim. Mnie przypadła rola prowadzenia rozmowy, w sprawie uroczystości, w Urzędzie Wojewódzkim w Koszalinie. Władze stawiały śmieszne zarzuty o możliwych wystąpieniach antypaństwowych. Sugerowały, że całe uroczystości mogą się przeistoczyć w manifestację antypaństwową. Ja wskazywałem na religijny charakter uroczystości.”³⁰

Celem rozmowy I. Jeźa z przewodniczącym prezydium WRN w Koszalinie, Tadeuszem Makowskim, było ustalenie przebiegu uroczystości milenijnych w Kołobrzegu, z udziałem kardynała Stefana Wyszyńskiego. T. Makowski nie wyraził zgody na oficjalne powitanie prymasa przed kolegiatą i zakazał urządzania procesji. Władze nie życzyły sobie „spędu wiernych z innych parafii”.³¹

Uroczystości milenijne w Kołobrzegu dnia 2 VII 1967 r., z udziałem prymasa S. Wyszyńskiego, zgromadziły kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Liczbę uczestników szacowano nawet na 70 tys. Z polecenia władz w tym samym czasie były organizowane konkurencyjne imprezy rozrywkowe, także w sąsiednich powiatach. Obawiając się zamieszek w pięciu punktach miasta wystawiono 1200 uzbrojonych aktywistów. Służba Bezpieczeństwa utrudniała zbiorowe wyjazdy wiernych do Kołobrzegu, także z zakładów pracy. SB wywierała presję w celu odmowy sprzedaży zbiorowych biletów przez PKP i PKS. Ograniczono ilość

²⁹ T. Dzwonkowski, *Polityka lokalna władz ...*, s. 139-141.

³⁰ Relacja bpa I. Jeźa z 16 IV 2004 r.

³¹ T. Dzwonkowski, *polityka lokalna władz ...*, s. 141.

kursów środków masowej komunikacji do Kołobrzegu. Wprowadzono zakaz przejazdów taksówkarzy do tego miasta. Regułą stało się zachowanie części ludzi. Najpierw pojawiali się na tak zwanych „konkurencyjnych imprezach”, gdzie kontrolowano ich obecność, a potem przenosili się na uroczystości milenijne.³²

Po grudniu 1970 r. polityka wobec Kościoła uległa częściowemu złagodzeniu. Nowa ekipa rządząca Polską starała się zachowywać bardziej pragmatycznie niż poprzednicy, unikając ostrych konfliktów z Kościołem. Poluzowanie dotyczyło m.in. zezwoleń na budowę świątyń. Na ziemiach zachodnich i północnych rozwiązano nabrzmiały i szkodzący polskiej racji stanu problem własności nieruchomości kościelnych. Powstały wreszcie warunki do uregulowania kwestii organizacji Kościoła na północy i zachodzie Polski.

³² R. Borucki, Ks. Prymas Stefan Wyszyński na Pomorzu Środkowym w świetle akt przechowywanych w Archiwum Państwowym w Koszalinie. W: Stefan Wyszyński wobec Ziemi Zachodnich i Północnych oraz stosunków polsko - niemieckich. W 100 – lecie urodzin Prymasa Tysiąclecia. Red. nauk. T. Dzwonkowski i Cz. Osękowski. Warszawa - Poznań - Zielona Góra 2001, s. 183 - 194; T. Dzwonkowski, Polityka lokalna władz ..., s. 141.

Ordynariusz diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej (1972-1992)

Kanoniczna stabilizacja porządku kościelnego na ziemiach zachodnich i północnych stała się możliwa z chwilą normalizacji stosunków między PRL a RFN w wyniku układu podpisanego w 1970 r., a ratyfikowanego w 1972 r. Mimo że układ nie regulował ostatecznie kwestii granicy polsko – niemieckiej, to stał się dla Stolicy Apostolskiej podstawą do utworzenia nowych diecezji. Wraz ze zmianami w sytuacji międzynarodowej nastąpił przetom polityczny związany z wydarzeniami grudnia 1970 r. Grupa skupiona wokół Edwarda Gierka, która doszła do władzy, mimo realizowania długofalowej strategii ustrojowej wymierzonej w Kościół, chciała załagodzenia napiętych dotąd stosunków.

Prace przygotowawcze do całkowitej regulacji prawnej statusu Kościoła na ziemiach zachodnich i północnych prowadzono także na szczeblu administracji gorzowskiej. Bp Wilhelm Pluta, wraz z biskupami sufraganami – Jerzym Strobą i Ignacym Jeżem, opracował materiał, który pismem z dnia 1 VI 1970 r. przestał prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu. Proponował podział administracji na trzy diecezje z siedzibami w Gorzowie Wlkp., Szczecinie i Koszalinie lub Słupsku (ta lokalizacja miała nawiązywać do historycznej tradycji dawnej diecezji w Kołobrzegu). W przestany piśmie W. Pluta stwierdził, że obecni biskupi sufragani byłiby odpowiednimi kandydatami na nowe placówki, J. Stroba w Szczecinie, I. Jeż w Słupsku (Kołobrzegu).¹

Pismem z dnia 24 XII 1970 r. skierowanym do prymasa S. Wyszyńskiego bp W. Pluta prosił o wszczęcie starań o podział administracji gorzowskiej na trzy diecezje z siedzibami w Gorzowie Wlkp., Szczecinie i Kołobrzegu. Dnia 10 V 1972 r. biskupi gorzowscy wystosowali do prymasa „Pro memoria Gorzowa w sprawie uregulowania stanu prawnego diecezji na Ziemiach Zachodnich i Północnych”, w którym proponowano warianty rozwiązania sprawy organizacji Kościoła. Wariant „C” przewidywał diecezję kołobrzeską z siedzibą w Koszalinie.

¹ K. Dullak, Bezpośrednie przygotowania i erekcja diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej. W: W 1000 – lecie powstania biskupstwa w Kołobrzegu. Pod red. bpa seniora I. Jeża. Koszalin 2000, s. 228 – 230.

Dnia 18 VI 1972 r. bp W. Pluta w imieniu własnym i biskupów J. Strobry i I. Jeża wystosował do prymasa S. Wyszyńskiego pismo zawierające sugestie wynikające z atmosfery wytwarzanej przez czynniki państwowe. Biskupi gorzowscy proponowali, by bp Bronisław Dąbrowski – sekretarz Konferencji Episkopatu Polski pozostał w Rzymie do czasu pozytywnego załatwienia sprawy organizacji struktur kościelnych na ziemiach zachodnich i północnych.²

Ojciec Święty Paweł VI, opierając się na obowiązujących układach międzynarodowych, spełnił prośby polskich biskupów dotyczące uregulowania organizacji Kościoła na ziemiach zachodnich i północnych. Dnia 28 VI 1972 r. o godz. 12, w drugim dniu 131. Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, w rezydencji arcybiskupów krakowskich została podana do wiadomości bulla papieska „Episcoporum Poloniae coetus”, w której stwierdzono: „Na wymienionych ziemiach erygujemy cztery diecezje, a mianowicie: opolską, gorzowską, szczecińsko – kamieńską i koszalińsko – kołobrzeską – w granicach określonych w sposób następujący [...] diecezja koszalińsko – kołobrzaska obejmować będzie terytorium województwa koszalińskiego i powiatu Lębork oraz parafii Kostkowo i Wierzchucino, leżących na terenie województwa gdańskiego; powyższe terytoria wyłączamy z diecezji berlińskiej i prałatury pilskiej. Stolicą diecezji będzie Koszalin. Nowa diecezja i jej biskup będzie podlegać stolicy gnieźnieńskiej i jej metropolie.”³

Ignacy Jeż o swojej nominacji na pierwszego ordynariusza nowo erygowanej diecezji powiadomiony został w czasie obrad krakowskiej konferencji.⁴ Wspomina atmosferę, w której to ogłaszano: „Decyzje Ojca Świętego spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem przez obecnych na konferencji biskupów, a nam, ordynariuszom nowych diecezji, wypadało przyjmować gratulacje. Pierwszym poleceniem sekretarza Episkopatu ks. bpa Bronisława Dąbrowskiego było: pojechać do Koszalina i zameldować się tam na stałe. Chodziło o to, że osoby nowych ordynariuszy nie zostały uprzednio uzgodnione z rządem. Według rozumowania ks. biskupa Dąbrowskiego, władze zadowolone z aktu uznania granicy na Odrze i Nysie nie będą się o ten punkt spierały.”⁵

² K. Dullak, Bezpośrednie przygotowania ..., s. 230 – 237; K. Dullak, Podstawy prawno – organizacyjne diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej. Koszalin 1996, s. 87-92.

³ L. Laskowski, Diecezja koszalińsko-kołobrzaska w latach 1972-2002. Koszalin 2002, s. 4.

⁴ K. R. Prokop, Biskupi zachodniopomorscy (X – XX w.), Koszalin 2003, s. 264.

⁵ I. Jeż, Skutki decyzji Stolicy Świętej dla życia religijnego (z perspektywy wtedy powstałej nowej diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej). W: W 1000 – lecie powstania biskupstwa w Kołobrzegu. Pod red. bpa I. Jeża. Koszalin 2000, s. 258 – 259; Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.

Ordynariusz erygowanej diecezji zamieszkał w skromnych pomieszczeniach na plebanii parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Koszalinie, której zarządcą był ks. Józef Jarnicki. Tu, w lipcu 1972 r., z prywatną wizytą przyjechał do Ignacego Jeża prymas Stefan Wyszyński, zatroskany o los nowych diecezji.⁶

Charakteryzując stosunek czynników oficjalnych wobec powstałej diecezji koszalińsko – kołobrzesckiej bp I. Jeż wspomina: „Ludzie władzy starali się zachować pewną formę, gdy chodzi o wojewodów czy urzędników do spraw wyznań. W stosunku do Kurii zachowywali się grzecznie, jeśli chodzi o relacje z księżmi to było różnie. Porozumienie pozwalało władzy na zgłoszenie sprzeciwu, gdy chodzi o ordynariusza w okresie do 3 miesięcy. Po tych trzech miesiącach, gdy Wojewoda mnie zaprosił, to ten stosunek był pozytywny. Oczywiście z ograniczeniami, które Warszawa stawiała wobec wszystkich biskupów i wszystkich diecezji.”⁷

Ojciec Piotr Tadeusz Mielczarek zanotował w kronice diecezji: „Kościół katolicki stanowi dla [ludności] w dalszym ciągu jedną z najważniejszych wartości. Toteż utworzenie nowej diecezji zostało przyjęte z dużym zadowoleniem i jest ono swego rodzaju wyrazem lokalnego patriotyzmu, gdyż podniosło rangę regionu [...] do tej, jaką ziemie te odgrywały u początków naszych dziejów narodowych.”⁸

Dnia 8 VII 1972 r. w zakrystii kościoła katedralnego w Koszalinie sporządzono protokół z objęcia przez biskupa ordynariusza diecezji koszalińsko – kołobrzesckiej. Tego samego dnia bp I. Jeż wydał pierwsze dekrety, między innymi mianujące urzędników Kurii. W odezwie do kapłanów diecezji z 31 VII 1972 r., nawiązując do atmosfery panującej w społeczeństwie, pisał: „W tym nastroju powszechnej radości umiejmy duchem stanąć w jednym szeregu z tymi, którzy tutaj za czasów Bolesława Chrobrego w roku tysięcznym razem z Reinbernem, pierwszym biskupem kołobrzesckim, kładli podwaliny pod życie religijne narodu polskiego.”⁹

Dnia 16 VIII 1972 r. zostali mianowani dwaj wikariusze biskupi: ks. Józef Jarnicki – ds. sakramentalnych i rozmów z władzami oraz o. Piotr Mielczarek – ds. duszpasterskich i zakonnych. Biskup Jeż tak wspomina sylwetki swoich współpracowników: „Opartem się na tych, których dobrze znałem jeszcze z okresu gorzowskiego. Przede wszystkim był to

⁶ Zbiory bpa I. Jeża: Wspomnienie o ks. kardynale Wyszyńskim.

⁷ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

⁸ L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzescka ..., s. 5.

⁹ I. Jeż, Listy pasterskie oraz komunikaty do kapłanów i wiernych diecezji w latach 1972 – 1989. Szczecin 1989, s. 6.

ks. Bernard Mielcarzewicz, którego ściągnąłem do koszalińskiej Kurii jako kanclerza. Wszyscy inni byli dobierani według studiów i kompetencji. Ks. prałat Ryszard Kierzkowski był w Wydziale Katechetycznym. W Wydziale Duszpasterskim o. Piotr Mielczarek, który doskonale wykazał się jako organizator uroczystości milenijnych w 1967 r. w Kołobrzegu. Chodziło mi także o to - mieliśmy prawie 100 księży zakonnych - żeby był jakiś łącznik między diecezją a zakonami. Ojciec P. Mielczarek pod tym względem spisał się bardzo dobrze. Jemu zawdzięczamy także wszystkie schematyzmy diecezji, które powstały, gdy on był dyrektorem Wydziału Duszpasterskiego." ¹⁰

Prawą ręką bpa ordynariusza stał się ks. Józef Jarnicki. Pochodził z diecezji łomżyńskiej. Był uczniem gimnazjum w Niepokalanowie, gdzie spotkał o. Maksymiliana Kolbego. W zdaniu matury przeszkodziła mu wojna. Gdy Niemcy postanowili wywieźć na roboty jego siostrę, wówczas zgłosił się za nią. Znalazł się w obozie przejściowym w Kłajpedzie, skąd uciekł i walczył w Armii Krajowej. Po wojnie zdał maturę i zgłosił się do Seminarium Duchownego w Łomży, ale tam władze komunistyczne zaczęły interesować się jego działalnością partyzancką. W seminarium doradzono mu podjęcie studiów w innej diecezji. Ponieważ i tam uznano to za niebezpieczne dla niego i Seminarium, rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu. Tam dowiedział się o naborze do Seminarium administracji gorzowskiej, po skończeniu którego studiował prawo kościelne na KUL. ¹¹

Ks. Józef Jarnicki znał bardzo dobrze teren diecezji, księży tutaj pracujących, uwarunkowania polityczne. Po zamianie parafii i przejściu franciszkanów do parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego był proboszczem parafii katedralnej. Potem pełnił funkcję oficjała Sądu Biskupiego, był prepozytem koszalińskiej Kapituły Katedralnej i protoprotariuszem apostolskim. Miał swój znaczący wkład w powstanie Kapituły Kolegiackiej w Kołobrzegu. Łączyły go z biskupem I. Jeżem więzy przyjaźni. Temu człowiekowi zasad, dialogu i wielkiej życzliwości wobec ludzi bp ordynariusz powierzył delikatną rolę delegata do rozmów z Urzędem Wojewódzkimi „Funkcję tę pełnił ks. Jarnicki przez 20 lat sprawowania przeze mnie urzędu ordynariusza diecezji i muszę przyznać, że pełnił ją wspaniale – z całą odpowiedzialnością broniąc interesów diecezji.” – pisze bp I. Jeż. ¹²

¹⁰ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

¹¹ I. Jeż, Ks. infułat Józef Jarnicki (7 stycznia 1922 – 13 listopada 2003) – wspomnienie, „Koszalińsko – Kołobrzskie Wiadomości Diecezjalne” 2003, nr 10/12, s. 50.

¹² Tamże, s. 51-52.

Pierwszy, najtrudniejszy, etap tworzenia struktur diecezji zamknięty dwa wydarzenia – dziękczynna pielgrzymka diecezjalna na Jasną Górę w dniach 18-19 X 1972 r. i uroczysty ingres bpa Ignacego Jeża do katedry koszalińskiej dnia 22 października. Dekretem z dnia 15 IX 1972 r. prymas S. Wyszyński ustanowił patronami diecezji św. Wojciecha i bł. Maksymiliana Marię Kolbego. Gnieźnieńska kapituła archikatedralna ofiarowała diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej relikwie św. Wojciecha. Dnia 3 IV 1974 r. zostały uroczystie wprowadzone do katedry.¹³

Stopniowo bp ordynariusz, wraz ze współpracownikami, tworzył instytucje niezbędne do funkcjonowania diecezji. Z plebanii kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego przeprowadzono się później do domu z czerwonej cegły, który teraz stanowi część pomieszczeń Kurii Biskupiej. Rozbudowano strukturę Kurii. Utworzono Konsultę Diecezjalną, Radę Kapłańską i Radę Duszpasterską.¹⁴

Dekretem prymasa S. Wyszyńskiego z dnia 29 VI 1978 r. została erygowana koszalińska Kapituła Katedralna. „Jednym z kanoników honorowych został ks. Helmut Holzapfel z diecezji Würzburg, z racji jego działalności dziennikarskiej niezwykle przychylniej Polsce, co było wtedy rzadkością w Niemczech. On też napisał piękną monografię o Reinbernie, pierwszym biskupie w Kołobrzegu. Po jego śmierci godność tę otrzymał ks. Günter Berghaus z diecezji Essen, dyrektor tamtejszego „Caritasu”, poprzez który diecezja otrzymała wielką pomoc w okresie stanu wojennego i w czasie budowy seminarium.” – wspomina I. Jeż.¹⁵

Dnia 25 IX 1979 r. erygowano kołobrzeską Kapitułę Kolegiacką. Dnia 31 V 1979 r. powołany został Sąd Biskupi z oficjalem ks. prałatem Józefem Jarnickim na czele. Od stycznia 1973 r. zaczęły się ukazywać „Koszalińsko – Kołobrzeskie Wiadomości Diecezjalne” – urzędowy organ Kurii Biskupiej.

Dobre funkcjonowanie lokalnego Kościoła wymagało biskupów sufraganów. 25 V 1974 r. w koszalińskiej katedrze odbywała się pierwsza w dziejach młodej diecezji konsekracja biskupa pomocniczego ks. kanonika Tadeusza Werno, dotychczasowego proboszcza parafii w Świdwinie. Dzień przed uroczystością, na którą przyjechał, by dokonać konsekracji, kard. S. Wyszyński, władze przekazały diecezji Dom

¹³ L. Laskowski, *Diecezja Koszalińsko – Kołobrzaska...*, s. 6.

¹⁴ L. Laskowski, *Diecezja Koszalińsko – Kołobrzaska...*, 6-7; I. Jeż, *Diecezja = teren + ludzie. Rozmowa z biskupem seniorem...*, pierwszym biskupem diecezji koszalińsko - kołobrzeskiej. Rozm. M. Szypszak, „Gość Niedzielny” (dod. „Wierzę”) 1997, nr 13, s. 14.

¹⁵ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Kapituła.

Biskupi, który w okresie międzywojennym był mieszkaniem superintendenta ewangelickiego, a po wojnie służył Archiwum Państwowemu. Dziesięć lat później, 15 IV 1984 r., w kołobrzesckiej konkatedrze prymas Józef Glemp konsekrował drugiego biskupa pomocniczego – ks. dr. Piotra Krupę, poprzednio rektora Wyższego Seminarium Duchownego w Wilkowie. Obydwaj biskupi zostali mianowani przez ordynariusza wikariuszami generalnymi.¹⁶

W swoich początkach diecezja obejmowała obszar 19 245 km², zamieszkały przez 871 900 ludności. W ramach 16 dekanatów istniało 139 parafii, 548 kościołów i 17 kaplic. Postugę duszpasterską pełniło 334 kapłanów, w tym 215 diecezjalnych i 119 zakonnych.

Klerycy przygotowywali się do kapłaństwa poza diecezją. Istotną rolę w funkcjonowaniu diecezji odgrywali kapłani zakonni – wraz ze stopniowym zwiększaniem się liczby księży diecezjalnych zakony odstępowały dotychczas obsługiwane parafie duchowieństwu diecezjalnemu. Kościół lokalny wspomagali także kapłani z innych diecezji.

Warunki pracy duszpasterskiej były trudne. Na jednego kapłana przypadało około 3000 wiernych, gdy normalnie sprawne duszpasterstwo może funkcjonować przy 1000 wiernych. Migracje ludności i wzrost miast spowodowały konieczność budowy nowych obiektów sakralnych.¹⁷

I. Jeż charakteryzuje ówczesną sytuację: „Kościółów posiadaliśmy na tym terenie bardzo dużo - 548, przeważnie małych, wiejskich, które określane były jako „filialne”. Obsługa duszpasterska wiernych następczała w związku z tym ogromne trudności, bo prawie każda parafia miała kilka takich kościołów. W niedzielę każdy ksiądz musiał, korzystając z przywilejów udzielanych przez Stolicę Świętą, odprawić kilka Mszy św., by w każdym z tych kościołów wierni mogli spełnić swój katolicki obowiązek. W niektórych kościołach wobec małej liczby księży (334) Msze św. odprawiane były co drugą niedzielę, a nawet i rzadziej. [...] W tej sytuacji przed biskupem stanęły dwa wielkie zadania: zwiększyć liczbę parafii i zwiększyć liczbę księży.”¹⁸

Tworzenie nowych parafii od pierwszych lat utrudniały władze. W tej sprawie biskup ordynariusz powołał się na schematyzm ks. Edmunda Nowickiego z 1948 r., wykazujący wszystkie parafie ist-

¹⁶ I. Jeż, Diecezja = teren...; I. Jeż, Być narzędziem Boga, „Koszalińsko – Kołobrzesckie Wiadomości Diecezjalne” 1992, nr 1, s. 16-17; L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzescka..., s. 7.

¹⁷ I. Jeż, Skutki decyzji..., s. 259; L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzescka..., s. 8-9.

¹⁸ J. Jeż, Skutki decyzji..., s. 259 – 260.

niejąca na terenie administracji gorzowskiej przed reformacją. Gdy władze wojewódzkie nie zezwoliły na utworzenie parafii w Charzynie, Kuria Biskupia podjęła interwencję u władz centralnych. Bp senior wspomina: „To był argument, który razem z ks. Józefem Jarnickim wykorzystaliśmy odwołując się od decyzji Urzędu Wojewódzkiego. Powołaliśmy się na schematyzm administratora gorzowskiego ks. E. Nowickiego, z oznaczeniem wszystkich parafii katolickich, które tu istniały przed reformacją. Wzięliśmy cytata z pomnika przed koszalińskim ratuszem: „Byliśmy – Jesteśmy – Będziemy”. W odwołaniu motywowaliśmy, że chcemy na terenie kościelnym udowodnić, że my byliśmy, a władze lokalne są przeciwnie. Oczywiście to poskutkowało w Warszawie i wtedy zmieniono nam decyzję Urzędu Wojewódzkiego, co było wielką rzadkością. Pan Płóciennik, ówczesny dyrektor Wydziału ds. Wyznań, po cichu powiedział ks. Jarnickiemu: „Na tej podstawie możecie składać tyle wniosków, ile chcecie.”¹⁹

Jedną z najważniejszych spraw dla rozwoju diecezji stało się formowanie nowych kapłanów. Ordynariusz od początku swojej posługi starał się o zgodę władz na utworzenie seminarium – przez długi czas bezskutecznie.

Bp. I. Jeż opisuje zaistniałą sytuację: „Seminarium było jedno – w Paradyżu. Zjawiskiem niezwykle ciekawym, jakie zaobserwowaliśmy we wszystkich trzech świeżo utworzonych diecezjach, był wyraźny wzrost powołań, tak że po trzech latach pojawił się problem pomieszczenia dla wszystkich zgłaszających się kandydatów. Na rozbudowę zabytkowego obiektu nie wyraziły zgody władze państwowe. [...] Pomocą do podjęcia ostatecznej decyzji o budowie własnego seminarium stał się, jedyną zresztą, spór jaki zaistniał pomiędzy biskupem W. Plutą a jego dawniejszymi biskupami pomocniczymi właśnie o seminarium. Chodziło o remont, zresztą bardzo potrzebny. Każda z diecezji miała wnieść jedną trzecią kosztów i to dość wysokich. W związku z tym powstało pytanie: czyją własnością jest to seminarium od czasu podziału terenu? Jeżeli każda z diecezji jest właścicielem w jednej trzeciej, to nie ma problemu. Gorzów postawił sprawę inaczej: seminarium jest własnością diecezji gorzowskiej, bo leży na jej terenie – niezależnie od tego, że było dotychczas remontowane i utrzymywane przez cały dotychczasowy teren administracji apostołskiej w Gorzowie. Spór rozstrzygnął ks. prymas S. Wyszyński swoją decyzją – „melior est conditio possidentis”. Wtedy ks. bp J. Stroba i ks. bp

¹⁹ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.; I. Jeż, „Byliśmy – jesteśmy – będziemy”. [Rozmowa] z Księdzem Biskupem... . Rozm. P. Wieczorek, „Gość Niedzielny” (dod. „Wierzę”) 1994, nr 32, s. 25; I. Jeż, Być narzędziem..., s. 16.

I. Jeż podjęli decyzję: jeśli tyle pieniędzy mamy dać na remont seminarium w Paradyżu, to lepiej te pieniądze przeznaczyć na budowę własnego seminarium.”²⁰

Wobec wzrostu liczby nowych powołań kapłańskich i przepelnienia seminarium paradydzkiego diecezja koszalińsko – kołobrzaska skierowała jeden rocznik do arcybiskupiego seminarium w Poznaniu, następny do Gniezna, a pojedynczych kleryków do Pelplina. Ostatni rok studiów, by diakonów silniej związać z macierzystym terenem, przeniesiono do Złocieńca, a potem do Połczyna Zdroju.

Dnia 18 XII 1980 r., pod presją zmieniającej się sytuacji politycznej w Polsce, minister oświaty i wychowania odniósł się w końcu pozytywnie do kilkuletnich starań bpa I. Jeża – wyraził zgodę na otwarcie i prowadzenie Wyższego Seminarium Duchownego, erygowanego przez ordynariusza 25 III 1981 r. Dnia 6 XII 1981 r. wydano pozwolenie na budowę. W wyniku wieloletniego uporu i wysiłku całej diecezji oraz pomocy zagranicznej w Wilkowie koło Koszalina powstał najpierw budynek tymczasowy, a następnie gmach główny WSD. Pierwszym rektorem seminarium został mianowany ks. kanonik dr Piotr Krupa.²¹

Dnia 7 III 1987 r. bp I. Jeż zatwierdził Wyższy Instytut Wiedzy Religijnej, teologiczną szkołę wyższą o charakterze studiów zaocznych dla osób świeckich i zakonnych. Pierwszym rektorem WIWR został ks. dr Jan Turkiel. W 1992 r. Instytut nawiązał współpracę z Papieskim Wydziałem Teologicznym w Poznaniu.²²

Dzięki przepisom prawnym z początku lat siedemdziesiątych została uregulowana na Ziemiach Zachodnich i Północnych kwestia własności świątyń i innych obiektów do tej pory tylko użytkowanych przez Kościół. Przepisy przewidywały także możliwość oddania dodatkowo obiektów Kościołowi koniecznie potrzebnych. Na tej podstawie przekazano diecezji blisko 20 kościołów znajdujących się w ruinie i przez diecezję dotychczas nie użytkowanych, gmach Kurii Biskupiej i Dom Biskupi.²³

Została wreszcie rozwiązana prestiżowa kwestia konkatedry kołobrzesckiej. I. Jeż tak charakteryzuje „boje” o konkatedrę: „Tylko prezbiterium było pierwotnie nasze. Wobec przypuszczenia, że Kościół

²⁰ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Diecezja koszalińsko – kołobrzaska powstała... .

²¹ Zbiory bpa Ignacego Jeża: Diecezja koszalińsko – kołobrzesckiej. W: 1000-lecie powstania biskupstwa w Kołobrzegu. Pod red. bpa seniora I. Jeża. Koszalin 2000, s. 270-271; L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzaska..., s. 10.

²² L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzaska..., s. 10.

²³ I. Jeż, 20 lat diecezji..., s. 275.

będzie się o ten obiekt upominał w połowie lat sześćdziesiątych przyszło oficjalne pismo, że wieża i nawy są własnością państwa, które zachowa konkatedrę jako trwałą ruinę, albo przystąpi do jakiejś odbudowy. [...] Po częściowym remoncie postanowiono wprowadzić tam Muzeum Oręża Polskiego. Myśmy oczywiście cały czas protestowali, wnosząc o oddanie naw kolegiaty na użytek Kościoła. Muzeum ulokowano w wieży, plany przewidywały jego rozszerzenie także na nawy. [...] Gdy powstała diecezja napisałem do premiera Piotra Jaroszewicza pismo stwierdzające, że tego typu muzeum jest potrzebne, ale czemu ma się mieścić w kościele.. Zwróciłem uwagę na kłopoty związane z faktem, że będzie dwóch właścicieli w jednym obiekcie. Premier skorzystał z przepisów ustawy z 1971 r. dających możliwość przekazywania Kościołowi także obiektów nie znajdujących się w jego użytkowaniu. Dzięki temu odzyskałmy całość katedry, razem z wieżą.”²⁴

Dnia 24 V 1974 r. kolegiata została przekazana Kościołowi. Na mocy porozumienia stron wieża jeszcze przez dwa lata była użytkowana na cele muzealne. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pod kierunkiem ks. proboszcza Józefa Słomskiego, rozpoczęto odbudowę konkatedry.²⁵ I. Jeż opowiedział się za likwidacją lektorium, oddzielającego prezbiterium od reszty kościoła, które symbolizowałyby oddzielenie kleru od wiernych. Wobec oporu konserwatora zabytków ordynariusz użył skutecznych argumentów „z epoki”. Zwrócił uwagę, że w „społeczeństwie bezklasowym” nie można tworzyć podziałów na „kler i plebs”.²⁶ Dnia 21 X 1984 r., pod przewodnictwem prymasa Józefa Glempa, dokonano konsekracji konkatedry, a 10 VI 1986 r. została podniesiona przez papieża Jana Pawła II do godności bazyliki mniejszej.²⁷

Do 1980 r. władze hamowały rozwój budownictwa sakralnego. Łatwiej można było uzyskać zgodę na rozbudowę już istniejącego kościoła. Bp I. Jeż corocznie, z okazji liturgicznego wspomnienia św. Jadwigi Śląskiej (16 października), kierował do wiernych listy pasterskie, w których przedstawiał stan starań o budowę nowych obiektów. Pierwsze pozwolenie na budowę kościoła, pw. bł. Maksymiliana M. Kolbego w Słupsku, określało wymogi architektoniczne – bryła

²⁴ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

²⁵ R. Dziemba, Kołobrzeska bazylika – esencja sztuki i kultury pomorskiej, „Rocznik Koszaliński” 2003, nr 31, s. 310-311.

²⁶ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

²⁷ L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzeska..., s. 10.

miała urozmaicić tło „blokowisk”. Tego typu założenia znacznie podnosiły koszty inwestycji.

Przełomem w sferze budownictwa sakralnego stał się rok 1980 i powstanie „Solidarności”. W roku następnym diecezja uzyskała 69 pozwoleń na budowę, rozbudowę, remont, zakup obiektów sakralnych – kościołów, kaplic, plebanii, zakrystii, salek katechetycznych. Kościoły były budowane przede wszystkim ze składek wiernych. Dla realizowania wielkiego zadania budowy nie tylko seminarium, ale i innych obiektów kościelnych potrzebna była jednak pomoc. Diecezja otrzymywała ją z zagranicy od archidiecezji Paderborn, diecezji Essen, Kirche in Not – organizacji w Niemczech zajmującej się pomocą katolikom na Wschodzie (obecnie Renovabis) oraz Europischer Hilfsfonds w Austrii.²⁸

„Można powiedzieć, że przez 20 lat istnienia diecezji ok. 120 obiektów sakralnych zostało zbudowanych lub podniesionych z ruin. Bywały to obiekty małe, niejednokrotnie nie całkiem zniszczone przez wojnę, ale były też obiekty olbrzymie, jak np. konkatedra w Kołobrzegu czy duże kościoły budowane od fundamentów, jak np. kościół Ducha św. czy św. Wojciecha w Koszalinie, albo św. Maksymiliana Kolbego w Słupsku, czy św. Rozalii w Szczecinku – nie wspominając centrów duszpasterskich powstających przy tych kościołach. Ten olbrzymi wysiłek budowlany obok wzrostu powołań kapłańskich był chyba najwyraźniejszym dowodem ożywienia życia religijnego, do którego przyczyniło się powstanie nowej diecezji” – pisze I. Jeż.²⁹

W dniach 7 - 9 III 1975 r., na terenie diecezji – w Koszalinie, Kołobrzegu, Słupsku i Lęborku przebywał abp Luigi Poggi, nuncjusz apostolski do specjalnych poruczeń. Celem wizyty było zaznajomienie się z warunkami nowo powstałej diecezji, jej problemami oraz poinformowanie biskupów i wiernych o stanie rozmów z władzami PRL na temat Kościoła w Polsce.

Czynnikiem integrującym lokalną społeczność stały się obchody związane z macierzysta metropolii i rocznicami powstania diecezji. Dnia 17 VIII 1975 r. w kołobrzesckiej konkatedrze odbyły się uroczystości 975-lecia utworzenia metropolii gnieźnieńskiej i biskupstwa w Kołobrzegu. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył kard. Stefan Wyszyński. W liście pasterskim przed tą uroczystością bp I. Jeż po raz pierwszy poprosił wiernych o ofiarę pieniężną na odbudowę kołobrzesckiej konkatedry, budowę pierwszego nowego kościoła w diecezji pw. bł.

²⁸ Tamże, s. 10.

²⁹ I. Jeż, 20 lat diecezji..., s. 275-276.

Maksymiliana Kolbego w Słupsku, rozbudowę kościoła w Kępicach i remonty innych świątyń.

W czasie kulminacji obchodów pięciolecia diecezji, 26 VI 1977 r. w Słupsku, kard. S. Wyszyński poświęcił plac i kamień pod budowę kościoła pw. bł. Maksymiliana M. Kolbego.

Z okazji dziesięciolecia diecezji, 25 VI 1982 r., w rezydencji biskupiej w Koszalinie odbyło się posiedzenie Rady Głównej Episkopatu Polski. Dnia 26 VI 1982 r. prymas Józef Glemp poświęcił teren budowy Wyższego Seminarium Duchownego. Dnia 27 VI 1982 r. w Słupsku, na placu przed kościołem pw. bł. Maksymiliana M. Kolbego, zebrano około 50 tys. wiernych z całej diecezji. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył kard. Franciszek Macharski, a homilię wygłosił kard. Józef Glemp.³⁰

Okres budowania podstaw diecezji zamknął trwający od 10 V 1986 r. do 9 XII 1989 r. I Synod Diecezji Koszalińsko – Kołobrzesckiej, uwieczniony zatwierdzeniem przez biskupa ordynariusza statutów regulujących całość życia diecezjalnego.³¹

Ważną rolę w życiu religijnym diecezji i budowaniu poczucia wspólnoty lokalnego społeczeństwa pełnił kult maryjny. Uroczyste obchody 600-lecia obecności obrazu jasnogórskiego na polskiej ziemi znalazły swój akcent w diecezji. Najpierw w dniach 25 – 30 XI 1982 r. w parafiach w Złotowie, Szczecinku, Słupsku, Koszalinie, Kołobrzegu, Białogardzie, Wałczu, Skrzatuszu, a następnie od 14 do 21 VII 1983 r. w miejscowościach pasa nadmorskiego – w Lęborku, Łebie, Słupsku, Ustce, Dartowie, Koszalinie i Kołobrzegu. Wędrująca po kraju kopia cudownego obrazu z Jasnej Góry odwiedziła wszystkie parafie w diecezji w latach 1989 – 1990.³²

Ośrodkami kultu stały się sanktuaria maryjne. Figurka Matki Bożej Bolesnej w Skrzatuszu już od 1575 r. była celem pielgrzymek. Dwa lata po powstaniu diecezji koszalińsko – kołobrzesckiej, 15 VIII 1974 r., został wznowiony ruch pielgrzymkowy do skrzatuskiego sanktuarium. W roku 1981, decyzją bpa I. Jeża, odpust diecezjalny w sanktuarium został przeniesiony na dzień 15 września lub pierwszą niedzielę po tej dacie. Od tego czasu biskup ordynariusz zapraszał co roku wiernych do udziału w pielgrzymkach do sanktuarium.³³

³⁰ L. Laskowski, *Diecezja Koszalińsko – Kołobrzescka...*, s. 7-8.

³¹ Tamże, s. 11.

³² L. Laskowski, *Diecezja Koszalińsko – Kołobrzescka...*, s. 7-8.

³³ Tamże, s.11.

Długo trwały starania I. Jeża o przywrócenie kultu maryjnego, sięgającego okresu przed reformacją, na Górze Chełmskiej koło Koszalina. Zabiegi czyniono już w czasie istnienia administracji gorzowskiej. Najpierw sprawę blokował fakt, że Góra była obiektem wojskowym. Potem, 6 VI 1986 r., szczyt Góry Chełmskiej został wpisany do rejestru zabytków, a Miejska Rada Narodowa w Koszalinie uchwaliła program lokujący tu ośrodek rekreacyjno – sportowy. Po zmianach ustrojowych, 5 II 1990 r., bp I. Jeż ponowił wniosek w sprawie odzyskania części Góry – starania zakończyły się powodzeniem.³⁴

„Wtedy pierwszą prośbę skierowałem do ojców paulinów, żeby stworzyć taką Częstochowę Północy. Ale generał odpowiedział mi, że nie ma wystarczającej liczby ojców, więc nie może tego przyjąć.” – mówi I. Jeż.³⁵ Wówczas ordynariusz postanowił sprawę sanktuarium powierzyć ruchowi szensztackiemu. W obozie koncentracyjnym w Dachau zetknął się z twórcą tego ruchu – ojcem Józefem Kentenichem. W połowie lat siedemdziesiątych prymas S. Wyszyński mianował I. Jeża protektorem ruchu szensztackiego w Polsce.³⁶

„Jako protektor poleciłem siostrze prowincjalnej Miriam Czyciborskiej zbudowanie kaplicy na Górze Chełmskiej. Było to związane także z zaproszeniem Ojca Świętego do Koszalina. Siostry wywiązały się z tego zadania bardzo dobrze.” – relacjonuje bp senior.³⁷ Szczyt Góry Chełmskiej przejął Szensztacki Instytut Sióstr Maryi. W 1990 r. powstało tam sanktuarium Matki Bożej Trzykroć Przedziwnej.

W tworzącym się i integrującym społeczeństwie na obszarze diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej własną specyfikę miały dwa środowiska – ludność autochtoniczna i grekokatolicy.

Charakteryzując odrębność i mentalność autochtonów bp I. Jeż przekazuje: „Ludności autochtonicznej najwięcej było przy dawnej granicy polsko – niemieckiej, w rejonie Lęborka, Bytowa i Złotowa. Tam powstanie diecezji przyjęto z radością. Dawą to możliwość kontaktowania się z biskupem bliżej niż w Gorzowie, dlatego ten stosunek był bardzo pozytywny. Żałowaliśmy części diecezji dawnej prałatury pilskiej, która od nas odeszła w wyniku zmian w 1992 r., tak jak teraz w 2004 r. dekanat złotowski, który pod względem religijnym, związania ludności autochtonicznej z Kościołem był przez nas bardzo wysoko notowany. Ci autochtoni byli tak silni w swoich religijnych przekonaniach

³⁴ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.; L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzeska..., s. 11.

³⁵ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

³⁶ Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.; Zbiory bpa Ignacego Jeża: „Znajomy z Dachau”.

³⁷ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

niach, że wpłynęli na nawracanie się tej części ludności, która napłynęła z zewnątrz. Zakrzewo z tradycją ks. Bolestawa Domańskiego było przodującą parafią w całej diecezji." ³⁸

Na obszarze diecezji koszalińsko – kotobrzezkiej znaleźli się Ukraińcy i Łemkowie - grekokatolicy wysiedleni w 1947 r. z terenów południowo – wschodniej Polski w ramach akcji „Wisła”. Na terytorium późniejszego województwa koszalińskiego zamieszkało 34 tys. przesiedleńców. Kościół grekokatolicki został we wszystkich krajach rządzonych przez komunistów formalnie zlikwidowany i kontynuował swoją misję w podziemiu. Pod tym względem wyjątkiem była Polska po 1956 r., gdzie obrządek bizantyńsko – ukraiński nie był uznawany, ale jednocześnie władze go tolerowały. Do 1989 r., gdy odzyskał pełnię praw, mógł funkcjonować dzięki pomocy Kościoła rzymskokatolickiego i możliwości korzystania z jego świątyń.

Złożony charakter miało, według bpa seniora, ułożenie relacji z obrządkiem grekokatolickim: „Gdy ten obrządek za czasów komunistycznych był nie uznawany, to księża i wierni korzystali z naszych kościołów. Wyznaczono świątynie, w których mogli odprawiać Msze św. Jeśli przestrzegano generalnej zasady, że ksiądz na pierwszym miejscu ma stawiać przynależność kościelną, to konfliktów nie było. Gdy księża stawiali na pierwszym miejscu kwestię ukraińską, to wtedy dochodziło do konfliktów. Wszystkie tarcia miały podstawę narodowościową, a nie religijną. Czasem niektórzy księża w ogóle nie dopuszczali do głosu ukraińskich duchownych.

Ks mitrat Dziubina z Przemyśla napisał w „Tygodniku Powszechnym” o jednej ze spraw. Ja mu odpowiedziałem, że był to jedyny przypadek, gdy ksiądz nie wpuścił do kościoła pogrzebu grekokatolickiego – wówczas odprawiono Mszę św. na ścianie świątyni, na zewnątrz. Tego jedynego zdarzenia nie należy uogólniać. Z naszej strony trafiali się księża wywodzący się z Kresów, którzy byli nie do ubłagania jeśli chodzi o stosunek do kwestii ukraińsko – grekokatolickiej, ale były to wyjątkowe przypadki. My, wywodzący się ze Śląska, patrzyliśmy na to jako na element folkloru. Inne doświadczenia mieli duchowni, którzy przeszli wszystko to co się działo na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej." ³⁹

W sytuacji tworzenia się i integracji nowego polskiego społeczeństwa na ziemiach zachodnich i północnych, po największym przesiedleniu ludności w dziejach nowożytnej Europy, rola Kościoła i jego

³⁸ Tamże.

³⁹ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.; Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.

struktur organizacyjnych – diecezji działającego w trudnych warunkach ustrojowych, była olbrzymia. Bp senior ocenia: „W mojej opinii rola diecezji koszalińsko – kołobrzesckiej w procesie integracji była ogromna. Przejęcie na własność przez Kościół świętyń i plebanii przekonano ludzi, że jeśli to wszystko jest własnością Kościoła to już się nic nie zmieni. Wtedy uwierzono, że te tereny są faktycznie polskie. Trzeba pamiętać, że ci ludzie, którzy tu przyjechali ciągle myśleli o powrocie do Wilna i Lwowa, do stron ojczyстных za Bugiem. Ale sytuacja była taka, że te nadzieje były coraz słabsze. Gdy Kościół dostał wszystko na własność, gdy powstała diecezja – to ludzi upewniło, że zaszyły trwałe zmiany, że my tu już będziemy na stałe. Z tej perspektywy utworzenie diecezji utwierdziło wszystkich, że tu zostaną jak w swej nowej ojczyźnie.”⁴⁰

Częścią systemu władzy w PRL był faktyczny monopol w sterowaniu środkami masowego przekazu. W tej sytuacji Kościół mógł jedynie ograniczać wpływy i skuteczność oficjalnej propagandy. Od 1973 r. bp Ignacy Jeż był członkiem i przewodniczącym Komisji Episkopatu Polski ds. Środków Społecznego Przekazu, poza tym był członkiem Komisji EP ds. Duszpasterstwa Ogólnego.

„W Komisji ds. Środków Społecznego Przekazu moja działalność ograniczała się do bardzo skromnych spraw, bo nie było ani telewizji ani radia w rękach katolickich. Nie istniały katolickie dzienniki poza związanym ze Stowarzyszeniem PAX „Słowem Powszechnym”. W czasach rządów Władysława Gomułki niektóre dawne tytuły prasowe powróciły, ale nie w znaczeniu środków masowego przekazu, jakie dziś działają swobodnie.

W dziedzinie telewizji sugerowaliśmy wiernym selekcję programów. Do diecezji przekazywaliśmy zalecenia, by rodzice wybierali co dzieci mogą oglądać. Więcej nie dało się zrobić. Protesty kierowaliśmy wszędzie, gdzie to było możliwe i do wszystkich możliwych władz.

Stolica Apostolska ogłosiła Dzień Środków Społecznego Przekazu. Myśmy go przenieśli z miesiąca maja na третią niedzielę września. W ten dzień w diecezjach wygłaszano kazania, wystosowywano apele. Ogólnie w tej sferze nie można było więcej zrobić, bo i książki nie można było wydać, ani czasopism tytułu co teraz.” – charakteryzuje ówczesne warunki działania bp senior.⁴¹

Od końca II wojny światowej Ignacy Jeż brał udział w przedsięwzięciach środowiska skupiającego księży, byłych więźniów obozu

⁴⁰ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

⁴¹ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.; Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.

w Dachau. W ostatnich dniach pobytu w obozie, gdy zbliżały się już wojska amerykańskie wobec wieści o masakrach więźniów dokonywanych przez Niemców w innych obozach, na apel księży diecezji wrocławskiej, w święto Opieki św. Józefa, polscy księża w Dachau złożyli ślub św. Józefowi, że gdy ich wyprowadzi szczęśliwie, to będą pielgrzymowali do cudownego obrazu Świętej Rodziny w Kaliszu.

„Niedziela 29 IV 1945 r. była ostatnim dniem nowenny do św. Józefa podjętej przez polskich kapłanów w Dachau. W tym samym dniu po południu wyzwolili nas Amerykanie. Zgodnie ze złożonymi ślubami pierwsze spotkanie odbyło się w Kaliszu 29 IV 1946 r., ale mnie jeszcze w kraju nie było, bo wróciłem do Polski w maju 1946 r. Księża, którzy w kraju pozostali powołali Komitet Księża byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych, na czele którego stanął bp Bernard Czapliński, a potem bp Kazimierz Majdański. Od. 1975 r., gdy bp K. Majdański zajął się Instytutem Studiów nad rodziną w Łomiankach, ja przewodniczę Komitetowi. Co roku, 29 kwietnia, zbieramy się a bazylice św. Józefa w Kaliszu, by dziękować za cudowne ocalenie z obozu. Raz na pięć lat, zwykle w okrągłe rocznice, odbywały się bardzo uroczyste zjazdy z udziałem prymasa Stefana Wyszyńskiego, ks. kard. Karola Wojtyły, wielu biskupów. Na początku do Kalisza przyjeżdżało 600 – 700 kapłanów. Teraz jest nas bardzo mało, w zeszłym 2003 roku było nas 12-u.” – wspomina bp senior.⁴²

Na funkcjonowanie diecezji wpływ wywierało otoczenie ustrojowe – mimo częściowej odwilży w relacjach z Kościołem władze nie rezygnowały z realizacji własnej polityki.

I. Jeż wspomina: „Bardzo trudno było stworzyć nową parafię. Istniały kłopoty z zatwierdzaniem proboszczów przez władze. Przed 1980 r. było dużo przypadków, że nie można było mianować proboszcza. W takiej sytuacji niektórzy księża mogli być tylko administratorami parafii.. Były to częste przypadki w tym i tak lepszym niż wcześniejsze lata okresie lat siedemdziesiątych. W Koszalinie na przykład trwało długo zanim ks. Marian Błaszczuk został proboszczem parafii pw. św. Wojciecha, przedtem musiał być administratorem.

Nie respektowaliśmy żądań władz dotyczących usunięcia księży z probostw. Na zarzuty odpowiadaliśmy. Prosiłiśmy księdza, któremu stawiano zarzuty, by odpowiadał na piśmie, nam pozostawiając odpis. Wówczas, przy okazji corocznych spotkań z wojewodami w sprawie pozwoleń na budowę kościołów, załatwiałem te kwestie. Próbowałem wyjaśnić, że takich zarzutów nie możemy potwierdzić.

⁴² Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.

Wskazywałem, że to tylko miejscowe konflikty, których nie trzeba zatłwiać na tym poziomie. [...]

Były przypadki inwigilowania i próby zmuszania do współpracy księży przez organy bezpieczeństwa. Księża informowali o tym i prosili mnie o interwencje u wojewody. Ale pan wojewoda oczywiście się wszystkiego wyrzekał, zarzucał nam, że przesadzamy. Władze składały wobec nas protesty, gdy ksiądz przekroczył pewną granicę w ogłoszeniach parafialnych. W takim przypadku ks. infułat Józef Jar-nicki szedł do dyrektora Wydziału ds. Wyznań i wyjaśniał.”⁴³

Sierpień 1980 r. i powstanie NSZZ „Solidarność” przyniosły zmiany w sytuacji Kościoła. „Przede wszystkim zyskaliśmy dużo, gdy chodzi o pozwolenia na budowę kościołów. W Koszalinie udało się m.in. odblokować pozwolenie na budowę kościoła pw. św. Wojciecha, który jest patronem diecezji. Zatłwiono sprawę kościoła pw. Ducha Świętego. Te i wiele innych pozwoleń na terenie diecezji udało się dopiero uzyskać w latach 1980 - 1981. Rozwiązano także kwestie związane z obsadą probostw, które do tej pory z powodu oporu władz miały tylko administratorów.” – opisuje I. Jeż.⁴⁴

Bardzo dobrze układały się relacje między diecezją a strukturami „Solidarności”. Ordynariusz wyznaczył do kontaktów z zarządami poszczególnych regionów „Solidarności” wikariusza generalnego bpa sufragana Tadeusza Werno.⁴⁵

Bp senior charakteryzuje moment wprowadzenia stanu wojenne-go 13 XII 1981 r.: „Nie spodziewaliśmy się, że taką formę to przybierze. To było kompletne zaskoczenie. Dnia 13 grudnia przyszedł do mnie do rezydencji wojskowy z plakatem. Przedmiotem rozmowy była zaplano-wana przez ks. J. Borzyszkowskiego Msza św. w katedrze, po której władze spodziewały się pochodu czy manifestacji. Zwrócono mi uwagę, że na to potrzebne jest wraz z wprowadzeniem stanu wojen-nego pozwolenie, które nie zostało wydane. [...] Myśmy przedkładali swoje wnioski i postulaty do władz. Wojewoda potem zapraszał, żeby powiadomić, które z tych wniosków zatwierdził, do których miał zastrzeżenia. Dopiero wtedy mogliśmy wejść w bezpośredni kontakt z władzami. Rozmowy były trudne. Wojewoda stawiał m.in. bp. Tade-uszowi Werno zarzut, że on z ambony wysuwa pretensje. Przekazywał ordynariuszowi swoje uwagi, ale z bp. T. Werno nie chciał się bezpo-srednio spotkać.”⁴⁶

⁴³ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r.; Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.

⁴⁴ Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.

⁴⁵ Tamże.

⁴⁶ Tamże.

Stan wojenny przyniósł drastyczne wydarzenia w relacjach diecezja – władza, jakim było aresztowanie ks. Bolestawa Jewulskiego z Połczyna Zdroju, za wybudowanie bez zezwolenia kościoła pw. św. Józefa. Ordynariusz interweniował w tej sprawie, odwiedzał proboszcza w areszcie. Po trzech miesiącach ks. B. Jewulski został zwolniony. Po wprowadzeniu stanu wojennego przesłuchiwany był proboszcz parafii katedralnej w Koszalinie ks. kanonik Jan Borzyszkowski. Władze żądały usunięcia go z probostwa, uzasadniając to tym, że „katedra stała się miejscem spotkań zakonspirowanego antysocjalistycznego podziemia politycznego.”⁴⁷

W granicach diecezji zostały zlokalizowane trzy obozy odosobnienia: w Jaworzu koło Kalisza Pomorskiego, w DarłóWKu i w Wierchowiu Pomorskim. Ponieważ internowani prosili o księdza bez munduru, to przez dłuższy czas ordynariusz w każdą niedzielę składał wizyty duszpasterskie raz w DarłóWKu, raz w Jaworzu. Większość internowanych w ośrodku odosobnienia przy Zakładzie Karnym w Wierchowiu Pomorskim stanowili działacze z regionu szczecińskiego, dlatego opiekę duszpasterską nad nimi sprawował bp sufragan diecezji szczecińsko – kamieńskiej Jan Gałęcki.⁴⁸

I. Jeż wspomina pomoc udzielaną przez diecezję internowanym i ich rodzinom: „ Był problem dojeżdżania do obozów dla internowanych, bo zasadniczo regulamin przewidywał, że duszpasterzami będą księża kapelani wojskowi. Ponieważ kapelan przyjechał w mundurze, to pan Tadeusz Mazowiecki i inni internowani zgłosili zastrzeżenie, że nie pójdą do spowiedzi do umundurowanego kapłana. Wtedy ja pojechałem. Nie zgłaszano sprzeciwów jeśli chodzi o moją tam obecność i odprawianie Mszy św. Ks. Czernuszewicz jako kapelan słuchał w tym czasie spowiedzi. Takie były te pierwsze miesiące stanu wojennego. Trudno było mówić o jakimś dialogu. Były polecenia wydawane od góry. Nie można było spodziewać się, że te nasze prośby będą załatwiane pozytywnie.

Stworzyliśmy Biskupi Komitet Pomocy Rodzinom internowanych. Główną rolę odgrywała w nim pani Gabriela Cwojdziańska, w okręgu słupskim mec. Anna Bogucka – Skowrońska i jedna z pań w okręgu szczecińskim. Co pewien czas organizowaliśmy spotkania w rezydencji biskupiej. Nie robiono nam z tego powodu specjalnych trudności, bo chodziło o akcję charytatywną pomocy dla tych rodzin,

⁴⁷ Relacja bpa I. Jeża z 16 IV 2004 r., Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.; L. Laskowski, Diecezja Koszalińska – Kołobrzaska..., s. 12.

⁴⁸ Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.; Laskowski, Diecezja Koszalińska – Kołobrzaska..., s. 12.

które straciły swojego głównego żywiciela przez zamknięcie w obozie internowanych. Udało nam się rozwinąć akcję pomocy materialnej i żywnościowej.”⁴⁹

W ciężkim pod względem warunków życia okresie stanu wojennego diecezja organizowała pomoc dla wszystkich wiernych. Akcją kierował dyrektor charytatywny diecezji ks. Franciszek Pacholski, który w opinii I. Jeża „zabłysnął talentami, gdy trzeba było przyjmować, magazynować i potem dzielić na wszystkie parafie tysiące ton nadchodzących darów, którymi zachód Europy chciał pomóc tak ciężko doświadczoną powstałą sytuacją ludności naszego kraju.”⁵⁰

Koniec lat osiemdziesiątych przyniósł zmiany polityczne i odzyskanie przez Polskę niepodległości. W lutym 1989 r. w salce parafii katedralnej odbyło się spotkanie lokalnych działaczy „Solidarności”. Wyrażono wolę współdziałania różnych grup i reaktywowania struktur związku. Miarą ideologicznego skostnienia miejscowych władarzy PRL w dobie właśnie rozpoczynających się obrad „okrągłego stołu” między władzą a opozycją był fakt, że ówczesny wojewoda koszaliński Jacek Czayka, w związku ze spotkaniem na katedralnej plebanii, wystąpił do bpa I. Jeża o usunięcie ks. J. Borzyszkowskiego z probostwa.⁵¹

Upadek komunizmu i odzyskanie przez Polskę suwerenności w 1989 r. zmieniły warunki misji Kościoła. Żywiołowo rozwijające się życie społeczne wymagało konieczności upowszechnienia założeń katolickiej nauki społecznej. Społeczeństwo polskie, w systemie demokracji parlamentarnej, zostało objęte sporami ideowymi m.in. na temat obrony życia poczętego, modelu konstytucji, miejsca i roli Kościoła w nowej sytuacji społeczno – politycznej, kwestii konkordatu.

Okres transformacji ustrojowej przyniósł rozpad deficytowych państwowych gospodarstw rolnych i upadek przedsiębiorstw przemysłowych. Obszar diecezji zajął jedno z pierwszych miejsc w kraju w statystyce bezrobocia, które przybrało tu charakter trwały – strukturalny. Wiele rodzin, szczególnie na wsi i w małych miastach, znalazło się w trudnej sytuacji bytowej. W tych warunkach w diecezji podjęto zorganizowaną działalność charytatywną.

Dekretem bpa I. Jeża z 19 III 1990 r. została powołana Caritas Diecezji Koszalińsko – Kołobrzeskiej, posiadająca kościelną i cywilną oso-

⁴⁹ Relacja bpa I. Jeża z 21 V 2004 r.

⁵⁰ Kazanie księdza biskupa seniora Ignacego Jeża na pogrzebie śp. ks. kan. Franciszka Pacholskiego, Mielno 12. 09. 2002 r., „Koszalińsko – Kołobrzeskie Wiadomości Diecezjalne” 2002, nr 7/9, s. 72-73.

⁵¹ L. Laskowski, Diecezja Koszalińsko – Kołobrzeska..., s. 12 – 13.

bowość prawną. Dnia 31 V 1991 r. ordynariusz erygował Dom Samotnej Matki „Dar Życia” w obiekcie przekazanym przez Radę Miejską Koszalina. Po generalnym remoncie działalność służebną Dom rozpoczął 20 VIII 1991 r.

Z myślą o niesieniu pomocy najbiedniejszym Caritas Diecezji przejęła ziemię po pegeerach, przystępującą Kościołowi na mocy ustawy z 11 XI 1991 r. – po 15 ha poszczególnym parafiom i po 50 ha innym instytucjom kościelnym. Na gruntach tych powstało później Gospodarstwo Rolne „Carol” we Wrzosowie i Mierzynie.⁵²

Zmiany ustrojowe umożliwiły rozwój katolickim środkom społeczno-gospodarczym i szkolnictwu. Powstały liczne pisma o charakterze parafialnym. Dnia 15 IV 1990 r. ukazał się pierwszy numer diecezjalnego dwutygodnika „Wierzę”. Dnia 3 IX 1990 r. w parafii pw. Ducha Świętego, kierowanej przez ks. proboszcza Kazimierza Bednarskiego, otwarto Katolicką Szkołę Podstawową – pierwszą powołaną w Polsce po 1989 r. Szkoła koszalińska została później poszerzona o gimnazjum i liceum. Katolickie szkoły powstały także w innych miejscowościach diecezji.⁵³

W 1991 r. diecezja koszalińsko – kołobrzaska stała się pierwszym etapem IV pielgrzymki Ojca Świętego do Ojczyzny, której towarzyszyła myśl przewodnia zaczerpnięta z 1. Listu św. Pawła do Tesaloniczan: „Bogu dziękujcie. Ducha nie gaście.”

Dnia 1 VI 1991 r. na lotnisku w Zegrzu Pomorskim Jana Pawła II powitali: prezydent RP Lech Wałęsa, prymas Polski kard. Józef Glemp, nuncjusz apostolski w Polsce abp Józef Kowalczyk i bp ordynariusz Ignacy Jeż. Z lotniska Ojciec Święty udał się do Wyższego Seminarium Duchownego. Następnie papież przejechał odświętnie udekorowanymi ulicami Koszalina do sanktuarium Matki Bożej Trzykroć Przedziwnej na Górze Chełmskiej. Wokół kaplicy zgromadziły się przybyłe z całego kraju siostry szensztackie oraz świeccy wspierający ten ruch. Po krótkiej modlitwie w otoczeniu kardynałów, biskupów oraz generała ruchu szensztackiego, na prośbę bpa I. Jeża, papież dokonał poświęcenia nowo wybudowanego sanktuarium.

Z Góry Chełmskiej Jan Paweł II odjechał na plac przed kościołem pw. Ducha Świętego, gdzie odprawił Mszę św. dla ponad 100 tys. ludzi – było to największe spotkanie wiernych w historii diecezji koszalińsko – kołobrzeskiej.

⁵² Tamże, s. 15 – 16.

⁵³ Tamże, s. 16.

W powitaniu skierowanym do Ojca Świętego bp ordynariusz Ignacy Jeż wskazał na osiągnięcia diecezji: „Dzięki posiadany świętym, dzięki duchowieństwu, którego ilościowo mamy ciągle jeszcze za mało – na jednego kapłana przypada prawie 3 000 wiernych – dokonał Kościół wspaniałego zakorzenienia ludzi, którzy tu przyszli. [...] A cóż mówić o stu nowych parafiach, które w międzyczasie powstały, o zbudowanych nowych kościołach, plebaniach i domach parafialnych. Trzeba było do tego ludzi odważnych i mocnych. Jest ta diecezja już wspólnotą w pełnym tego słowa znaczeniu, w czym pomagają również jej przeszłość streszczona jednym słowem: Kołobrzeg.”

W swojej homilii Jan Paweł II mówił: „Stąd znad Bałtyku, proszę Was, wszyscy moi Rodacy, Synowie i Córki wspólnej Ojczyzny, abyście nie pozwolili rozbić tego naczynia, które zawiera Bożą Prawdę i Boże Prawo, proszę, abyście nie pozwolili go zniszczyć. Abyście sklejali je z powrotem, jeśli popękato. Abyście nigdy nie zapominali: „Jam jest Pan, Bóg twój...” [...] Oto Dekalog: dziesięć słów. Od tych dziesięciu prostych słów zależy przyszłość człowieka i społeczeństw. Przyszłość narodu, państwa, Europy, świata.”⁵⁴

Pierwszy dzień pielgrzymki Ojca Świętego do Ojczyzny zakończyła odprawiona przezeń późnym wieczorem w koszalińskiej katedrze i transmitowana na cały świat przez Radio Watykańskie nabożeństwo różańcowe. Uczestniczyła w nim wielotysięczna rzesza wiernych zgromadzonych wokół katedry, na placu przed koszalińskim ratuszem oraz na sąsiednich ulicach.

Dnia 2 VI 1991 r. papież spotkał się na lotnisku w Zegrzu Pomorskim z żołnierzami Wojska Polskiego. Mszę św. przed spotkaniem koncelebrowali kapelani WP, przewodniczył biskup polowy Sławoj Leszek Głódź. Było to wyjątkowe i pierwsze tego typu spotkanie Ojca Świętego z wojskiem w wolnej Polsce.⁵⁵

Wizyta papieska ukoronowała okres kierowania diecezją przez bpa Ignacego Jeża. Dnia 1 II 1992 r. w Kurii Biskupiej w Koszalinie został odczytany list nuncjusza apostolskiego abpa Józefa Kowalczyka z dnia 29 I 1992 r. o przyjęciu przez Jana Pawła II rezygnacji ordynariusza. Jego następcą został ustanowiony, wywodzący się także z diecezji katowickiej, bp Czesław Domin.⁵⁶

⁵⁴ K. Bastowska, L. Laskowski, K. Zadarko, Bogu dziękujecie... 25 lat diecezji koszalińsko – kołobrzeszkiej 1972 - 1997. Koszalin – Warszawa 1997, s. 37 – 42.

⁵⁵ Tamże, s. 44 – 47.

⁵⁶ K. R. Prokop, Biskupi zachodniopomorscy..., s. 264 – 265.

Ignacy Jeż kierował diecezją w najtrudniejszym okresie. Wraz ze współpracownikami stworzył jej struktury w trudnych warunkach politycznych i wprowadził lokalny Kościół w epokę III Rzeczypospolitej. Obok wymiaru duszpasterskiego, Kościół i diecezja stały się jednym z fundamentalnych czynników integracji tworzącego się polskiego społeczeństwa Pomorza Środkowego i pozostały nim mimo przeprowadzanych zmian administracyjnych. Okres od 1992 r. był nadal dla bpa seniora Ignacego Jeża czasem pracy na rzecz diecezji, wspierania posługi kolejnych ordynariuszy – Czesława Domina i Mariana Gołębiewskiego, działalności na rzecz lokalnego społeczeństwa.

Biskup Senior. Kalendarium (1992-2004)

- Dnia 6 V 1994 r. Rada Miejska w Koszalinie nadała bp. seniorowi Ignacemu Jeżowi tytuł „Honorowego Obywatela Miasta Koszalina”. We wniosku złożonym wcześniej przez Klub Radnych Chrześcijańskich Demokratów napisano: „Od roku 1972 – daty erygowania diecezji koszalińsko – kołobrzesckiej – do chwili obecnej Biskup nieprzerwanie związany jest z Koszalinem. Jako Ordynariusz Diecezji wniósł duży wkład w łagodzenie napięć społecznych w czasach trudnych dla naszej społeczności. Był i jest autorytetem moralnym. Z jego osobą wiąże się ranga jaką uzyskuje Koszalin jako stolica Diecezji. Również za Jego włodarstwa powstała kolejna wyższa uczelnia Koszalina - Wyższe Seminarium Duchowne. Jego to zasługa, że w czasie kadencji naszej Rady dostąpiliśmy zaszczytu – jako miasto – gościć Ojca Świętego Jana Pawła II.”
- Dnia 24 IX 1994 r. w ratuszu w Gdańsku odbyła się uroczystość wręczenia I. Jeżowi Nagrody im. Księdza Bolesława Domańskiego „za wielki wkład w rozwój religijny, społeczny i kulturalny społeczności na terenie Pomorza Środkowego”. Jury podkreśliło ogromną rolę integracyjną jaką odegrał ks. bp I. Jeż w czasie swojej pasterskiej posługi. Nagrodę przyznało Stowarzyszenie „Civitas Christiana”.
- Dnia 17 VIII 1996 r. w Domu Biskupim w Koszalinie I. Jeż został odznaczony Harcerskim Krzyżem Kapelańskim. Wręczył go harcmistrz T. Świecimski z Krzeszowic. Bp senior związany był z harcerstwem już przed wojną. Po II wojnie światowej pełnił funkcję harcerskiego kapelana i doszedł do instruktorskiego stopnia podharcmistrza.
- Dnia 25 IX 1998 r. „Głos Pomorza” zamieścił informację, że „pomagający biednym dzieciom biskup senior diecezji koszalińsko – kołobrzesckiej Ignacy Jeż został odznaczony Orderem Uśmiechu”. Poinformował o tym sekretarz kapituły orderu Henryk Łyczek. Biskup otrzymał order, jedyne odznaczenie nadawane z inicjatywy dzieci i przez dzieci, na wniosek dziecięcej wspólnoty „Wieczernik” działającej przy koszalińskiej katedrze.
- Dnia 10 VI 1999 r. Jan Paweł II ogłosił błogostawionymi 108 męczenników czasu wojny. Znalazł się wśród nich ks. Józef Czempiel, który oddał życie w obozie koncentracyjnym w Dachau, proboszcz parafii w Hajdukach Wielkich, gdzie młody ks. I. Jeż pełnił posługę wikariuszowską.

- Dnia 7 V 2000 r. w rzymskim Koloseum, podczas uroczystości ku czci kończącego się stulecia, Ojciec Święty Jan Paweł II przywołał świadectwa życia dwu duchownych doświadczonych skutkami totalitaryzmu – luterńskiego pastora Martina Niemöllera i katolickiego biskupa Ignacego Jeża, więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau.
- Dnia 23 II 2001 r. na zamku w Człuchowie zorganizowano wielki finał X edycji plebiscytu „Człowiek Roku Pomorza Środkowego”. Bp senior Ignacy Jeż otrzymał tytuł „Człowiek 100-lecia Pomorza Środkowego”. Puchary 10-lecia odebrali m.in. bp ordynariusz diecezji koszalińsko – kołobrzeszkiej Marian Gołębiewski i bp ordynariusz diecezji pelplińskiej Jan Bernard Szłaga.
- Dnia 25 VI 2002 r. w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia LV Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka przyznawanej przez Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”. Nagrodę specjalną przyznano bp. Ignacemu Jezowi seniorowi Episkopatu Polski „za owocną postugę kapłańską i biskupią, zwłaszcza na ziemiach zachodnich i północnych oraz za okupione cierpieniem świadectwo wiary i życia”.
- Dnia 12 III 2004 r. bp Ignacy Jeż bierze udział w uroczystości nadania przez Radę Miejską w Koszalinie tytułu „Honorowego Obywatela Koszalina” Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II.
- Dnia 11 VI 2004 r. setki osób zgromadził jubileuszowy koncert w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Koszalinie z okazji 90. urodzin bpa seniora Ignacego Jeża. Życzenia składały władze samorządowe Koszalina i Słupska, instytucje, osoby prywatne. Bp I. Jeż podzielił się z zaproszonymi gośćmi refleksjami na temat wydarzeń, w których brał udział i doświadczeniami swojego życia.
- Dnia 31 VII 2004 r., w dzień urodzin i imienin bpa Ignacego Jeża, w koszalińskiej katedrze została odprawiona uroczysta Msza św.

„Veni ignem mittere”

Człowiek na drodze swojego życia styka się z wieloma ludźmi. Nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, jakie znaczenie dla niego ma takie zetknięcie.

Nie wie, czy stanie się ono spotkaniem z drugim człowiekiem, spotkaniem, które buduje jakąś relację, jakąś wzajemność.

Nie wie, na ile spotkany człowiek wpisze się w jego życie, na ile go będzie umacniał, prowadził, tworzył...

Często dopiero doświadczenie utraty pozwala na ocenę znaczenia konkretnego człowieka dla każdego z nas.

Ale bywa też i tak, że od razu rozpoznajemy w człowieku jego wielkość, przy spotkaniu przeżywamy bowiem doświadczenie daru, wzbogacenia osobowością człowieka, jego formatem. Sama obecność takiego człowieka nas przyciąga ale i onieśmiela. Czujemy, że promienieje on jakąś duchową siłą, która się nam udziela. Człowiek taki zdaje się nieść światło. Staje się drogowskazem w życiu. Daje poczucie bezpieczeństwa. Skłania, by za nim iść...

C.K. Norwid napisał: „wielkim jest człowiek, któremu wystarczy pochylić czoła, aby bez włóczyń w rękę i bez tarczy zwyciężyć zgoła”. Człowiek wielki zwycięża bowiem siłą racji i autorytetu – a nie racją siły. Wielkość człowieka wyraża się w tym, że stanowi opokę wartości, że jest nie tylko ich nauczycielem, ale i samym sobą daje tym wartościom świadectwo. Doświadczamy, że człowiek wielki jest także świadkiem pokory, z którą pochyla się nad każdym najmniejszym członkiem wspólnoty ludzkiej.

Takim człowiekiem, wielkim, jest dla nas, wiernych – ksiądz biskup Ignacy Jeż.

Brzmi to nieco patetycznie, ale nie można bez patosu mówić czy pisać o sprawach ważnych, wielkich i prawdziwych, bo patos jest potrzebą, bezwiednym rodzajem hołdu, uznania wielkości.

Człowiek Wielki.

Mimo doświadczenia zła i cierpienia w obozie koncentracyjnym, mimo wielkiej próby dla ludzkiej nadziei, ksiądz biskup pozostał człowiekiem pełnym wiary, dobroci, pogody ducha, człowiekiem skromnym, otwartym dla każdego.

Poznając Go coraz lepiej rozumieliśmy sens słów Jezusa, które stały się zawołaniem Jego biskupiej postugi – „Veni ignem mittere” – przyszedłem rzucić ogień.

Światło, które niósł, to ogień miłości, tej miłości, która poszerza serca ludzi tak, by umieli odpowiedzieć na miłość Boga i umieli kochać innych. Tę miłość odnosił do rzeczywistości swojej biskupiej postugi: do misji kapłańskiej, duszpasterskiej i profetycznej Kościoła, do umacniania jedności Kościoła lokalnego.

Wiemy, jak trudne było to zadanie w czasach reżimu totalitarnego. Były to czasy pogardy dla człowieka i jego praw, czasy lęku o los rodzin, narodu, Polski.

Polskość była wówczas propozycją etyczną, wyzwaniem, bo rozpoznanie, czym ona jest, zaczynało się w ludzkim sumieniu. Sprzeciw wobec ojczyzny zniewolonej nie był zdradą, ale wyrazem patriotyzmu, który domagał się, by była ona Polską marzeń, wolną, suwerenną i niepodległą, by panował w niej właściwy ład społeczny.

Tymczasem odwaga zdawała się nieuchronnie prowadzić do klęski, a zwycięstwo zdawało się być dopiero udziałem przyszłych pokoleń. Sumienia ludzi zdawały się rozgrzeszać z serwilizmu i relatywizmu pojęciem „grzechu strukturalnego”. Drogi miłości do drugiego człowieka, zwłaszcza tego z „drugiej strony” ideowej barykady – były bardzo pogmatwane.

Kościół i uniwersalny, i lokalny prostował te drogi. Jego misja profetyczna była nie do przecenienia. Uczył elementarza wartości, które są podstawą ładu społecznego: prawdy, wolności, sprawiedliwości i solidarności, solidarności prawdziwej, która – jak mówi Ojciec święty Jan Paweł II „musi iść przed walką”.

Ksiądz biskup uczył nas więc walki o sprawę a nie walki z przeciwnikami politycznymi, a także wierności wartościom.

Były to także czasy trwogi, bo siła zdawała się dominować nad racją. Ten lęk zniknął w obecności księdza biskupa, który był człowiekiem nadziei. Budował ją w ludziach wówczas bliskich rozpacz. Umacniał nas. Zdawało się że mówi do nas słowami Jezusa kroczącego po falach Morza Galilejskiego „Nie lękajcie się” – i przedstawialiśmy się bać.

Jego ogromne poczucie humoru i pogoda ducha uczyły nas także właściwego dystansu i cierpliwości do problemów trudnej codzienności.

Powołanie Biskupiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, który udzielał pomocy więźniom politycznym i represjonowanym a także w miarę możliwości innym, było solą w oku

totalitarnej władzy. Lecz nawet ta władza bała się autorytetu księdza biskupa i Jego stanowcza interwencja wielokrotnie otwierała represjonowanym politycznie więzienne bramy.

Samo istnienie Komitetu wspierało duchowo represjonowanych a organizowana pomoc integrowała środowiska skupione w Kościele, tym samym Kościół lokalny umacniał się. To budowanie Kościoła Żywego – pozwoliło Polakom na zmianę oblicza polskiej ziemi, na pokojową drogę do powstania III Rzeczypospolitej. Jest to udziałem całego narodu, ale przede wszystkim tych, którzy uczyli solidarności jako wartości i cnoty społecznej, jako umiejętności rozpoznania dobra wspólnego i dążenia do niego. Takim człowiekiem jest ksiądz biskup. Zdajemy sobie sprawę, jak dużo Mu zawdzięczamy...

W pamięci wciąż wraca doświadczenie prawdziwego daru Jego osoby, ilekroć wspominamy przeszłe, trudne lata.

Teraz żyjemy w wolnej ojczyźnie, ale znów nienawiść zdaje się triumfować na świecie, a na naszej polskiej ziemi tyle jeszcze biedy i smutku.

Wolność która jest poczuciem odpowiedzialności za siebie – stała się dla wielu przekleństwem. Znów pytamy „jak żyć”.

Ogień miłości jest niezbędny... Oby płonął...

Kiedyś, przed laty, spotkaliśmy księdza biskupa przechadzającego się po Koszalinie w zwykły, ortalionowym skafandrze. Uśmiechał się do pozdrawiających go ludzi. Chciał być wśród nich, w nurcie codziennego życia miasta.

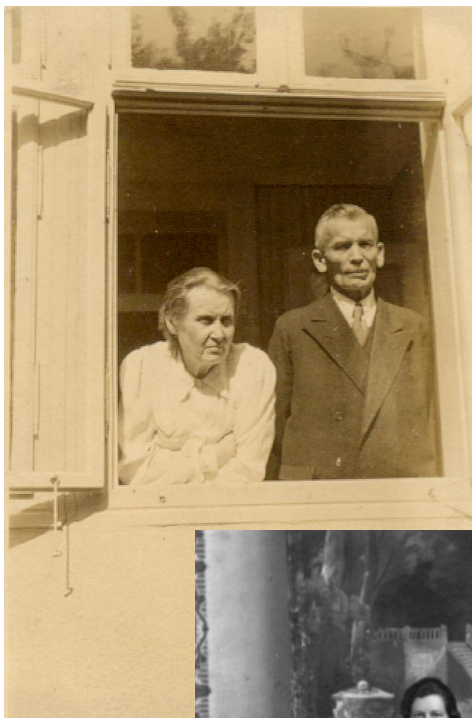
Dziękujemy Mu za to, że zawsze był i jest z nami.

Życzymy, aby był wśród nas jak najdłużej. Aby nadal dzielił się z nami tym ogniem, który Jezus „rzucił” ludzkim sercom.

SPIS ILUSTRACJI

1. Rodzice Ignacego Jeża – Jan i Jadwiga
2. Ignacy Jeż z siostrami i kuzynkami na wakacjach w Dobczycach (9 VII 1929 r.)
3. Ignacy Jeż przed maturą (1 III 1932 r.)
4. Ignacy Jeż (po prawej stronie z siostrami Wandą i Łucją oraz przyszłym szwagrem Adamem Lubowieckim (Katowice, 1932 r.) – po zdaniu matury
5. Neoprezbiter Ignacy Jeż – 1937 r.
6. Ignacy Jeż i ks. prałat Bolesław Kominek, ówczesny dyrektor Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej w Katowicach, w czasie prymicji (1937 r.)
7. Ks. Ignacy Jeż w czasie modlitwy w polskiej kwaterze na cmentarzu w Göppingen (1945 r.)
8. Konsekracja (Gorzów Wlkp. – 5 VI 1960 r.). Od lewej: bp Wilhelm Pluta, bp Bolesław Kominek, prymas Stefan Wyszyński, bp Ignacy Jeż
9. Dawni uczniowie z Katowic z wizytą u swojego profesora w Gorzowie
10. Ignacy Jeż z wizytą w sanktuarium Matki Bożej w Rokitnie (23 VII 1961 r.)
11. Biskupi Ignacy Jeż i Wilhelm Pluta na Soborze Watykańskim II (Rzym, listopad 1962 r.)
12. Z ojcem Józefem Kentenichem – współtowarzyszem z Dachau (luty 1966 r.)
13. Prymas Stefan Wyszyński w czasie uroczystości milenijnych w Kołobrzegu (2 VII 1967 r.)
14. Bp sufragan Ignacy Jeż (1970 r.)
15. Okres gorzowski – od lewej stoją bp Jerzy Stroba, kard. Franz König, bp Wilhelm Pluta, Ignacy Jeż (1970 r.)
16. Bp Ignacy Jeż i sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej abp Agostino Cassaroli (Szczecin, 1970 r.)
17. Z papieżem Pawłem VI – wizyta „ad limina” 18 X 1971 r.
18. Ingres bpa ordynariusza Ignacego Jeża do katedry koszalińskiej (22 X 1972 r.)
19. Międzynarodowa pielgrzymka byłych więźniów obozów koncentracyjnych w Watykanie. Od lewej papież Paweł VI i bp Ignacy Jeż
20. Zjazd księży, byłych więźniów obozu w Dachau (Kalisz, 1975 r.) – bp Ignacy Jeż i bp Kazimierz Majdański

21. Uroczystości 975-lecia metropolii gnieźnieńskiej (17 VIII 1975 r., Kołobrzeg). Od lewej bp Ignacy Jeż, bp Jerzy Stroba, kard. Karol Wojtyła
22. Z Janem Pawłem II (Rzym, 23 X 1978 r.)
23. Księża, byli więźniowie, podczas pielgrzymki w Rzymie (1980 r.) – papież Jan Paweł II i bp Ignacy Jeż
24. Z ks. Andrzejem Bartosem w Paryżu (1989 r.)
25. Z Ojcem Świętym Janem Pawłem II i prezydentem Lechem Wałęsą (lotnisko w Zegrzu Pomorskim, 1 VI 1991 r.) (z archiwum „Gościa Niedzielnego”)
26. Po powitaniu Ojca Świętego Jana Pawła II przez biskupa ordynariusza w czasie Mszy św. (Koszalin, dnia 1 VI 1991 r.)
27. Uroczystości 1000-lecia ustanowienia biskupstwa w Kołobrzegu (22 X 2000 r.). Bp Ignacy Jeż w rozmowie z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim i Jolantą Kwaśniewską
28. Spotkanie z Ojcem Świętym po audiencji generalnej (Watykan, 18 II 2004 r.)



Zdj. 1.
Rodzice Ignacego Jeża – Jan i Jadwiga
(ze zbiorów Ignacego Jeża)

Zdj. 2.
Ignacy Jeż z siostrami i kuzynkami
na wakacjach w Dobczycach (9 VII 1929 r.)
(ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 3.
Ignacy Jeż przed maturą (1 III 1932 r.)
(ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 4.
Ignacy Jeż – po prawej stronie – z siostrami Wandą i Łucją oraz przyszłym szwagrem Adamem Lubowieckim (Katowice, 1932 r. - po zdaniu matury (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 5.
Neoprezbiter Ignacy Jeż – 1937 r.
(ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 6.
Ignacy Jeż i ks. prałat Bolesław Kominek, ówczesny dyrektor Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej w Katowicach, w czasie prymicji (1937 r.) (ze zbiorów Ignacego Jeża)

Zdj. 7.
Ks. Ignacy Jeż w czasie
modlitwy w polskiej
kwaterze na cmentarzu
w Göppingen (1945 r.)
(ze zbiorów Ignacego
Jeża)



Zdj. 8.
Konsekracja (Gorzów
Wlkp. – 5 VI 1960 r.). Od
Lewej: bp Wilhelm Plu-
ta, bp Bolesław Komi-
nek, prymas Stefan
Wyszyński, bp Ignacy
Jeż (ze zbiorów Igna-
cego Jeża)

Zdj. 9.
Dawni uczniowie z Ka-
towic z wizytą u swoje-
go profesora w Gorzo-
wie (ze zbiorów Igna-
cego Jeża)





Zdj. 10. Ignacy Jeż z wizytą w sanktuarium Matki Bożej w Rokietnie (23 VII 1961 r.) (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 11. Biskupi Ignacy Jeż i Wilhelm Pluta na Soborze Watykańskim II (Rzym, listopad 1962 r.) (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 12. Z ojcem Józefem Kentenichem – współtowarzyszem z Dachau (luty 1966 r.) (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 13.
Prymas Stefan Wyszyński w czasie uroczystości milenijnych w Kołobrzegu (2 VII 1967 r.) (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 14.
Bp sufragan Ignacy Jeż (1970 r.)
(ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 15.
Okres gorzowski – od lewej stoją bp Jerzy Śtropa, kard. Franz König, bp Wilhelm Pluta, Ignacy Jeż (1970 r.) (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 16. Bp Ignacy Jeż i sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej abp Agostino Cassaroli (Szczecin, 1970 r.) (ze zbiorów Ignacego Jeża)

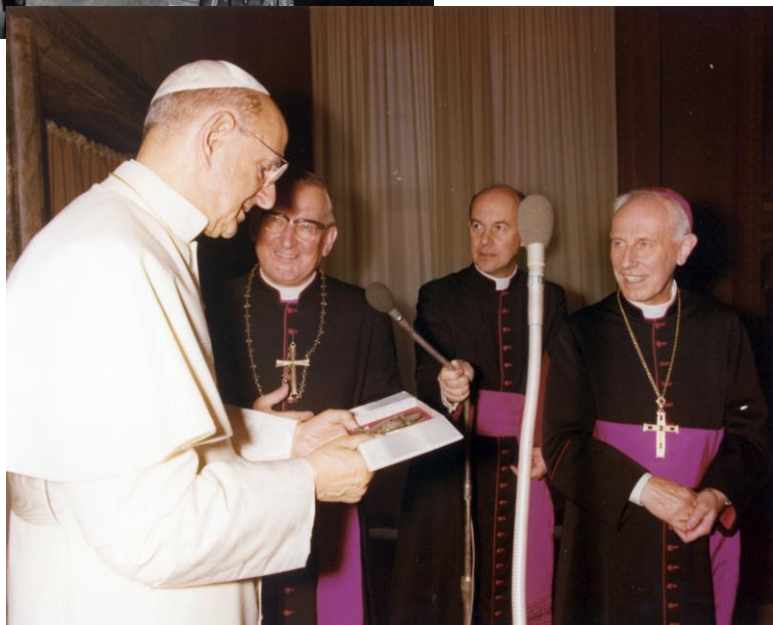


Zdj. 17. Z papieżem Pawłem VI – wizyta „ad limina” 18 X 1971 r. (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 18.
Ingres bpa ordynariusza
Ignacego Jeża do katedry
koszalińskiej (22 X 1972 r.) (ze
zbiorów Ignacego Jeża)

Zdj. 19.
Międzynarodowa pielgrzymka
byłych więźniów obozów
koncentracyjnych w Watykanie.
Od lewej papież Paweł VI i bp
Ignacy Jeż (ze zbiorów
Ignacego Jeża)





Zdj. 20.
Zjazd księży, byłych więźniów obozu
w Dachau (Kalisz, 1975 r.) – bp Ignacy
Jeż i bp Kazimierz Majdański
(ze zbiorów Ignacego Jeża)

Zdj. 21.
Uroczystości 975-lecia metropolii
gnieźnieńskiej (17 VIII 1975 r.,
Kołobrzeg). Od lewej bp Ignacy
Jeż, bp Jerzy Stroba, kard. Karol
Wojtyła (ze zbiorów Ignacego
Jeża)



Zdj. 22.
Z Janem Pawłem II (Rzym, 23 X 1978 r.)
(ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 23.
Księża, byli więźniowie, podczas piel-
grzymki w Rzymie (1980 r.) – papież
Jan Paweł II i bp Ignacy Jeż (ze zbio-
rów Ignacego Jeża)





Zdj. 24.
Z ks. Andrzejem Barto-
sem w Paryżu (1989 r.)
(ze zbiorów Ignacego
Jeża)

Zdj. 25.
Z Ojcem Świętym Janem
Pawłem II i prezyden-
tem Lechem Wałęsą
(lotnisko w Zegrzu Po-
morskim, 1 VI 1991 r.)
(z archiwum „Gościa
Niedzielnego)



Zdj. 26.
Po powitaniu Ojca Świętego
Jana Pawła II przez biskupa
ordynariusza w czasie Mszy św.
(Koszalin, dnia 1 VI 1991 r.)
(ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 27. Uroczystości 1000-lecia ustanowienia biskupstwa w Kołobrzegu (22 X 2000 r.). Bp Ignacy Jeż w rozmowie z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim i Jolantą Kwaśniewską (ze zbiorów Ignacego Jeża)



Zdj. 28. Spotkanie z Ojcem Świętym po audiencji generalnej (Watykan, 18 II 2004 r. (ze zbiorów Ignacego Jeża)

SPIS TREŚCI

bp Ignacy Jeż

Lata dziecięce i młodość. Kapłaństwo (1914 – 1939)

Metryka urodzenia.....	5
Gimnazjum	6
Studia	19

II wojna światowa. Więzień obozu w Dachau (1939 – 1945)

Moja droga do obozu	35
Obóz.....	42
Koleżdy.....	46
Szensztat	50
Geometerkomando	52
Plantarze: o. Tic	55
Henryk	56
Karol	57
Eda	58
Paczki	61
Tyfus plamisty – księża funkcyjni.....	63
Ostatnie dni	65
Uwolnienie	69
Göppingen.....	72

W szkolnictwie katolickim na Górnym Śląsku (1946 – 1960)

75

Leszek Laskowski

Posługa w administracji apostołowskiej gorzowskiej (1960 – 1972)

91

Leszek Laskowski

Ordynariusz diecezji koszalińsko – kołobrzesckiej (1972 – 1992)

105

Biskup Senior. Kalendarium (1992 – 2004)

127

Anna Bogucka - Skowrońska

„Veni ignem mittere”

129

Spis ilustracji.....

133

Ilustracje

135

